KACZYŃSKI
Zmierzch boga wojny

O. WIŚNIEWSKI:
Biskupi nie są w prawie

WYBORY AMERYKI
Mocarstwo Trumpem podzielone

WIRUS W POWIETRZU
Otwieramy okna, rozwiewamy mity

SEAN CONNERY
Dużo więcej niż agent

Kraków 15 listopada 2020 nr 46 (3723) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Młoda Polska 2020

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Premiera – podwójne wydanie specjalne!
ŚWIĘTO SPOTKANIA

Wiem, że kluczowym w sytuacji kryzysu jest dopuszczenie do siebie człowieka, który może przynieść rodzaj daru sprowadzającego się do obecności, słowa – drogowskazów, które poprowadzą nas w najbliższym czasie.

Katarzyna Nosowska

Oczekiwanie. Uczta. Goście, których chcielibyśmy zaprosić do stołu, „kiedy to wszystko się wreszcie skończy". Radość i zabawa.

Zmagając się z epidemią, przeżywając społeczne niepokoje, nie przestajemy zadawać sobie najważniejszych pytań duchowych i egzystencjalnych. I nie przestajemy myśleć o jakości naszego bycia razem, zarówno z najbliższymi, jak we wspólnocie obywatelskiej.

„Święto spotkania" – już od **środy 18 listopada** w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/swietospotkania**

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNERZY WYDANIA

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
ADWOKATURA POLSKA PRAWO OJCZYZNA HONOR
ZAiKS
SOS WIOSKI DZIECIĘCE
Wrocławski Dom Literatury

KS. ADAM

Boniecki: *Mężowie doskonali*

Epoki zmieniają się niepostrzeżenie, a ja, dość długo będąc księdzem, nagle zdałem sobie sprawę z tego, że żyję w innej epoce historii Kościoła niż ta, w której wstępowałem do zakonu czy rozpoczynałem pracę księdza. Tamta trwała długo. Jak długo będzie trwała ta nowa?

W tamtej obowiązywały zasady o niekalaniu własnego gniazda, niekrytykowaniu własnej matki (czytaj: Kościoła, a w szczególności biskupów). Sytuacja wówczas była specyficzna. Każda krytyka Kościoła (biskupa, księdza, zakonu) była wodą na młyn komunistycznej propagandy. Kto krytykował Kościół (czytaj: jak wyżej), sytuował się po stronie reżimu. Reaktywna strategia rzeczywiście „oblężonej twierdzy" polegała m.in. na zachowywaniu dyskrecji w odniesieniu do wszelkich słabości Kościoła. Chyba jednak ta strategia znacznie wyprzedzała czasy PRL-u. Przecież szacunek dla świętej hierarchii zawsze wpajano w katolickich rodzinach od dzieciństwa. Tego swoistego immunitetu Kościół strzegł pilnie, zwłaszcza w szeregach swego personelu, wśród duchownych i instytucji, np. redakcji pism kościelnych czy w ogóle katolickich.

Kiedy latem 1968 r. „Więź" opublikowała dyskusję o księżach, w której uczestniczyło kilku wybitnych duchownych, m.in. prowincjał dominikanów o. Krzysztof Kasznica, i w której znalazły się krytyczne oceny codzienności polskiego Kościoła, ksiądz prymas Wyszyński zabronił wszystkim księżom w Polsce publikowania czegokolwiek w „Więzi". Gdy w tejże „Więzi" opublikowano dyskusję na temat ekumenizmu i w niej także krytyczne wobec katolickiej hierarchii głosy przedstawicieli innych wyznań chrześcijańskich, Prymas surowo napomniał redaktora naczelnego – wówczas Tadeusza Mazowieckiego – za „postawę prokuratorską wobec Kościoła" i „sianie nieufności swoim przesadnym krytycyzmem".

Przykłady można by mnożyć. Jerzego Turowicza prymas Wyszyński publicznie upomniał z ambony, za artykuł o kryzysie w Kościele (1969 r.), stwierdzając, że w Kościele nie ma żadnego kryzysu, i że „można mówić co najwyżej o kryzysie publicysty", który mówi o kryzysie w Kościele. Z moich doświadczeń: w 1967 r. napisałem w „Tygodniku" artykuł o zmarłym rok wcześniej holenderskim hierarsze z Den Bosch, biskupie Willemie Bekkersie. Tekst miał tytuł „Biskupie nauczanie". Za pośrednictwem moich zakonnych przełożonych zostałem upomniany przez księdza Prymasa za to, że się „zabieram za biskupów nauczanie". Owszem, styl mojego bohatera znacznie się różnił od stylu naszych biskupów.

A dziś? Niepostrzeżenie znikł mit idealnej jednomyślności Episkopatu. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by zauważyć podziały zwłaszcza w sprawach na styku wiary i polityki. Jednym z wyraźnych symptomów tego podziału stał się stosunek do Radia Maryja.

Rozwiał się też mit „biskupa męża doskonałego". Ujawnienie afer pedofilskich, oskarżenia biskupów o ich ukrywanie, decyzje Watykanu (papieża Franciszka) szeroko omawiane w mediach, krytyczne podejście opinii publicznej do wystąpień biskupów, a także do ich braku w momentach, gdy były oczekiwane – to wszystko odczarowało urząd „następcy Apostołów". I w tym czasie głosy takie, jak prorockie teksty ojca Ludwika Wiśniewskiego czy krytyczne analizy działań Episkopatu ks. Jacka Prusaka, wydają się (w Kościele) czymś oczywistym. Jeszcze ludzie z minionej epoki rozdzierają szaty, jeszcze marzą o zmuszeniu ich do milczenia. Nie da się! „List zwykłych księży", w tamtej epoce nie do pomyślenia, dziś potraktowano jako godny uwagi głos w debacie o Kościele.

Opisując przykrą rozmowę z kardynałem Wyszyńskim po publikacji debaty o ekumenizmie, Mazowiecki wspominał: „Chciałem mu wytłumaczyć, że publikujemy takie teksty dla dobra Kościoła. Ale ksiądz prymas mi przerwał: »O tym, co jest dobre dla Kościoła, decyduję ja«".

Deo gratias! Doczekaliśmy. Oto i nowa epoka Kościoła. ©℗

TP W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

MAREK LASYK / REPORTER

Pożegnanie Krzysztofa Pendereckiego

29 marca tego roku zmarł Krzysztof Penderecki. Nie tylko najsłynniejszy, ale i ostatni kompozytor, którego nazwisko było powszechnie utożsamiane z muzyką: nie tylko jego kompozycjami, lecz muzyką powstającą współcześnie w ogóle. Zbliżając się do daty jego urodzin, przypadających 23 listopada, przypomnimy postać tego wielkiego twórcy słowami jego przyjaciół i współpracowników, w tym największych światowych muzyków.

Zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Zmierzch boga wojny
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Jarosławowi Kaczyńskiemu już nieraz przepowiadano polityczną śmierć. Nawet parę razy wpadał w stan śpiączki. Tym razem jednak ma wyraźny kłopot z przebudzeniem.

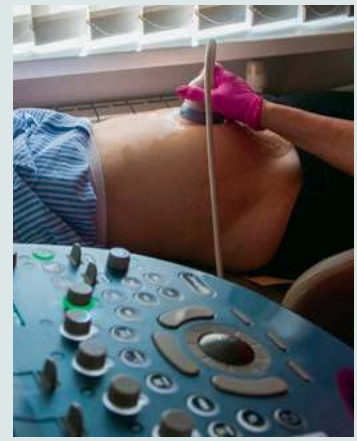

26 Prawdziwa ochrona dzieci
MAŁGORZATA NOCUŃ
Badania prenatalne ratują życie tysięcy noworodków, a czasem i matek. Uznawanie ich za „wstęp do aborcji" to największa manipulacja ruchów pro-life.

32 Czas na ruch
ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM SJ, PSYCHOTERAPEUTĄ:
Kościół już stracił młode pokolenie, a teraz traci kobiety. Kulturowy katolicyzm, z którego byliśmy tak dumni, umiera na naszych oczach.

44 48 godzin
MARTA ZDZIEBORSKA Z NOWEGO JORKU
Mało kto się spodziewał, że trzymający w napięciu spektakl zacznie się długo po wyborach: zliczanie ostatnich głosów w kilku zaledwie stanach.

60 Wirus wisi w powietrzu
ROZMOWA Z LIDIĄ MORAWSKĄ, FIZYCZKĄ ATMOSFERY:
Wiele miejsc użyteczności publicznej jest – od strony jakości powietrza – pomyślanych bezsensownie. Okna się nie otwierają, wentylacja tylko sztuczna. To sprzyja roznoszeniu się chorób.

78 Szorstki diament
SEBASTIAN SMOLIŃSKI
Sean Connery czerpał autentyczną radość z występowania przed kamerą, a jego szelmowski uśmiech stanowił obietnicę przedniej zabawy. Grał jakby od niechcenia, ze szczyptą nonszalancji.

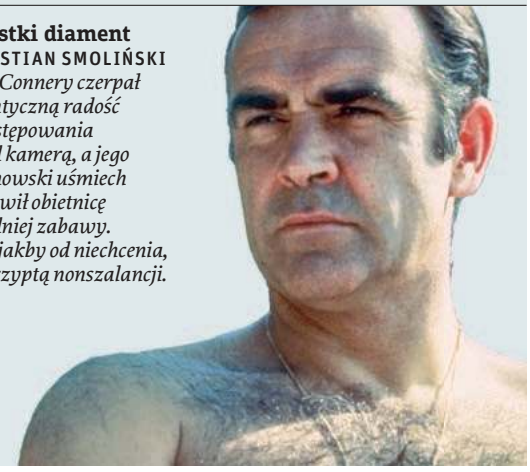

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // DANIEL DMITRIEW / FORUM // EVAN VUCCI / AP / EAST NEWS // LEGACY COLLECTION / EAST NEWS // ANTHONY WEATE / ARCHIWUM PRYWATNE // GRAŻYNA MAKARA

KOMUNIKAT DLA PRENUMERATORÓW

Z uwagi na dramatycznie narastającą liczbę zachorowań w kraju, a co za tym idzie, duże prawdopodobieństwo zakażeń wirusem SARS-CoV-2 także wśród pracowników Poczty Polskiej – naszego głównego dystrybutora prenumeraty – zostaliśmy powiadomieni przez Pocztę Polską o możliwości zaistnienia przejściowych opóźnień w dostarczaniu do Państwa skrzynek pocztowych prenumerowanej prasy, w tym „Tygodnika Powszechnego". W przypadku ewentualnych opóźnień upraszamy Państwa o wyrozumiałość w tej trudnej i niekomfortowej dla nas wszystkich sytuacji. Serdecznie prosimy o cierpliwość, dołożymy wszelkich starań, abyście Państwo otrzymywali nasze pismo bezzwłocznie.
WYDAWCA

6 Ostatnia linia umocnień
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Zmierzch boga wojny
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Prawdziwa ochrona dzieci
MAŁGORZATA NOCUŃ

28 Apokalipsa Małej
ADAM ROBIŃSKI:
Jak zdewastowano podwarszawską rzekę, a zamiast wsi osuszono las

WIARA

32 Czas na ruch
ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM

36 Człowiek przed prawem
O. LUDWIK WIŚNIEWSKI:
Stanowienie prawa w państwie nie należy do zadań biskupów

38 Ekumeniczny rollercoaster
KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI
o dialogu ekumenicznym w Niemczech, ważnym także dla Kościoła powszechnego

ŚWIAT

44 48 godzin
MARTA ZDZIEBORSKA
Z NOWEGO JORKU

47 Pandemiczne zmęczenie
ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI:
Czechy przodują w covidowych antyrankingach. Jednak życie toczy się dalej

50 Epidemia przemytników
ALEXIO RASHIRAI Z HARARE
I WOJCIECH JAGIELSKI:
Dlaczego restrykcje sanitarne w RPA ucieszyły szmuglerów z Zimbabwe

TEMAT TYGODNIKA

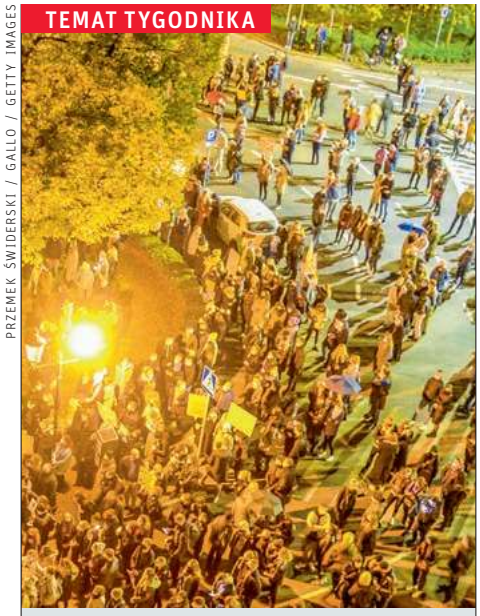

PRZEMEK ŚWIDERSKI / GALLO / GETTY IMAGES

12 Niepodległość nieparlamentarna
PAULINA GÓRSKA,
MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
Głównym przeciwnikiem bieżących protestów nie jest PiS czy Kościół, lecz bardziej ogólna kategoria „dziadersa", który uzurpuje sobie prawo do decydowania o życiu młodych i pouczania ich na każdym kroku.

FELIETONY

31 WOJCIECH BONOWICZ **76** JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA:
MAREK ZALEJSKI

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

52 Operacja COVID
INGA ROGG Z HAJFY:
Nigdzie współpraca armii z instytucjami cywilnymi nie idzie tak daleko jak w Izraelu

54 Pustynny robak wychodzi z cienia
WOJCIECH BRZEZIŃSKI I AGATA KAŹMIERSKA: *Poznaliśmy twarze rosyjskich hakerów z zespołu Sandworm*

HISTORIA

56 Ludowcy na szaniec
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK: *75 lat temu PSL Mikołajczyka podjął walkę o niepodległość*

NAUKA

60 Wirus wisi w powietrzu
ROZMOWA Z LIDIĄ MORAWSKĄ

KULTURA

64 Ludzie wyklęci
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK:
„Czarna skóra, białe maski" Frantza Fanona to książka pisana z żarliwością, która do dziś parzy

68 Borat miał brata
ŁUKASZ MUNIOWSKI:
Sacha Baron Cohen chwyta się różnych sposobów, żeby obudzić Amerykanów

70 Tęsknota za Kaszpirowskim
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Śniegu już nigdy nie będzie" Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta*

72 Czuła narratorka i lista przebojów
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Jak teatr współczesny podchodzi do dawnych powieści

76 Pisarz, świadek
LEKTOR *o książce Józefa Hena „Bez strachu. Dziennik współczesny"*

ZMYSŁY

78 Szorstki diament
SEBASTIAN SMOLIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Gruzińskie Marzenie, partia stworzona, opłacana i kierowana przez najbogatszego Gruzina na świecie, po raz trzeci z rzędu wygrała wybory. Mimo to w kraju mówi się o kryzysie – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
Gdy nam się urodził młodszy syn – a stało się to w domu – starszy, gdy tylko go zobaczył, usiadł na nim – pisarka **MAGDALENA TULLI** opowiada **KATARZYNIE KUBISIOWSKIEJ** o rodzicielstwie, pisarstwie i podszewce życia **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

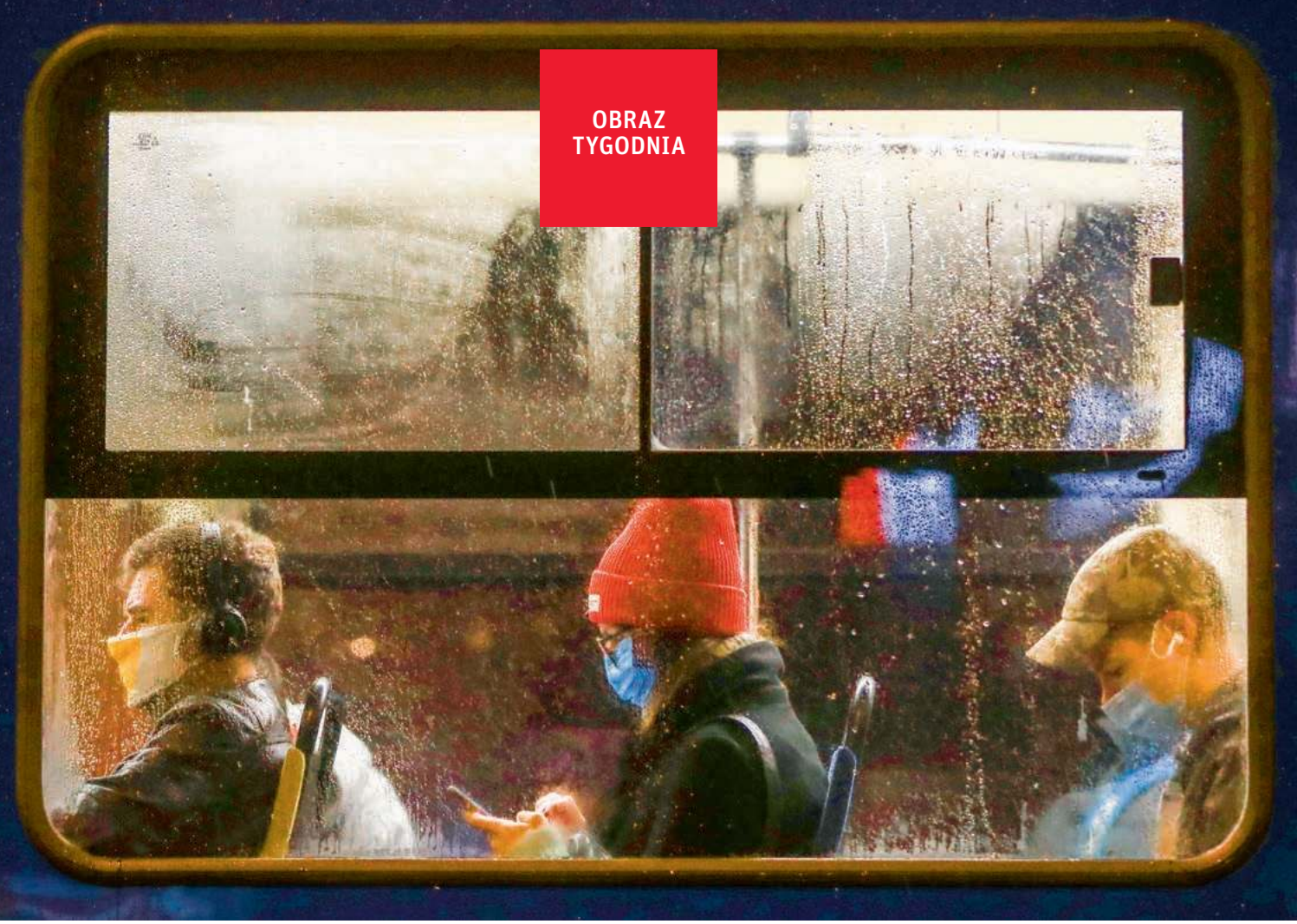

OBRAZ TYGODNIA

OSTATNIA LINIA UMOCNIEŃ

Czy podczas dziesięciu dni, które 5 listopada wyznaczył premier, uda się wypłaszczyć krzywą zakażeń? Jeśli nie, czeka nas tzw. kwarantanna narodowa.

MACIEJ MÜLLER

Kraków, 2 listopada 2020 r.

To termin nieopisany prawnie, a oznaczający radykalne ograniczenie przemieszczania się. Rząd już na wiosnę wykazywał kreatywność w poszukiwaniu alternatywnych wobec konstytucyjnych rozwiązań: stąd m.in. ogłoszony rozporządzeniem „stan epidemii".

Na razie wzniesiono ostatnią linię umocnień. Wszystkich uczniów wysłano na nauczanie zdalne – ruch, zdaniem wielu ekspertów, spóźniony o nawet półtora miesiąca. To przede wszystkim otwarcie we wrześniu nieprzygotowanych na atak koronawirusa szkół odpowiada za obecne dramaty. Po raz pierwszy od wielu tygodni restrykcje dotknęły kultu religijnego: w kościołach będzie mogła przebywać 1 osoba na 15 m kw. (dotychczas: 1 osoba na 7 m kw.). Wielu biskupów przywróciło dyspensę zwalniającą z obowiązku osobistego uczestnictwa w eucharystii. Niestety w wypowiedziach duszpasterzy nie pojawia się tak często, jak na wiosnę, temat komunii duchowej i doskonałego żalu za grzechy. Tymczasem niedzieli bez mszy w kościele nie wyobrażają sobie przede wszystkim ludzie starsi, najbardziej zagrożeni ciężkim przebiegiem COVID-19. Troska o ich zdrowie powinna się dzisiaj przejawiać w wezwaniu: nie przychodźcie, módlcie się przed ekranami.

Kiedy zamykamy ten numer „Tygodnika", kolejny dzień z rzędu liczba dobowych zakażeń zbliża się do 30 tys. Doścignęliśmy pod tym względem światową czołówkę. Wskaźnik ten dalej będzie szedł w górę – skok w wykresach spowoduje m.in. włączenie do diagnozowania testów antygenowych drugiej generacji, a także raportowanie prywatnie przeprowadzonych testów bezpośrednio do systemu państwowego, bez pośrednictwa sanepidu. Nie będzie to jednak wzrost liczby zakażeń, tylko wzrost wykrywalności. Sytuację epidemiczną pogarszają trwające od ponad dwóch tygodni protesty uliczne: duża liczba interakcji społecznych musi doprowadzić do transmisji wirusa nawet przy zachowaniu reżimu sanitarnego. Można podejrzewać, że winą za rozwój epidemii politycy obarczą właśnie protestujących. Podczas konferencji 5 listopada premier powiedział, że według naukowców z Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW „każdego dnia wzrost liczby zakażeń na skutek protestów ulicznych może wynosić około 5 tys. osób". Tymczasem już dzień wcześniej badacze ci podkreślali, że ich model nie uprawnia do wyciągania takich wniosków. Rodzi to obawy, że rząd nie będzie stronił od kolejnych manipulacji.

Według anestezjologa prof. Wojciecha Szczeklika stoimy na skraju katastrofy. Minister zdrowia Adam Niedzielski ocenił w zeszłym tygodniu, że „system opieki zdrowotnej jest na granicy wydolności", ale zdaniem ratowników medycznych, krążących od szpitala do szpitala w poszukiwaniu miejsca dla pacjentów, czy lekarzy z oddziałów intensywnej terapii zmuszonych wybierać, kogo podłączyć do respiratora – system runął już dawno. Oficjalne statystyki zgonów są bardzo wysokie i zbliżają się do 500 dziennie. To może być jednak ułamek prawdy. Coraz więcej chorych będzie umierało w domach, nie doczekawszy się pomocy medycznej – i nie znajdą się w rejestrach.

Nie widać żadnych przesłanek za tym, żeby poziom zakażeń miał spadać. Restrykcje wprowadzone 17 października nie przyniosły skutków. Brakuje już jakichkolwiek narzędzi do walki z wirusem, rząd więc prawdopodobnie zdecyduje się na te ostateczne. „Kwarantanna narodowa" czeka nas niemal na pewno. ©℗

BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Aplikacja nie przeszła testu zaufania

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Miało być bezcenne narzędzie do monitorowania pandemii. Wyszła kosztowna klapa. Rządowa aplikacja STOP COVID jest w tej chwili prawie bezużyteczna. Ale problemem nie jest tylko sama aplikacja. Służy ona do tzw. śledzenia kontaktów. Przez łącze Bluetooth nasłuchuje sygnałów z innych telefonów w pobliżu i alarmuje właściciela, jeśli któryś z nich należał do osoby zarażającej covidem. Można się wtedy odizolować i przetestować, zanim samemu przekaże się wirusa dalej. Jeszcze 22 października premier Morawiecki apelował na Twitterze: „Zachęcam wszystkich do korzystania z aplikacji STOP COVID. Technologia jest w walce z epidemią naszą wielką sojuszniczką".

Według badaczy z Oxfordu, „gdyby 80 proc. użytkowników smartfonów zainstalowało aplikację, co stanowi ok. 56 proc. populacji, pozwoliłaby ona opanować pandemię bez innych działań". Przy mniejszej liczbie użytkowników aplikacja nie jest bezużyteczna, ale jej skuteczność jest bezpośrednio zależna od zasięgu.

Jak pod tym względem wygląda STOP COVID? Katastrofalnie. Do 14 października pobrało ją 1 029 339 osób. To pozornie dużo, ale nie znaczy nic: bo od 31 lipca do 14 października w systemie „zameldowały się" zaledwie 72 zakażone osoby. Do 27 października – 137. Według danych Ministerstwa Zdrowia mamy w Polsce obecnie niemal pół miliona zakażonych.

Na projekt wydano 5 mln zł. W tym 3 mln na promocję. Kuriozalną: na początku do zachwalania apki wykorzystano... trollkonta. Fałszywe profile, takie jak „prof. Krzysztof Mantucki", wypisywały peany na cześć aplikacji i rządu – i zostały zdemaskowane niemal natychmiast. A przecież od początku jasne było, że kluczem do sukcesu aplikacji śledzącej nasze kontakty musi być zaufanie. Kto wpadł na pomysł, by walczyć o nie przy pomocy kłamstwa?

Jednak nie tylko polska aplikacja poniosła spektakularną klęskę. Nawet w dość autorytarnym Singapurze, który swoją aplikację wprowadził jako jeden z pierwszych na świecie, korzysta z niej najwyżej 25 proc. populacji. Wszędzie powody były podobne: połowa ankietowanych Singapurczyków nie pobrała aplikacji, by uniknąć śledzenia przez władze. Rządy płacą wysoką cenę za lata naruszeń prywatności swoich obywateli. Ale też przekonują się, że technologia nie jest środkiem na wszystko. Zwłaszcza w obliczu braku zaufania. ©

Zasiłek opiekuńczy dla wybranych

RODZICE ZOSTAJĄCY Z DZIEĆMI w domach po zamknięciu szkół otrzymają zasiłek opiekuńczy. Bez świadczeń zostaną najsłabsi – żyjący z nieregularnych zleceń.

Polska znów przechodzi na nauczanie zdalne (do tej pory do szkół uczęszczali jedynie uczniowie klas 1-3). Nie wiadomo, jak długo działać będą przedszkola. Rząd podjął więc decyzję o wypłacie dodatkowego zasiłku opiekuńczego. Świadczenie ma obowiązywać przez 21 dni: od 9 do 29 listopada. Zasady jego przyznawania są podobne jak wiosną, podczas pierwszego lockdownu. Pieniądze przysługiwać będą pracującym rodzicom dzieci w wieku do ośmiu lat, którzy po zamknięciu placówek nie będą w stanie zapewnić opieki potomstwu. Osobne kryteria dotyczą dzieci z niepełnosprawnościami – od lekkiej motorycznej po głęboką intelektualną. Szczegółowe zasady udzielania świadczenia można sprawdzić na stronie www.gov.pl.

Dla każdej rodziny zamknięcie placówek oświatowych oznacza rewolucję. Niestety, system znów zostawia na lodzie osoby utrzymujące się z nieregularnych zleceń, umów o dzieło bądź zatrudnione w szarej strefie (a to spory odsetek pracowników i rząd dobrze o tym wie). Ich rodziny nie otrzymają świadczeń. Rodzice w takiej sytuacji muszą godzić obowiązki zawodowe i opiekę nad dzieckiem, co przypomina sport wyczynowy. Jeśli nie pomogą w odrabianiu lekcji – zaniedbają dziecko, jeśli nie wykonają pracy na czas – stracą źródło utrzymania.

Dyskusja o uczciwym i zgodnym z prawem sposobie zatrudniania toczy się w Polsce od lat. Niewiele się zmienia. System jest życzliwy dla wybranych: udaje, że prawdziwa praca to ta na etat, inna się nie liczy.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

Czy ktoś się odważy mówić o kompromisie

PAWEŁ BRAVO

Jeszcze tydzień temu ulica skandowała przekleństwa i szyderstwa pod adresem establishmentu, prezes partii rządzącej grzmiał o końcu narodu, a biskupi porównywali domniemane krzywdy katolików w Polsce do krzywd Żydów sprzed wojny. Dziś zapanowała ogłuszająca cisza.

PiS odłożył do przyszłego tygodnia posiedzenie Sejmu, próbując uciułać większość dla złożonego przez prezydenta projektu przywracającego część unieważnionej przez TK przesłanki legalności aborcji. Projekt mówi o „wysokim prawdopodobieństwie, że dziecko urodzi się martwe albo obarczone nieuleczalną chorobą lub wadą, prowadzącą niechybnie i bezpośrednio do śmierci dziecka, bez względu na zastosowane działania terapeutyczne" – i nawet takie sformułowanie budzi sprzeciw kilkudziesięciu posłów Zjednoczonej Prawicy i hierarchów Kościoła.

A tym razem, w przeciwieństwie do „piątki dla zwierząt" z września, nie ma co liczyć na wsparcie choć części opozycji. Mimo że zawężające podejście do aborcji jest bliskie konserwatywnemu skrzydłu Platformy (która niekiedy lubi powoływać się na swoją chadeckość), to dziś w jej interesie jest przyglądanie się z założonymi rękoma PiS-owi w tarapatach.

W środowisku, które mianowało się koordynatorem protestów i próbuje przełożyć jego chaotyczny przekaz na spójny komunikat polityczny, także nastał czas przegrupowań. Energia działań ulicznych w sposób naturalny się wyczerpuje (zwłaszcza że trwa pandemia i zimny listopad). Ogłoszona zaś przez powołaną w tym celu radę lista postulatów okazała się na razie nieudolną przymiarką do nowego lewicowego populizmu – co widać choćby po ostrym języku i rygorze natychmiastowej wykonalności. Strajk Kobiet zadowoliłyby tylko przyspieszone wybory, chociaż to ostatnie, czego nam trzeba w sytuacji pandemii jeszcze gorszej niż wiosną. Trudno zresztą dociec, skąd w razie szybkich wyborów miałoby się znaleźć w elektoracie silne poparcie dla jego agendy, właściwie tożsamej z tym, co od dawna głosi parlamentarna lewica (a jej poparcie w sondażach bynajmniej nie wzrosło).

Jedyny gracz, który nieco się wzmocnił – zarówno w sondażach, jak i pod względem skali i jakości interakcji w mediach społecznościowych – to ruch Szymona Hołowni. Co dowodzi, że w kwestii szeroko pojętej świeckości państwa jest spore poparcie dla mozolnego budowania nowego kompromisu. Ale na razie strach głośno wypowiadać to słowo. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

KTO TU RZĄDZI
Przełożone obrady Sejmu, spekulacje o nowym kole zakładanym przez kontestujących „piątkę dla zwierząt" posłów PiS, podział wokół inicjatywy ustawodawczej Andrzeja Dudy w sprawie przywrócenia tzw. kompromisu aborcyjnego – wszystko to składa się na obraz tracącego większość w parlamencie obozu Zjednoczonej Prawicy.

KTO TU KŁAMIE
„Marksistowskie kłamstwa" – skomentował minister Przemysław Czarnek apel przedstawicieli środowiska akademickiego, domagających się jego odwołania ze względu na „brak poszanowania ludzi o innych poglądach, ukrainofobię, antysemityzm, dehumanizację osób nieheteronormatywnych, mizoginizm oraz pochwalanie kar cielesnych wobec dzieci".

KTO TU CHRONI
Prezes TVP Jacek Kurski „ze względu na dobro państwa" dostał ochronę funkcjonariuszy SOP. To pierwszy przypadek w historii III RP, by ta służba chroniła prezesa spółki Skarbu Państwa.

MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA GAZETA

KTO TU ODPOCZYWA
Rafał Trzaskowski odwołał Pawła Rabieja z funkcji wiceprezydenta Warszawy w związku z doniesieniami mediów, że jego niedawny zastępca po przejściu COVID-19 wyjechał na urlop za granicę, nie informując o tym przełożonego.

Banków nie stać na sprawiedliwość

NA WNIOSEK RZECZNIKA FINANSOWEGO jeszcze w tym roku Sąd Najwyższy może wydać wyrok, który powinien ustabilizować linię orzeczniczą sądów w sprawach o tzw. kredyty frankowe.

Po zeszłorocznej decyzji Trybunału Sprawiedliwości UE dotyczącej sporu o kredyt frankowy w polskim banku krajowe sądy zalała fala kilkudziesięciu tysięcy podobnych spraw. W pierwszej instancji orzecznictwo wyraźnie skręca w stronę korzystną dla klientów: sądy coraz częściej dochodzą do wniosku, że pozwany bank stosował klauzule abuzywne, co często prowadzi do unieważnienia umowy. Daleko tu jednak od spójnej linii orzeczniczej, dlatego sprawy frankowe ciągną się miesiącami i coraz bardziej obciążają wymiar sprawiedliwości. W niektórych sądach liczba nowych pozwów wzrosła od stycznia o 400 proc.

Właśnie dlatego rozbieżnościami w linii orzeczniczej w sprawach o kredyty walutowe zajmie się teraz Sąd Najwyższy. Ewentualny wyrok będzie obowiązywać także sądy drugiej instancji – i to najbardziej martwi banki. Związek Banków Polskich, branżowy wehikuł lobbingowy, zaapelował właśnie do Komitetu Stabilności Finansowej (w skład którego wchodzą Narodowy Bank Polski, Komisja Nadzoru Finansowego, Ministerstwo Finansów oraz Bankowy Fundusz Gwarancyjny) o interwencję w sprawie sporów o kredyty frankowe, zanim Sąd Najwyższy wyda orzeczenie. Zdaniem bankowców sądy wydają wyroki uderzające w „fundamenty funkcjonowania bankowości".

W tej kuriozalnej akcji widać oczywiście desperację branży, która próbuje przedstawiać utracone korzyści jako swoje „straty" i straszyć nimi opinię publiczną. A także coś bardziej niepokojącego – próbę podporządkowania reguł państwa prawa interesom ekonomicznym. Banki chcą kurczowo trzymać się litery prawa, dopóki chroni ono ich interesy. ©℗ MAREK RABIJ

RDC POLSKIE RADIO

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK opowie Grzegorzowi Chlaście o literaturze walczącej Frantza Fanona (tekst na s. 64) w środę 11 listopada o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

JIM LO SCALZO / EPA / PAP

Kamala Harris i Joe Biden po ogłoszeniu wyników wyborów. Wilmington, Delaware, 7 listopada 2020 r.

Joe Biden będzie nowym prezydentem USA

DOKONAŁ DWÓCH RZECZY, na które czekała liberalna Ameryka: pokonał Donalda Trumpa i sprawił, że po raz pierwszy w historii Stany będą mieć wiceprezydentkę: czarnoskórą Kamalę Harris.

O wygranej Joego Bidena przesądziło zwycięstwo w Pensylwanii. Demokrata zdobył tam 20 głosów elektorskich, co powiększyło pulę zebranych głosów do 273 (do zwycięstwa potrzeba minimum 270). Niedługo później wygrał też w Nevadzie. W zeszłą sobotę trwało jeszcze liczenie głosów w Georgii, Arizonie i Karolinie Północnej, ale nie miało to już wpływu na ostateczny wynik. Prezydent elekt wygłosił zwycięską mowę w Wilmington w Delaware. Obiecał, że będzie jednoczył Amerykanów i mówił o priorytetach swojej przyszłej administracji: odbudowie gospodarki, pandemii, systemowym rasizmie i ochronie klimatu.

Donald Trump z uporem roztacza wizję sfałszowanych wyborów. Odmawia uznania zwycięstwa rywala i zapowiada walkę w sądach. Eksperci twierdzą, że ma marne szanse. Tymczasem pod Białym Domem zebrał się tłum świętujący zwycięstwo Bidena. Euforię było widać także na ulicach Nowego Jorku, Atlanty czy Filadelfii. Natomiast wśród zwolenników Trumpa dominował gniew; w wielu miastach organizowali protesty, skandując: „To nie koniec" i „Zatrzymać kradzież".

Biden odwołał się do tych nastrojów, nakłaniając zwolenników Trumpa do dialogu. Czy 46. prezydentowi USA uda się ostudzić emocje w spolaryzowanym kraju? Jaka będzie jego polityka zagraniczna? Tego dowiemy się niebawem.

© MARTA ZDZIEBORSKA z Nowego Jorku

W dziale Świat tekst o pierwszych godzinach po wyborach (ukończony przed ogłoszeniem zwycięzcy). Więcej też w serwisie specjalnym: **powszech.net/usa2020**

Wiedeń po zamachu: przerażenie i żałoba

AUSTRIA PRZESTAŁA BYĆ neutralną „wyspą błogostanu": w ciepły jesienny wieczór, w poniedziałek 2 listopada, islamski terror dotarł do jej stolicy. Strzały padły około godziny 20.00, gdy wiedeńskie śródmieście roiło się od mieszkańców. Ostatnie godziny przed drugim już w tym roku lockdownem (obowiązującym od północy z poniedziałku na wtorek) chcieli spędzić na przechadzce czy spotkaniu w kawiarnianym ogródku. Sielankowa sceneria przemieniła się w horror. Krótko potem wydarzenia śledził już cały kraj: publiczne media przerwały zwykły program, aby informować na bieżąco o zabitych i rannych, o popłochu tłumów i trwającej akcji policji.

Następny dzień zweryfikował spekulacje świadków i przypuszczenia władz: w Wiedniu miał miejsce atak terrorystyczny motywowany islamskim ekstremizmem. Podobny do tych w innych częściach kontynentu, znanych Austriakom dotąd z medialnych doniesień. „Wyspa błogostanu", jak mówią o swoim kraju, nawiązując do dekad dobrobytu i neutralności na arenie międzynarodowej, przestała być oazą spokoju i bezpieczeństwa, bo pewien młody człowiek, uzbrojony w karabin szturmowy, pistolet i maczetę postanowił zabijać w imię swoiście pojmowanej religii. Zdążył pozbawić życia cztery osoby i zranić ponad 20, w tym siedem ciężko, zanim o godzinie 20.09 sam zginął od policyjnej kuli.

HANS PUNZ / AFP

Austriackie MSW szybko podało, że zamachowiec to pochodzący z rodziny macedońskich imigrantów 20-latek, który urodził się, wychował i następnie zradykalizował w Wiedniu. Jako zwolennik Państwa Islamskiego próbował dołączyć do islamistów, ale został ujęty jeszcze w Turcji i jako obywatel Austrii do niej deportowany. Tu osądzono go za przynależność do organizacji terrorystycznej i skazano. Został jednak przedterminowo zwolniony z więzienia z uwagi na młody wiek, a także ze względu na fakt, iż w więzieniu przeszedł tzw. kurs reedukacyjny (biorąc w nim udział, najwyraźniej zwiódł władze).

Według ustaleń policji sprawca działał sam. Ale nikt nie ma tutaj wątpliwości, że w Austrii istnieje potencjał islamskiego radykalizmu, który pewnego dnia może ujawnić się ponownie.

© BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK z Wiednia

Więcej: **powszech.net/austria-zamach**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WROCŁAW
Pierwszy przełomowy wyrok w polskim Kościele w sprawie tuszowania pedofilii przez hierarchów. 97-letni kard. Henryk Gulbinowicz otrzymał od Stolicy Apostolskiej zakaz używania insygniów biskupich. Nie może uczestniczyć w publicznych celebracjach i spotkaniach. Utracił przywilej pochówku w katedrze, musi także wpłacić „odpowiednią sumę" na działalność Fundacji św. Józefa wspomagającej ofiary nadużyć seksualnych. Emerytowany metropolita wrocławski oskarżany był m.in. o przenoszenie pedofilów z parafii do parafii i molestowanie 15-latka pod koniec lat 80.

STANISŁAW KOWALCZUK / EAST NEWS

GDAŃSK
Decyzją Stolicy Apostolskiej metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz poprowadzi dochodzenie badające zaniedbania byłego arcybiskupa gdańskiego Sławoja Leszka Głódzia w prowadzeniu spraw o wykorzystywanie seksualne małoletnich w kierowanej przez niego archidiecezji.

SZCZECIN
Zbigniew Nosowski publikuje wyniki kolejnego śledztwa dziennikarskiego. Tym razem naczelny „Więzi" bada sprawę blokowania przez 25 lat procesu kanonicznego przeciwko ks. Andrzejowi Dymerowi, oskarżonemu o wykorzystywanie chłopców. W sprawę zamieszani są kolejni metropolici szczecińscy: Marian Przykucki, Zygmunt Kamiński i Andrzej Dzięga, a także abp Sławoj Leszek Głódź i bp Stanisław Stefanek.

Koniec z Franciszkowym rabanem w Kościele?

PIOTR SIKORA

W zeszłym tygodniu Watykan opublikował – raczej niezauważony, a dla życia Kościoła ważny – papieski dokument *motu proprio* „Authenticum charismatis". Typ dokumentu wskazuje, że jest to własna inicjatywa Franciszka. Dotyczy on zaś relacji między kościelnym autorytetem hierarchii a charyzmatycznymi ruchami, które chcą uzyskać trwałą formę w Kościele.

W części teologicznej dokumentu papież podkreśla, że to pasterze mają obowiązek oceniać charyzmaty i to oni mogą – lub nie – zatwierdzać wszelkie charyzmatyczne inicjatywy. Franciszek wskazuje też, że każdy ruch czy wspólnota, nawet istniejąca na poziomie lokalnym, ma wpływ na cały Kościół.

Powyższe teologiczne rozważania uzasadniają ważną zmianę w prawie kanonicznym. Dotychczas kanon 539 stwierdzał, że biskupi diecezjalni mogą na własnym terytorium ustanawiać rozmaite wspólnoty „po niezbędnej konsultacji Stolicy Apostolskiej". Teraz będą mogli to robić po jej „pisemnej zgodzie".

Prawdopodobnie powodem decyzji papieża jest to, że w ostatnim czasie pojawia się w Kościele sporo ruchów i wspólnot rozpowszechniających dziwaczne, a często szkodliwe poglądy (np. w Polsce niektórzy głoszą, że komunia na rękę to profanacja). Franciszek uznał zapewne, że biskupi diecezjalni nie radzą sobie z tym problemem – pozwalając na działanie grupom, którym nie powinni byli pozwolić działać.

Wprowadzona zmiana prawna jest jednak sprzeczna z naciskiem, jaki Franciszek od początku pontyfikatu kładł w swoim nauczaniu na decentralizację Kościoła. Także teologiczne uzasadnienie zmiany kanonu jest odejściem od papieskiej „teologii rabanu, wychodzenia i rozeznawania" i powrotem do myślenia dominującego w Watykanie przed Franciszkiem.

Czyżby papieża zmęczyło ryzyko szukania nowych dróg na peryferiach? ©℗

Watykańskie fundusze pod specjalnym nadzorem

SEKRETARIAT STANU traci finansową niezależność. Decyzją papieża kontrolę nad jego środkami przejmuje sekretariat ekonomiczny Stolicy Apostolskiej oraz APSA – dwie instytucje nadzorujące wszystkie operacje ekonomiczne Watykanu. Obalony został ostatni i długo broniony bastion na drodze do pełnej transparentności i dopełnienia reformy gospodarczej rzymskiej kurii.

Sekretariat Stanu to urząd najściślej współpracujący z papieżem. Porównywany jest do rządu w państwie monarchicznym (kardynał sekretarz byłby w nim premierem, a jego najbliżsi współpracownicy – ministrami spraw wewnętrznych i zagranicznych). Dysponował własnymi środkami, które – jak już wiadomo – przeznaczano nie tylko na cele związane z działalnością (np. specjalne misje dyplomatyczne), lecz także inwestowano, często niefortunnie czy nawet wbrew prawu. O kontrolę nad tymi funduszami (w tym również nad pieniędzmi z tzw. świętopietrza) zabiegał już poprzedni sekretarz ekonomiczny, kard. George Pell, przy skutecznym oporze kard. Giovanniego Angela Becciu, sprawującego nad nimi niemal nieograniczoną władzę.

Papież chciał, by przekazanie kontroli nad finansami Sekretariatu Stanu zakończyło się do końca października. Najwyraźniej nie wszystko przebiegało zgodnie z jego wolą, skoro 5 listopada poinformowano o powołaniu specjalnej komisji, która będzie nadzorować ten proces oraz upubliczniono papieskie rozporządzenie, wydane jeszcze w sierpniu, a do teraz utrzymywane w tajemnicy. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

KORONABIBLIA – tak nazwał projekt odręcznego przepisania całego Pisma Świętego kalwiński ksiądz Uwe Habenicht z Sankt Gallen w Szwajcarii. W marcu wezwał do stworzenia wirtualnego skryptorium. „Chodzi o to, by w nowej, niezwykłej sytuacji lockdownu zwolnić, odnaleźć nowy rytm" – zachęcał. Ochotnicy, 1189 osób, w pierwszej kolejności „zarezerwowali" Psalm 23, Pieśń nad Pieśniami, opis stworzenia i historię Bożego Narodzenia. Efekt na coronabibel.ch ©℗ MAM

KULTURA W SKRÓCIE

MATERIAŁY PRASOWE GAGOSIAN GALLERY

W GALERII
Malarkę Ewę Juszkiewicz reprezentować będzie Gagosian Gallery, jedna z największych i najbardziej prestiżowych galerii na świecie. Niejednokrotnie doceniana w Polsce i za granicą artystka swoimi pracami bada sposoby przedstawiania kobiecych wizerunków w tradycyjnym malarstwie – burzy schematy, przekracza estetyczne normy, stawia pytania o kanon.

NA KOŃCU ŚWIATA
14 książek Olgi Tokarczuk zapisanych na 35-milimetrowej taśmie światłoczułej trafiło do Światowego Archiwum Arktycznego położonego na wyspie Spitsbergen w Arktyce. Wśród depozytów Biblioteki Końca Świata znajdują się m.in. Archiwa Narodowe Meksyku i Brazylii czy manuskrypty z Biblioteki Watykańskiej.

Z CHICAGO DO GDYNI
Film „Sweat" Magnusa von Horna zdobył główną nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Chicago. Obraz zobaczymy niebawem w przeniesionym do sieci Konkursie Głównym 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

ONLINE
Tymczasem Grecy zgłosili swojego kandydata do Oscara – to współtworzona przez łódzki dom produkcyjny Lava Films „Niepamięć" Christosa Nikou. Film można oglądać do 15 listopada na Festiwalu Nowe Horyzonty.

Czy kultura przeżyje pandemię

PIOTR KOSIEWSKI

Dzień Zaduszny został wybrany jako smutna metafora" – napisali organizatorzy protestu branży artystycznej 2 listopada. Postulowali m.in. comiesięczną rekompensatę strat dla artystów na samozatrudnieniu i freelancerów oraz osób współtworzących wydarzenia kulturalne, zwolnienia ze składek na ZUS oraz powrót do 50-procentowej frekwencji podczas wydarzeń kulturalnych. Tymczasem rząd ogłosił, że od 7 listopada kina, teatry, muzea i galerie sztuki zostają zamknięte – do 29 listopada, być może dłużej.

Sytuacja w teatrach już wcześniej była trudna: np. stołeczny Capitol dał w zeszłym roku 748 spektakli, a w tym (do października) tylko 240. Podobnie w kinach, gdzie w lipcu frekwencja w porównaniu z rokiem poprzednim spadła o 89 proc. Biblioteka Narodowa poinformowała, że od stycznia do czerwca 2020 liczba nowych tytułów książek – w porównaniu z rokiem 2019 – zmniejszyła się o 28 proc. Przychód ze sprzedaży muzyki na nośnikach fizycznych spadł w tym samym czasie o blisko 23 proc. Przy radykalnym ograniczeniu liczby koncertów, zawieszeniu festiwali i zamknięciu restauracji i barów ludzie muzyki znaleźli się w skrajnie trudnej sytuacji.

Ratunku szuka się w sieci. Przeniosły się tam ważne festiwale, jak MFF Nowe Horyzonty czy krakowskie Sacrum Profanum, przenoszą się ponownie muzea, galerie sztuki i teatry. Sieć jednak nie zrekompensuje strat finansowych, a przede wszystkim nie zastąpi bezpośredniego kontaktu z odbiorcami. Zresztą odzyskanie odbiorców „w realu" nie będzie łatwe, bo pandemia zmienia nasze nawyki.

Ministerstwo Kultury poinformowało, że na pomoc dla branży kulturalnej i artystów przeznaczono już ponad 6 mld zł. Wsparcie nie dotarło jednak do wszystkich potrzebujących i nie jest wystarczające. Poza tym – co dalej? Trudna sytuacja w branży przekłada się na problemy dla całej gospodarki. Wkład kultury do PKB to 3,5 proc., wytwarzana wartość dodana to około 30 mld zł.

Nie powinien zatem dziwić transparent zatknięty na bramie ministerstwa: „Daj żyć kulturze". ©

Kres norek

RZĄD DUŃSKI planuje likwidację hodowli norek w związku z rosnącą liczbą przypadków transmisji SARS-CoV-2 z tych zwierząt na ludzi. Oznacza to wybicie 15 mln osobników. Obecność wirusa u norek wykryto w ponad 200 fermach (z 1,2 tys. w całym kraju), połączono z nimi około 400 przypadków zakażenia u ludzi. Statens Serum Institut, odpowiednik polskiego Głównego Inspektoratu Sanitarnego, sugeruje, że na fermach doszło do mutacji, która mogłaby osłabić skuteczność opracowywanych właśnie szczepionek. Jak dotąd nie przedstawiono jednak sekwencji genetycznej nowego szczepu koronawirusa ani nie opublikowano żadnego artykułu naukowego na jego temat.

W Niderlandach, będących trzecim po Chinach i Danii największym wytwórcą futra z norek, również odnotowano przypadki transmisji wirusa na ludzi, które przyspieszyły plany zakończenia hodowli: z 2024 na 2021 rok. Obecnie w Europie oraz w USA trwają badania naukowe mające ustalić, na jakiej zasadzie dochodzi do transmisji SARS-CoV-2 pomiędzy gatunkami oraz jego mutacji. Pewne jest, że niskie zróżnicowanie genetyczne norek oraz utrzymywanie ich w dużych zagęszczeniach sprzyjają szybkiemu rozprzestrzenianiu się wirusa. © MICHAŁ ŚWIĄTEK

Polowanie: zajęcie dla kobiet

W POCHODZĄCYM SPRZED 9 TYS. LAT GROBIE zlokalizowanym w Andach archeolodzy odnaleźli 20 kamiennych ostrzy i grotów. Wyglądało to na miejsce pochówku osoby o wysokim statusie – zręcznego myśliwego, być może nawet lokalnego przywódcy. Badaczy zaskoczyło kolejne odkrycie: że złożony obok tych narzędzi szkielet należał do kobiety.

Według zespołu Randalla Hassa z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davies nie jest to odosobniony przypadek. Badacze przeanalizowali odkrycia z innych stanowisk w Amerykach i doliczyli się przynajmniej 10 kobiet-łowczyń. Stawia to pod znakiem zapytania standardową teorię, zgodnie z którą w społecznościach przedrolniczych to mężczyźni polowali, zwłaszcza na duże ssaki, zaś kobiety zajmowały się zbieractwem, przygotowywaniem posiłków i opieką nad dziećmi. Przynajmniej w niektórych paleolitycznych społecznościach role płciowe mogły być bardziej zmienne. ©℗ ŁK

NIEPODLEGŁOŚĆ NIEPARLAMENTARNA

Głównym przeciwnikiem bieżących protestów nie jest PiS czy Kościół, lecz bardziej ogólna kategoria „dziadersa", który uzurpuje sobie prawo do decydowania o życiu młodych i pouczania ich na każdym kroku.

PAULINA GÓRSKA, MARCIN NAPIÓRKOWSKI

PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI / GALLO / GETTY IMAGES

Protesty przeciw zaostrzeniu prawa aborcyjnego, Gdańsk, październik 2020 r.

Jak to się wszystko zaczęło? Proponując swoim wyborcom wielkościowy, nieskazitelny obraz narodu, Prawo i Sprawiedliwość wepchnęło ich w pułapkę. Dla kogoś, kto swoje indywidualne poczucie wartości opiera wyłącznie na przynależności do pewnej wyidealizowanej grupy, wszyscy, którzy tej wizji nie podzielają, będą osobistymi wrogami.

PiS przekuł te emocje na program polityczny, wpisując je w spójną opowieść o transformacji ustrojowej jako wielkim oszustwie. III RP to miał być *matrix*. Produkt spisku, układu, skutek uwłaszczenia się agentury. Zasady, które zbudowały nową hierarchię, godne są pogardy i odrzucenia, a wraz z nimi upaść musi cała postkomunistyczna elita. To nie przypadek, że kluczową bazę intelektualną i emocjonalną PiS stanowią ci, którzy przez lata marzyli o Wielkim Odwróceniu Świata: artyści pozbawieni nagród i splendoru galerii; niedrukowani w mediach dziennikarze „niepokorni", którzy latami musieli czytać, jak Adam Michnik objaśnia Polakom świat; politycy przez kolejne kadencje hartujący się w opozycji i wyszydzani przez „salon"; niedocenieni bohaterowie Solidarności, zepchnięci w cień Lecha Wałęsy. To z nimi mają się utożsamić miliony Polaków, którym z bardzo różnych powodów w nowej Polsce wiodło się gorzej.

Ale po zmianie władzy część obywateli została przez retorykę rządzącej prawicy sprowadzona do roli nie-Polaków, elementu obcego, zagrożenia czy wręcz zarazy. A to, co właśnie wydarzyło się na ulicach polskich miast, było wybuchem gniewu młodych ludzi, reprezentujących wszystkich tych, których w ciągu ostatnich lat konsekwentnie pozbawiano poczucia znaczenia.

Warto jednak pamiętać, że długotrwały, nierozładowany gniew może z czasem przekształcać się w pogardę. I że w ogóle między gniewem a pogardą przebiega cienka granica.

Sens i bezsens

Władimir i Iwan byli ubogimi wieśniakami. Mieszkali sobie w chatkach po dwóch stronach drogi i nienawidzili się szczerze. Pewnego razu sam Pan Bóg, nie mogąc już znieść ich ciągłych kłótni, zaszedł do domku Władimira i przemówił w te słowa: „Władimirze, Władimirze, spełnię twe życzenie. O cokolwiek poprosisz – otrzymasz. Jest jednak jeden warunek. Twój sąsiad, Iwan, otrzyma to samo w dwójnasób". Władimir zamyślił się chwilę, zdjął czapkę, poskrobał po ciemieniu, po czym odrzekł: „Panie Boże, wyłup mi jedno oko". ↦

Ta stara baśń zyskała niedawno drugie życie, przywołana w naukowym artykule z zakresu psychologii społecznej. Jim Sidanius z Uniwersytetu Harvarda prowadził z zespołem badania nad preferowaną dystrybucją zasobów w warunkach konfliktu międzygrupowego. Okazało się, że przy rozdzielaniu np. pieniędzy między grupę własną i obcą osobom badanym zależało nie tylko na tym, aby ich grupa otrzymała jak najwięcej. Istotna była też jak największa różnica w stanie posiadania „swoich" i „obcych". Tendencja do maksymalizacji różnic była szczególnie silna u osób, które postrzegały relacje z grupą obcą w kategoriach konfliktu, a rzeczywistość społeczną odbierały jako hierarchię, w której zbiorowości lepsze dominują nad gorszymi.

Świat postrzegany przez pryzmat tej logiki staje się dziwacznym polem walki, na którym wzajemne wyniszczenie jest zaskakująco kuszącą strategią. Im mocniej wciśnięty w ziemię Władimir, tym lepiej czuje się Iwan; im bardziej zmiażdżony Iwan, tym swobodniej oddycha Władimir. Pragnienie upokorzenia wroga okazuje się większe nawet niż dbałość o własny interes.

Poczucie sensu również jest zasobem, który możemy zwiększać lub zmniejszać. Składa się na nie przekonanie o własnym znaczeniu, pewność posiadanych celów i wartości, ale też świadomość, że nasze zdanie liczy się i zostanie przez kogoś wysłuchane. Gdy tracimy poczucie znaczenia – twierdzi Arie Kruglanski, kluczowy badacz tej problematyki – zaczynamy szukać sposobów na jego odzyskanie. Można to robić przez działania pozytywne, można też – jak Władimir – odbierać godność i znaczenie sąsiadowi. Poczujemy się lepiej, jeżeli uda nam się dowalić tym drugim.

Coś, co wybuchło w Polsce teraz, gromadziło się od dawna. Władza ściskała pewne grupy, budując ich kosztem poczucie wartości innych. Wygrywała Władimira przeciw Iwanowi, w sytuacjach próby wyciągając natychmiast winnych, wrogów czy zagrażających wspólnocie obcych. Opozycja – zarówno w narodzie, jak i w parlamencie – była marginalizowana, odcinana od jakiegokolwiek wpływu na rzeczywistość i upokarzana.

Badania polskiej współpracowniczki Kruglanskiego, Katarzyny Jaśko, pokazują, że gdy ciśnienie upokorzenia przekroczy pewien poziom, a poczucie własnego znaczenia spadnie zbyt drastycznie – odpowiedzią staje się radykalizacja. Zmarginalizowani wiedzą, że ich głos nie zostanie wysłuchany. Że muszą krzyczeć naprawdę głośno, by przebić się przez mur lekceważenia i obojętności.

To, co rozgrywa się dziś na ulicach, warto potraktować jako lekcję.
Gorzkie przypomnienie, co się dzieje, gdy przeciwnikom politycznym odbiera się poczucie wartości i godności.

Jak duża część teorii psychologicznych, koncepcja Kruglanskiego jest intuicyjnie zrozumiała. To dość oczywiste, że zwiększanie ciśnienia spowoduje w końcu wybuch. Mimo to PiS przyjął logikę Władimira, prąc do upokorzenia przeciwników nawet za cenę strat własnych. Dlaczego? Co sprawiło, że politycy partii rządzącej przez lata potęgowali napięcie społeczne, które właśnie wybuchło im prosto w twarz?

Zwycięzcy i przegrani

Resentyment to poczucie, że świat, który nas nie docenił, nie zasługuje na to, byśmy my go doceniali. Karmi się przekonaniem, że nie dostaliśmy tego, na co zasłużyliśmy, a ci, którzy z różnych powodów znaleźli się na górze, nie są warci swojej pozycji.

Wielu ekspertów i komentatorów słusznie podkreśla, że PiS skutecznie dowartościował grupy społeczne, których poczucie znaczenia było po 1989 r. niskie i stopniowo malało, zwłaszcza w zestawieniu z innymi grupami, publicznie celebrującymi swe sukcesy. Dokonało się to na wielu frontach. Od transferów ekonomicznych, symbolizowanych przez 500 plus, przez retorykę patriotyczną budującą dumę z samego faktu przynależności do narodu i dalsze zwiększenie wpływów Kościoła, aż po docenienie ludowego gustu, co widać wyraźnie w ramówce TVP. W sondażu przeprowadzonym latem zeszłego roku (patrz: infografika na sąsiedniej stronie) 4 na 10 wyborców partii rządzącej zadeklarowało, że sytuacja polityczna w Polsce jest dla nich źródłem poczucia ważności. Proporcja ta była nawet wyższa wśród osób identyfikujących się jako głęboko wierzące – w grupie tej poczucie osobistej ważności ze względu na sytuację polityczną w kraju zadeklarowało blisko 50 proc. respondentek i respondentów.

Warto jednak zauważyć, że to przywrócenie wartości odbyło się nie tylko w sposób pozytywny, poprzez rzeczywistą zmianę poczucia znaczenia, lecz przede wszystkim w sposób zbliżony do bajki o Władimirze i jego sąsiedzie. PiS nie tylko dostrzegł tych pozostawionych w tyle przez „elity", nie tylko powiedział im „wasze zdanie się liczy", lecz także w sposób demonstracyjny pokazał dawnym beneficjentom transformacji, że ich zdanie, ich wartości, ich wizja świata są czymś obcym, gorszym, bezwartościowym. Stąd wyszydzanie mieszczańskiego, liberalnego etosu, na który składały się dbałość o wykształcenie, przedsiębiorczość czy chęć samorozwoju, a także mniej lub bardziej refleksyjne „gonienie Zachodu".

Z dnia na dzień niedawne wielkomiejskie elity (lub ci, których tą etykietą opatrzono) stały się tymi złymi. Także i to znalazło odzwierciedlenie w przywoływanym sondażu. Wśród wyborców i wyborczyń tzw. opozycji demokratycznej (KO, KP i Lewica) sytuację polityczną jako źródło poczucia ważności wskazało niespełna 30 proc. badanych. Jednocześnie ponad 40 proc. zwolenników partii opozycyjnych zadeklarowało, że stan polityki w kraju wywołuje w nich poczucie upokorzenia.

Nie ulega wątpliwości, że w procesie transformacji znacznej części społeczeństwa polskiego odebrano głos i poczucie wartości. Zwrócenie szacunku nastąpiło jednak „kosztem tych drugich". Wydaje się zatem, że PiS dowartościował pewne grupy, ale nie zwiększył „sumy poczucia znaczenia w całym społeczeństwie". Co więcej: dowartościowując własnych wyborców, PiS wcale nie sprawił, że ich poczucie osobistej kontroli nad rzeczywistością stało się wyższe niż w przypadku wyborców opozycji. Przeciwnie, ich samopoczucie zostało jeszcze silniej powiązane ze światem zewnętrznym, zwłaszcza z tym, co robią, mówią i myślą politycy partii rządzącej.

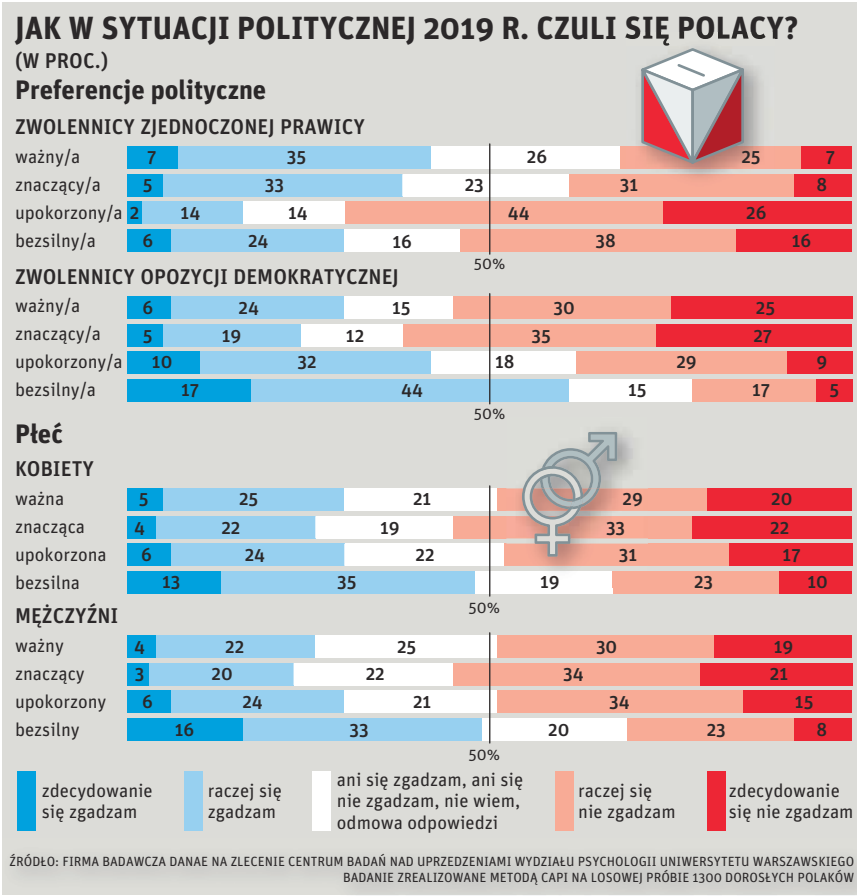

LECH MAZURCZYK

Czy można było tego uniknąć? I czy przy kolejnej zmianie władzy można tego błędu nie powtórzyć, umknąć logice ponownego wychylenia wahadła? Czy da się dowartościować jednych inaczej niż przez pognębienie drugich? Czy wybór jednej partii musi skutkować chęcią zniszczenia oponentów?

Psychologia ma na te pytania odpowiedź.

Narcyzi i bezpieczni

Pozytywne odczucia wobec grupy własnej wcale nie muszą się wiązać z niechęcią wobec grup obcych. Poczucie, że szkoda innych jest korzyścią dla nas, wiąże się ściśle z kolektywnym narcyzmem. To taki rodzaj identyfikacji z grupą własną, w którym uważamy, że nasza grupa jest najlepsza, a jednocześnie niedoceniana przez innych. Poszukując na próżno potwierdzenia własnej wielkości w świecie zewnętrznym, widzimy wrogów i konkurentów we wszystkich, którzy odmawiają uwielbienia naszej grupie. Kolektywny narcyzm prowadzi wówczas do mentalności oblężonej twierdzy. Taka wizja rzeczywistości staje się źródłem pragnienia zemsty na tych, którzy nie podzielają wielkościowej wizji naszej grupy. Wiele elementów kolektywnego narcyzmu w wydaniu narodowym można dostrzec w modelu kultury i polityki, jaki proponuje PiS.

Przeciwieństwem kolektywnego narcyzmu jest natomiast „identyfikacja bezpieczna", obejmująca pozytywny stosunek do grupy własnej, połączony ze zdolnością do autokrytyki. Osoby identyfikujące się z grupą własną w sposób bezpieczny nie odbierają płynącej z zewnątrz informacji zwrotnej jako zagrożenia, ale przetwarzają ją w celu usprawnienia działania swojej grupy.

Kolektywny narcyzm wymusza podtrzymywanie wyidealizowanego obrazu grupy własnej. Obcy, którzy mogą ten obraz zakwestionować, albo po prostu go nie potwierdzić, z automatu postrzegani są jako zagrożenie i traktowani nieufnie. Poczucie zagrożenia oraz brak osobistego poczucia kontroli sprzyjają z kolei wierze w teorie spiskowe, zgodnie z którymi działający w ukryciu wrogowie robią wszystko, by nam zaszkodzić. Podobnych odczuć nie mają osoby identyfikujące się z grupą własną w sposób bezpieczny. Jako że ten rodzaj identyfikacji dopuszcza skazy na wizerunku grupy własnej, nie ma potrzeby, by go chronić przed krytyką z zewnątrz. W grupach obcych widzi się zatem nie potencjalne zagrożenie, ale partnera.

Gniew i pogarda

W relacji międzyludzkiej gniew pojawia się, gdy chcemy utrzymać związek z drugą osobą, ale postawiliśmy sobie za cel zmianę jej przekonań lub sposobu zachowania. Pogarda towarzyszy nam, gdy relację uznaliśmy już za straconą i chcemy jedynie zaszkodzić drugiej stronie.

W związkach międzyludzkich gniew pełni więc ważną, twórczą rolę. Prowadzi do wyładowania emocji, ale nie zamyka możliwości pojednania. Celem gniewu jest zmiana stanu rzeczy w sytuacji postrzeganej jako krzywdząca czy niesprawiedliwa. Osoba odczuwająca gniew wierzy, że może zmienić niezadowalające *status quo*. Pogarda tymczasem zakłada zerwanie relacji i pogodzenie się z tym, że sytuacji nie da się naprawić. Pogarda nie wymaga też wysokiego poczucia sprawczości – wręcz przeciwnie, często rodzi się, gdy brakuje go całkowicie. Możliwa jest pogarda „w górę" i „w dół" – można gardzić ludźmi, którzy w hierarchii są wyżej, i tymi, którzy są niżej, ale pogarda z zasady nie chce hierarchii obalać.

Nicole Tausch – badaczka zajmująca się zagadnieniem protestów – wskazuje, że to właśnie te dwie emocje często organizują manifestacje w przestrzeni publicznej. Związana z dehumanizacją drugiej strony konfliktu pogarda nie stawia sobie za cel rzeczywistej zmiany sytuacji, ale zaszkodzenie przeciwnikowi. Daje tym samym impuls do działań nienormatywnych, których najradykalniejszą formą jest przemoc. Gniew z kolei łączy się z silnym poczuciem sprawczości i nastawiony jest na usunięcie czynników stanowiących przyczynę danego protestu. Nawet silny gniew wiąże się z przekonaniem, że zachowanie drugiej strony konfliktu może zostać zmienione, co sprawia z kolei, że zniszczenie czy anihilacja przeciwnika nie jest konieczna. Gniew skłania więc do podjęcia działań normatywnych, takich jak pokojowe demonstracje czy wywieszanie flag lub transparentów w dozwolonych ↦

↦ miejscach. Pogarda prowadzi do radykalizacji i akceptacji przemocowych zachowań nienormatywnych, a więc łamania zasad społecznych, w celu wyrządzenia krzywdy znienawidzonej grupie. Jak w historii o Władimirze i jego sąsiedzie – wiem, że nic nie zyskam (może nawet stracę), ale przynajmniej będę patrzył, jak cierpicie.

Oczywiście emocje odczuwane w ramach jednego ruchu protestu nie muszą być jednolite – podczas gdy osoby o wysokim poczuciu skuteczności będą czuć gniew i angażować się w sposób normatywny, inni, których sprawczość została poważnie nadwątlona w trakcie danego konfliktu, mogą odczuwać pogardę i podejmować działania nienormatywne.

W jakim kierunku rozwiną się masowe protesty rozgrywające się dziś na ulicach polskich miast? Kiedy piszemy te słowa, wydaje się, że przyjmą one formę cotygodniowych demonstracji. Jeżeli tymi demonstracjami będzie kierować logika gniewu, a nie pogardy, można zachować pewien optymizm i liczyć, że mamy do czynienia z kolejnym polskim przykładem „samoograniczającej się rewolucji", w której następuje stopniowe zmniejszenie radykalizacji działań przy jednoczesnym przekuciu energii na konstruktywne postulaty. Na rzecz takiego rozwoju wypadków przemawia początkowy sukces bieżących protestów. Skala mobilizacji w pierwszych dniach po ogłoszeniu orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego nie tylko zaskoczyła rządzących, ale wzmocniła też poczucie skuteczności organizatorek i uczestniczek protestu. Pamiętać jednak należy, że przeniesienie gniewu na płaszczyznę efektywnych działań politycznych to oddzielne wyzwanie.

Młode i stare

Toczący się dziś spór otwiera nadzieję na ucieczkę z błędnego koła wyboru Władimira, gdyż powołuje do życia nowy rodzaj podmiotu politycznego. Gniew ulicy jest wprawdzie wynikiem konsekwentnie podkręcanego przez PiS ciśnienia, jednak główną siłą napędową protestu są młodzi, którzy żądają nie tyle kolejnego odwrócenia hierarchii, ile raczej unieważnienia głównych linii sporu organizujących polską debatę publiczną po roku 1989.

Choć młodzi w żadnym wypadku nie są grupą jednorodną, to spory między nimi nie powielają osi konfliktu starszych, a łącząca ich płaszczyzna wspólna jest olbrzymia. Młodzi nie mają charakterystycznych dla pokolenia ich rodziców i dziadków kompleksów wobec Zachodu. Wielu protestujących urodziło się już w Unii Europejskiej. Oni nie wiedzą, co to znaczy „aspirować do Europy". Obalanie komunizmu jest dla nich historią. Nie wychowali się w świadomości, że mają być wdzięczni Kościołowi katolickiemu za twardy sprzeciw wobec partii komunistycznej. Jan Paweł II jest dla nich postacią z memów, a nie potężnym herosem, w cieniu którego dorastały poprzednie pokolenia.

Gniew jest ostatnią bronią przypartych do muru. Ci, którzy najbardziej cenią dialog, powinni być szczególnie ostrożni w jego potępianiu.

Trzeba też przyznać rację tym prawicowym komentatorom, którzy twierdzą, że to Netflix wyprowadził dziś młodych na ulicę. Gusta i poglądy najmłodszych pokoleń faktycznie kształtuje zglobalizowana kultura popularna. Czymś oczywistym jest dla nich natychmiastowy dostęp do tych samych dóbr, którymi cieszą się ich zachodnie koleżanki i koledzy. Posługują się językami obcymi, mają równie dobrą wiedzę jak rówieśnicy zza Odry, dlaczego więc mają mieć mniejsze prawa albo inaczej patrzeć na kwestię małżeństw homoseksualnych? Trudno się dziwić, że upominają się o swoje.

Inną kwestią, której nie tolerują, jest seksizm. Choć przybiera bardzo różne formy – od przemocy i otwarcie wrogich deklaracji w stylu Janusza Korwina-Mikkego aż po nieproszone dobre rady liberalnych komentatorów – jego istotą jest zawsze hierarchizacja, w ramach której kobiety pozostają odcięte od określonych sfer życia.

To właśnie na przecięciu tych dwóch podziałów – pokoleniowego i płciowego – zrodził się główny przeciwnik bieżących protestów. Nie jest nim ani Trybunał Konstytucyjny, ani PiS, ani nawet Jarosław Kaczyński czy Kościół, lecz bardziej ogólna kategoria „dziadersa" – starszego mężczyzny, który uzurpuje sobie prawo do wyjaśniania młodym kobietom świata, decydowania o ich życiu i pouczania ich na każdym kroku. Skarnawalizowany gniew młodych jest skierowany właśnie przeciwko „dziadersom" – politykom, księżom i zawodowym objaśniaczom świata ze starszego pokolenia wraz z ich hierarchiami, kompleksami, a także logiką Władimira, w ramach której zwycięstwo jednych możliwe jest tylko poprzez pognębienie drugich.

Nieparlamentarnie i parlamentarnie

Co będzie dalej? Droga od gniewu do uchwalenia konkretnych projektów ustaw jest długa i kręta. Uzyskanie rozumianej konwencjonalnie reprezentacji politycznej to jedno z większych wyzwań, jakie stoją przed współczesnymi ruchami politycznymi. Wynika to z odmiennej natury polityki prowadzonej na ulicy i w parlamencie.

Protesty są oddolne, zdecentralizowane i horyzontalne – nie ma w nich sztywnej hierarchii, w ramach której szeregowi działacze muszą karnie wykonywać polecenia wydawane przez liderki i liderów. Udział w protestach nie wymaga wiedzy prawniczej ani pełnoetatowego zaangażowania – podobnie jak bycie kierowcą Ubera czy inne zajęcia z zakresu *gig economy* może być podejmowany z doskoku, raz na jakiś czas. Protesty są silnie nacechowane etycznie (przyłączając się do nich, mamy możliwość zachowania manichejskiej wizji świata), ale też estetycznie – przy okazji możemy dać upust swojej kreatywności, a następnie pochwalić się transparentami w mediach społecznościowych. Tę estetyczną wartość rewolucji artyści dostrzegli już zresztą dawno, czego najbardziej kanonicznym przykładem jest zapewne „Wolność wiodąca lud na barykady" Eugène'a Delacroix. Dziś piękno gniewu docenić możemy komentując zdjęcia wrzucone do sieci przez zawodowców lub zaangażowanych znajomych.

Zestawiona z protestami polityka parlamentarna wydaje się brudna i nudna. Oprócz silnego zogniskowania wokół przywódców (co najlepiej oddaje uporczywe niezrozumienie publicystów i komentatorów dla struktury zarządzanej kolektywnie Partii Razem), wymaga ona codziennej, żmudnej pracy, wiedzy o instytucjach i systemie prawnym oraz poruszania się w labiryncie sztywnych za-

sad formalnych, nawet jeśli od jesieni 2015 r. zasady te są regularnie naginane. Poza rzadkimi momentami, takimi jak chociażby tęczowe stroje posłanek Lewicy podczas zaprzysiężenia prezydenta Andrzeja Dudy na drugą kadencję, polityka parlamentarna nie uwodzi emocjami i pomysłowością.

Największym problemem jest jednak fakt, że polityka z definicji zakłada gotowość do kompromisu, taktycznego wycofywania się ze swoich żądań czy, niekiedy, rezygnowania z ważnych dla nas wartości. U protestujących, których oburzenie wynika z naruszenia istotnych dla nich norm moralnych, szukanie porozumienia z drugą stroną, a nawet budowanie koalicji z innymi aktorami po tej samej stronie barykady, wzbudza niesmak, a niekiedy wręcz obrzydzenie. To właśnie z wbudowanej w politykę „koncyliacyjności" i konieczności godzenia interesów różnych grup może wynikać negatywna ocena polityki i polityków wśród najmłodszych wyborców, którą odnotowało niedawno Laboratorium Poznania Politycznego Instytutu Psychologii PAN.

Ale bieżący konflikt od ideału polityki parlamentarnej różni jeszcze jedna rzecz. Rzeczywisty dialog możliwy jest tylko między równymi.

Dialog i połajanki

Łatwo apelować o spokój i kulturę, jeżeli ma się na wyciągnięcie ręki mnóstwo możliwości spokojnego i kulturalnego wyrażania swojego zdania. Ale to gniew jest ostatnią bronią przypartych do muru. Ci, którzy najbardziej cenią dialog, powinni być szczególnie ostrożni w jego potępianiu. Bo dialog, którego wstępnym warunkiem jest, żeby zawsze było miło i uprzejmie, to żaden dialog. To łaskawy monolog uprzywilejowanych.

Dlatego nawet jeżeli rażą nas niektóre formy ekspresji gniewu, warto powstrzymać się od prostego moralizowania, wytykania braku kultury i mówienia protestującym (znów), że lepiej od nich wiemy, co powinni robić. Zamiast pouczać, lepiej spróbować się czegoś od młodych nauczyć.

Jeżeli dialog i szukanie kompromisu mają być czymś więcej niż narzędziem utrwalania istniejącej hierarchii, to warunkiem wstępnym jest to, by obie strony zaczęły postrzegać się jako pełnoprawnych aktorów. Ta równowaga została zaburzona – najpierw przez lata potransformacyjnych zaniedbań, a potem przez politykę PiS opartą na logice baśniowego Władimira.

To, co rozgrywa się dziś na ulicach, warto potraktować jako lekcję. Gorzkie przypomnienie o tym, co się dzieje, gdy przeciwnikom politycznym odbiera się poczucie wartości i godności. To tym ważniejsze, że nauka, którą możemy wyciągnąć, dotyczy nie tylko przeszłości, lecz – przede wszystkim – przyszłości.

Dziś na ulicach polskich miasteczek i miast widać wyraźnie, jak bardzo potrzebny nam jest nowy patriotyzm, nieoparty na modelu oblężonej twierdzy i niewzmacniający kolektywnego narcyzmu. Wiara w niepodległość, której nie trzeba nieustannie bronić przed zewnętrznymi i wewnętrznymi wrogami.

Widać, że potrzebny nam pomysł na odczarowanie polityki (zwłaszcza w oczach młodych) i przeniesienie debaty z ulicy, która jest przestrzenią ekspresji gniewu, do parlamentu, który powinien być przestrzenią przekuwania emocji na skuteczne działania. Walcząc o odzyskanie podmiotowości, musimy zawsze strzec się, by swej energii nie skupić na wydrapaniu oczu przeciwnikowi. Bo gdy to stanie się naszym głównym celem, w ferworze walki będziemy gotowi wyłupić własne oko, byleby tamci ostatecznie dostali za swoje.

© PAULINA GÓRSKA, MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ARCHIWUM PRYWATNE

DR PAULINA GÓRSKA jest psycholożką, pracowniczką Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW, współautorką badań „Polityczna polaryzacja w Polsce – jak bardzo jesteśmy podzieleni" z 2019 r.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

DR HAB. MARCIN NAPIÓRKOWSKI jest semiotykiem kultury, pracownikiem Instytutu Kultury Polskiej UW, stałym współpracownikiem „TP". Opublikował m.in. „Powstanie umarłych" i „Turbopatriotyzm"

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Ta obca

Hagar to egipska służąca Sary. Możemy jedynie spekulować, czy pramatka otrzymała ją w posagu, czy też Hagar była darem od faraona, pamiątką niesławnego pobytu Abrahama i jego żony w tym południowym z perspektywy Kanaanu kraju.

Hagar zasłynęła początkowo jako niedobrowolna surogatka, podsunięta mężowi przez niemogącą zajść w ciążę Sarę. Źródła mezopotamskie sprzed prawie czterech tysięcy lat, jeszcze przed Kodeksem Hammurabiego, zaświadczają o praktyce traktowania niewolnicy jak inkubatora. Niekoniecznie zdawano sobie wówczas sprawę z tego, że była ona też dawczynią jajeczka – kobiece łono postrzegano jako pole, na którym wyrasta męskie nasienie.

Jak wyglądała odtąd relacja Abrahama i Hagar? Czy była nastawiona wyłącznie na prokreację? Trudno sobie wyobrazić, żeby praojciec dalej widział w Hagar tylko służącą. Niemniej pozwolił Sarze na zdyscyplinowanie ciężarnej, która – wedle pramatki – zanadto obrosła w piórka. Skrzywdzona kobieta uciekła na pustynię, gdzie stało się coś niesamowitego – Hagar sama nadała Bogu imię (Rdz 16, 13): „Jesteś Bogiem, który mnie widzi" – czyli jestem podmiotem, ja, egipska niewolnica, i sama biorę odpowiedzialność za budowanie mojej więzi z Bogiem. Zwiastowanie kończy się wbrew prawu z Pwt 23, 16, nadającemu wolność niewolnikom zbiegłym do Izraela. Tymczasem anioł nakazuje powrót Hagar do Sary – czyżby ciężarna, która ma urodzić wyjątkowego syna, musiała pozostać niewolnicą? Warto wspomnieć, że jej syn Izmael sam spłodzi dwunastu synów, zupełnie jak praojciec Jakub dwanaście plemion Izraela.

Kiedy na świecie pojawił się Izaak, uznany za jedynego prawowitego dziedzica Abrahama, Hagar stała się zbędna. Czy obawy Sary o zły wpływ Izmaela na jej syna miały jakieś podstawy? Wyrosły w tym samym domu chłopiec śmiał się, a imię jego młodszego brata znaczy właśnie „będzie się śmiał". Czyżby zanadto zatarły się granice między synami Abrahama i Sara znów musiała pokazać rywalom, gdzie ich miejsce?

Wygnana wraz z synem na pustynię, Hagar po śmierci Sary wróciła do Abrahama. Utożsamiana przez tradycję z Keturą, urodziła mu kolejne dzieci, które jeszcze za życia ojca zostały wysłane jak najdalej od Izaaka. Imię Ketura pochodzi od kadzidła (heb. *ketoret*), Hagar zaś przywodzi na myśl *hager*, co znaczy „(ta) obca". Jej los antycypuje los dzieci Izraela: i oni, jako obcy, będą cierpieć zniewoleni przed wybawieniem z Egiptu – miejsca jej pochodzenia. Bóg słyszy (hebr. *jiszmael*) głos umierającego z pragnienia chłopca, usłyszy i swoje dzieci uciemiężone w Egipcie. I dla Izmaela, i dla Izraelitów znajdzie się woda na pustyni. Hagar jest w nas, czy tego chcemy, czy nie. Nie odsyłajmy jej więc do studni niepamięci. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Niewolnicza pobożność

Główny bohater ewangelicznej przypowieści o talentach przed wyruszeniem w drogę przekazuje swój ogromny majątek w ręce sług. Zna ich dobrze, wie, kogo na co stać. Dlatego urzędnik najbardziej uzdolniony otrzymuje sumę, na którą musiałby pracować sto lat. Najwyraźniej pan darzy swoich ludzi dużym zaufaniem, gdyż nie określa, jak mają pieniędzmi dysponować. Liczy na ich przedsiębiorczość. Po powrocie okaże się, że owszem, dwaj słudzy spisali się na medal, trzeci jednak zadaniu nie sprostał. Wiemy, że pod postacią bogatego pana ukrywa się inny Pan, ale kierujący się podobnymi zasadami. Bóg Ojciec jest głównym bohaterem tego opowiadania, a Jego majątkiem jest wszystko, cokolwiek istnieje.

Z tego Bożego bogactwa przypadł nam w udziale ten skrawek kosmosu, jakim jest Ziemia i najbliższa okolica. Natomiast cała reszta wciąż jest nieznana i z trudem poznawana. Wszystko, co wiemy o świecie, to z jednej strony bardzo mało, ale z drugiej strony ta skąpa wiedza pozwala zasadnie podejrzewać, że nasza rzeczywistość, powiedzmy: widzialna, dostępna naszym zmysłom i umysłowi, nie jest rzeczywiście jedyną i być może istnieje wiele innych światów ze sobą sprzęgniętych. Nie stawiajmy więc granic Bożej wszechmocy, czyli miłości.

Ewangeliczny bogaty człowiek, rozdając majątek sługom, liczył na ich twórczą aktywność, wierzył, że sami z siebie, w wolności, będą podejmowali decyzje, które doprowadzą do pomnożenia majątku. Bóg postępuje podobnie, nie chce przecież, jak mówi Jezus, mieć nas za niewolników, ale za dzieci, za domowników. Papież Franciszek mówi, że „życie moralne i religijne nie może ograniczać się do lękliwego i wymuszonego posłuszeństwa". Są jednak ludzie, którzy starają się spełniać przykazania właśnie w taki sposób – Jezus zaś daje do zrozumienia, że nasze postępowanie nie może bazować na takiej formie strachliwej dyscypliny, ale jego regułą musi być miłość.

Musi ona zmierzać równocześnie i nierozłącznie ku Bogu oraz ku bliźniemu, i to jest druga zasada. To jedna z głównych nowości w nauczaniu Jezusa, która uzmysławia nam, że nie jest prawdziwą miłością Boga to, co nie wyraża się w miłowaniu bliźniego; i podobnie nie jest prawdziwą miłością bliźniego to, co nie czerpie z relacji z Bogiem. To znaczy, że przed Bogiem liczy się wierność, a mniej zysk. Dwaj słudzy otrzymują tę samą nagrodę bez względu na wielkość zysku, jaki zdobyli. Chodzi nie tylko o zachowanie przykazań, o przynoszenie owoców, ale przede wszystkim o postawę wobec otrzymanego kapitału. Dla Boga nie jesteśmy siłą roboczą, ani tylko zaufanymi współpracownikami, ale „współstwórcami" Wszechświata, wspólnego domu, gdzie Bóg będzie „wszystkim we wszystkich". ©

Podczas modlitwy nie dopuszczaj żadnego zmysłowego wyobrażenia – bo twój umysł się zagubi.

JAN KLIMAK

Powściągnąwszy zjawiska świadomości, podmiot poznający utrzymuje się w swojej właściwej naturze.

PATAŃDŻALI

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Słowo wykute w skale

Liturgia Dnia Zadusznego przypomniała nam słowa, które powinny być – jak mówi Hiob – nie tylko „zapisane w księdze", ale „wyryte na skale" – a więc tak, by nie podległy zatarciu czy zniszczeniu; by mogły stać się dla nas nieustannym punktem odniesienia.

Co to za słowa?

Oto te: „Lecz ja wiem: Wybawca mój żyje, na ziemi wystąpi jako ostatni" (Hi 19, 25). Piękne słowa. Pełne nadziei. Hiob ma rację: nadzieja powinna być wyryta na skale.

Ta nadzieja najbardziej przemawia do mnie z owego zdania zapisanego w łacińskim przekładzie św. Hieronima: „*Scio enim quod redemptor meus vivit, et in novissimo super pulvere stabit*" – „Lecz ja wiem, że Odkupiciel mój żyje, i w [dzień] ostateczny stanie nad prochem". Właśnie tak: nie „na ziemi", lecz „nad prochem".

Intuicja Hieronima poucza nas, że ostatni głos będzie należał do Pana nie tylko „na ziemi"; że to Bóg zostanie jako ostatni – a więc niepokonany, mocniejszy niż wszystko (niż zło, cierpienie, śmierć, grzech) w dziejach świata. To by już nam wystarczyło. Ale Hieronim wyczuwa w okrzyku Hioba jeszcze inny pokład nadziei. Do Boga będzie należało ostatnie słowo nie tylko w dziejach „ziemi", ale również w dziejach „prochu". To znaczy... w moich dziejach. Bóg w akcie stworzenia lepił nas z „prochu" ziemi; i przypomniał nam tę prawdę po naszym grzechu: „prochem jesteś, i w proch się obrócisz".

Jesteśmy prochem. Czy trwająca pandemia nie przekonuje nas o tym codziennie? Modliłem się dzisiaj na porannej Eucharystii o wyzdrowienie o. Kazimierza, fantastycznego łódzkiego jezuity. Po Eucharystii odczytałem nadesłanego w nocy esemesa: „o. Kazimierz zmarł dziś w nocy o 1.25". Są dni w tym tygodniu, w których będę odprawiał po dwa pogrzeby... Jesteśmy prochem.

Ale w ostatnim dniu – w ostatnim, rozstrzygającym o wszystkim momencie – Pan stanie nad tym prochem, którym jestem.

Stanie jako kto?

Jako Goel. Jako najbliższy Krewny, zdecydowany wystąpić w obronie wszystkich naruszonych moich praw, jako Ten, który zażąda dla mnie utraconego przeze mnie dziedzictwa; jako Ten, kto jest gotów – jeśli trzeba – wykupić mnie z niewoli. Jako mocny i zdecydowany, wierny i bliski przez więzy krwi Obrońca.

Co za nowina o Bogu! Bóg się przyznaje do pokrewieństwa z prochem. Lepił nas „z prochu ziemi". Tak. Ale: na swój obraz i podobieństwo. I każdego z nas uczynił Osobą żyjącą, gdy w proch ziemi tchnął swojego Ducha.

Proch. I Goel. Nadzieja chrześcijańska.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 XI)

33. niedziela zwykła: Prz 31, 10-13. 19-20. 30-31; Ps 128; 1 Tes 5, 1-6; Mt 25, 14-30;
Poniedziałek: Ap 1, 1-4; 2, 1-5a; Ps 1; Łk 18, 35-43;
Wtorek: Ap 3, 1-6. 14-22; Ps 15; Łk 19, 1-10;
Środa: Ap 4, 1-11; Ps 150; Łk 19, 11-28;
Czwartek: Ap 5, 1-10; Ps 149; Łk 19, 41-44;
Piątek: Ap 10, 8-11; Ps 119; Łk 19, 45-48;
Sobota: Ap 11, 4-12; Ps 144; Łk 20, 27-40;
34. niedziela zwykła – uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata: Ez 34, 11-12. 15-17; Ps 23; 1 Kor 15, 20-26. 28; Mt 25, 31-46.

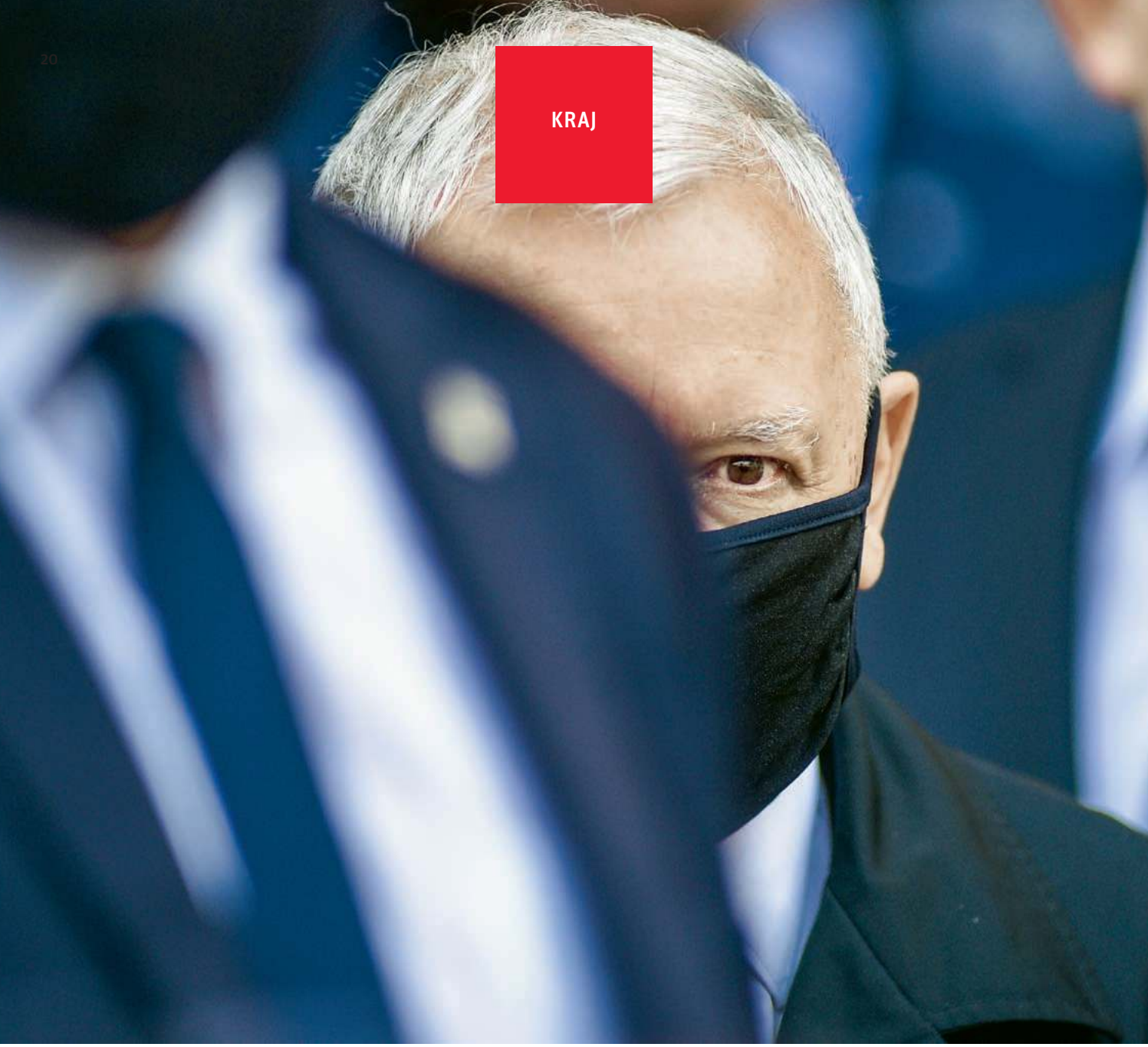

ZMIERZCH BOGA WOJNY

Jarosławowi Kaczyńskiemu już nieraz przepowiadano polityczną śmierć. Nawet parę razy wpadał w stan śpiączki. Tym razem jednak ma wyraźny kłopot z przebudzeniem.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

125. miesięcznica smoleńska, 10 września 2020 r.

Gdyby sporządzić listę najbardziej groteskowych wystąpień Jarosława Kaczyńskiego z ostatnich lat, to mimo dużej konkurencji ta przemowa znalazłaby się w czołówce. Gdy wybuchły uliczne protesty po orzeczeniu kontrolowanego przez PiS Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zaostrzenia przepisów aborcyjnych, gdy niewielka część demonstrantów ruszyła na kościoły, Kaczyński nagrał mocne przesłanie do swych zwolenników. „Mamy stan, w którym wszelkiego rodzaju zgromadzenia powyżej pięciu osób są zakazane. Mamy stan, w którym te demonstracje będą z całą pewnością kosztowały życie wielu ludzi" – stwierdził, mimo że sam wielokrotnie łamał zasady epidemiczne. Jego zdaniem osoby, które uczestniczą w protestach, „dopuszczają się poważnego przestępstwa".

Oczywiście przekonywał, że Trybunał nie mógł orzec inaczej, jak tylko uznać przerywanie ciąży w razie ciężkiego uszkodzenia płodu za niezgodne z konstytucją. Nie ma przy tym cienia wątpliwości, że osobiście dał zielone światło sędziom – prawie wyłącznie ludziom PiS. Wszak od lat powtarzał, że PiS zlikwiduje – jak to ujmował – „przesłankę eugeniczną" usuwania ciąży. Najgłośniejszy był jego wywiad dla Polskiej Agencji Prasowej sprzed czterech lat. „Będziemy dążyli do tego, by nawet przypadki ciąż bardzo trudnych, kiedy dziecko jest skazane na śmierć, mocno zdeformowane, kończyły się jednak porodem, by to dziecko mogło być ochrzczone, pochowane, miało imię" – mówił wówczas. Zwłaszcza sformułowanie o „zdeformowanym dziecku" demonstrujący doskonale pamiętają.

Gotowy na konfrontację

Zaostrzając przepisy aborcyjne, sędziowie zrobili w praktyce to, za co Kaczyński wielokrotnie ostro TK krytykował, zanim go przejął, poniżył i podporządkował. Otóż prezes zwykł atakować Trybunał za to, że z ogólnikowych zapisów konstytucji wyciąga daleko idące wnioski, którymi ingeruje w ustrój państwa. Teraz z konstytucji obowiązującej od 1997 r., która – jak przyznał w wystąpieniu Kaczyński – jest dzieckiem formacji lewicowych, liberalnych i raczej laickich, Trybunał nagle wyciągnął wniosek, że należy wprowadzić praktyczny zakaz aborcji. Czyż to nie sądokracja w pełnej krasie?

Ale nie to było w wystąpieniu prezesa najciekawsze – przecież samą esencją praktyki politycznej Kaczyńskiego jest hipokryzja. Ważniejsze, że oto w apogeum jesiennego ataku koronawirusa wyraźnie próbuje podgrzać wojnę polityczną i światopoglądową, pokazując nawet, że jest gotowy na konfrontację. „Wzywam wszystkich członków PiS i wszystkich, którzy nas wspierają, do tego, żeby wzięli udział w obronie Kościoła, w obronie tego, co dziś jest atakowane nieprzypadkowo. W tych atakach widać pewne elementy przygotowania, być może nawet wyszkolenia. To atak, który ma zniszczyć Polskę. Ma doprowadzić do triumfu sił, których władza w gruncie rzeczy zakończy historię narodu polskiego" – mówił.

Monika Jaruzelska wrzuciła do internetu kadr ze słynnym wystąpieniem swojego ojca, którym wprowadzał stan wojenny 13 grudnia 1981 r. Oczywiście to chwytliwy internetowy mem, ale nie tylko ona miała takie skojarzenia. Do wielu polityków w PiS dotarło, że przestają prezesa rozumieć. Część nawet zaczęła się zastanawiać, czy prezes jeszcze się nadaje do uprawiania polityki. Dotarło do nich, że tak jak Kaczyński politycznym talentem wyniósł PiS do władzy, tak teraz zapiekłością i konfliktowością może te rządy przedwcześnie zakończyć. Po raz pierwszy od pięciu lat w PiS pojawiły się poważne obawy, że zaczyna się upadek.

Trzy kryzysy w pół roku

Agenda Jarosława Kaczyńskiego z ostatniego półrocza najlepiej ilustruje postępującą powoli alienację, zanik instynktu politycznego i upośledzenie słuchu społecznego. Najpierw wiosną, po wybuchu pandemii, za wszelką cenę parł do wyborów prezydenckich. Bez Andrzeja Dudy mógłby zapomnieć o swobodnych jednoosobowych rządach. Ponieważ wybory kłóciły się z koronawirusowymi zabezpieczeniami, wymyślił, że zorganizuje głosowanie korespondencyjne – którego sam wcześniej był przeciwnikiem twierdząc, że to droga do fałszerstw, i które sam wcześniej ograniczył (tak, hipokryzja w pełni).

Kaczyński postawiłby na swoim, gdyby nie wicepremier Jarosław Gowin, który sięgnął po twarde weto. W tej sytuacji przez kilka tygodni politycy PiS zajęci byli ryciem w otoczeniu Gowina, by przekupić jego ludzi. Wszystko to w sytuacji, gdy koronawirus rozlewał się po Polsce, chorych przybywało, a zmarli grzebani byli podczas pięcioosobowych pogrzebów. Ostatecznie Kaczyński się cofnął, bo nie był w stanie złamać większości ludzi Gowina. Za zgodą opozycji obaj politycy ustalili przeprowadzenie wyborów na przełomie czerwca i lipca w wersji tradycyjnej, przy dużym reżimie sanitarnym.

Zaraz potem obóz władzy wziął się za rekonstrukcję rządu. Przebudowywał strukturę, łącząc ministerstwa kilka miesięcy wcześniej podzielone i dzieląc niedawno połączone. Szybko doszło do kolejnego potężnego konfliktu koalicyjnego. ↦

↦ Poszło o dwie ustawy, na których bardzo zależało Kaczyńskiemu. Jedna gwarantowała bezkarność urzędnikom, którzy mogli naruszyć prawo podczas działań związanych z pandemią. Chodziło głównie o premiera, który działa pod naciskiem Kaczyńskiego bez żadnej podstawy prawnej. Druga ustawa dotyczyła ochrony zwierząt. Zbigniew Ziobro nie chciał się zgodzić na żadną z nich, w dodatku podczas głosowań nad ustawą o zwierzętach grupa posłów i senatorów PiS wypowiedziała posłuszeństwo Kaczyńskiemu. Koalicja z trudem przetrwała.

Konflikt o wybory z Gowinem, konflikt o urzędniczą bezkarność i zwierzęta z Ziobrą, a do tego spuszczenie ze smyczy Trybunału Konstytucyjnego, który akurat w szczycie pandemii dostał zgodę na zaostrzenie przepisów aborcyjnych – za każdą z tych rzeczy osobno i za ich toksyczny miks w czas pandemii odpowiada Kaczyński.

Przez apodyktyczność i upór, a nade wszystko brak wyczucia sytuacji politycznej i nastrojów społecznych prezes doprowadził w ciągu półrocza pandemii do trzech poważnych kryzysów politycznych, a w finale wyprowadził ludzi na ulicę.

Nawet jak na jego spore umiejętności destrukcyjne jest to osiągnięcie bez precedensu.

Lista spraw na odchodne?

Zazwyczaj w PiS był ścisły krąg ludzi, z którymi Kaczyński rozmawiał o polityce – co oczywiście nie znaczy, że się z nimi konsultował. Mateusz Morawiecki, Joachim Brudziński, Ryszard Terlecki, Piotr Gliński czy Jacek Kurski znali przynajmniej uzasadnienie działań prezesa. Dziś nawet politycy ze ścisłej wierchuszki PiS są zagubieni, bo nie mają pojęcia, jakie plany ma prezes. Dlatego snują teorie, które mają tłumaczyć jego działania. Są trzy zasadnicze.

Pierwsza – prezes działa bez żadnego planu, kieruje się emocjami i tak naprawdę zaczyna poważnie szkodzić PiS. Mówi czołowy polityk PiS: – Proszę przeanalizować jego ostatnie ruchy. Najpierw zmusił partię do przyjęcia ustawy o ochronie zwierząt. Łamał ludzi kołem, groził im wyrzuceniem. Przekonywał nas, że dzięki tej ustawie wieś się unowocześni. Wiedział, że stracimy na prawicy, ale przekonywał, że zdobędziemy młody elektorat i przesuniemy się trochę do centrum. A potem kazał Trybunałowi zaostrzyć prawo aborcyjne, czym odsunął się od młodych i od centrum. Gdzie tu logika? Efekt: wszyscy są na nas wściekli.

Są jednak wciąż tacy, którzy w działaniach Kaczyńskiego chcą widzieć logikę. Wierzą w jego wielki plan. Mógłby on wyglądać tak: ponieważ zachorowań na koronawirusa dramatycznie przybywa, a w każdym dniu umierają setki ludzi, prezes postanowił uciec do przodu. Temu właśnie ma służyć orzeczenie TK. Kaczyński musiał się spodziewać, że wybuchną protesty, skoro w 2016 r. próba zaostrzenia prawa aborcyjnego zakończyła się gigantycznymi czarnymi marszami. Wedle tej teorii Kaczyński sam – poprzez orzeczenie TK – inspirował protesty, zakładając, że kontrole nad nimi przejmą radykałowie. A to dałoby mu podstawę do wprowadzenia stanu wyjątkowego i spacyfikowania opozycji (można wówczas zawieszać działanie partii), kontrolowanych przez nią samorządów (można do nich wysłać komisarzy) i niezależnych mediów (wprowadzenie cenzury).

O ile ten scenariusz rzeczywiście pojawiał się w plotkach w pierwszych kilku dniach protestów, to dziś jest już mało prawdopodobny, choć wykluczyć się go nie da – wszystko zależy od postępów pandemii i temperatury ulicznych protestów.

Należy jednak pamiętać, że stan wyjątkowy wprowadza prezydent, na wniosek rządu. I że zatwierdza go parlament. Nawet gdyby Andrzej Duda się zgodził – co dziś wcale pewne nie jest pewne, bo jego relacje z Kaczyńskim są lodowate – prezes mógłby mieć potem kłopot w parlamencie, ponieważ wicepremier Gowin i jego ludzie stanu wyjątkowego nie popierają.

Jest też trzecia możliwość, która pojawia się w spekulacjach. Oto prezes ma listę spraw, które chce załatwić, zanim odda władzę albo opuszczą go siły witalne. I właśnie przystąpił do jej realizacji. Zwierzęta? Zawsze chciał zwiększenia ich ochrony. Aborcja? Od lat chciał takich przepisów, jakie ustanowił TK. Sądy? Prezes już obmyślił reorganizację Sądu Najwyższego, by wyrzucić z niego wszystkich nie swoich sędziów – i wkrótce także ten pomysł się pojawi.

Gdzie tkwi sedno państwa

Każda z tych teorii ma luki. Ale wszystkie mają część wspólną – Kaczyński jest w najpoważniejszych tarapatach od momentu dojścia do władzy. Ma skłóconych, nieufnych koalicjantów, podzielony PiS, złe relacje z prezydentem i tłumy przeciwników na ulicach. No i wirusa, nawet przede wszystkim wirusa.

Zaraza zweryfikowała negatywnie doktrynę Kaczyńskiego, którą wpajał swym zwolennikom przez trzy dekady. Według niej fundament państwa stanowią służby specjalne, prokuratura i sądy, wspomagane przez propagandowe media opłacane z publicznych pieniędzy. Usługi społeczne, takie jak służba zdrowia czy edukacja, nigdy specjalnie prezesa nie interesowały, a zmiany, które rząd PiS w tych obszarach wprowadzał, były pozorne.

Służba zdrowia? W poprzedniej kadencji wprowadził tzw. sieć szpitali, w której każda placówka ma gwarantowane pieniądze – ale czy to cokolwiek poprawiło? Za to w swoim stylu walczył z domagającymi się podwyżek lekarzami i pielęgniarkami, podburzając przeciw nim opinię publiczną. Nawet teraz w PiS pojawiła się pokusa, by odpowiedzialność za dramatyczną sytuację zwalić na medyków. Najlepiej ilustrują to słowa wicepremiera Jacka Sasina, który stwierdził, że część lekarzy i pielęgniarek nie chce wykonywać swych obowiązków.

Edukacja? Prezes bawił się w likwidację gimnazjów, a nie unowocześniał szkół, przez co nauka zdalna to dziś wielka improwizacja. Z nauczycielami też rzecz jasna walczył.

I najważniejsze – Kaczyński był przez ostatnie lata niczym Święty Mikołaj, rozdający prezenty z budżetu państwa. Gotówką kupił sobie poparcie i przyzwolenie na podbój wszelkich instytucji państwowych. Ale przez to dziś – gdy kryzys zajrzał nam w oczy – nie mamy zaskórniaków, którymi moglibyśmy się poratować.

Mit Kaczyńskiego jako polityka o dalekosiężnych planach, przewidującego wiele ruchów na szachownicy, upada nie tylko ze względu na jego ostatnie groteskowe wystąpienia. I nie tylko dlatego, że w ciągu pół roku pandemii wykreował trzy potężne kryzysy i wyprowadził ludzi na ulice. Upada nade wszystko dlatego, że jego lansowana od trzech dekad wizja państwa okazała się anachroniczna, po prostu boleśnie nieaktualna. Widowiskowym przykładem klęski tej ideologii pięści jest wejście Kaczyńskiego do rządu na fotel wicepremiera, który ma nadzo-

rować Ministerstwo Sprawiedliwości, resort obrony i MSWiA. To kompletne nieporozumienie.

Prawdziwe pandemiczne kłopoty Polska ma dziś w trzech wspomnianych obszarach – zdrowiu, edukacji i gospodarce. Ministerstwa siłowe nie są dziś kluczowe, biorąc pod uwagę sytuację w kraju. Są, owszem, kluczowe, ale z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej w obozie władzy. Kaczyński wchodzi do rządu choćby po to, by poskromić Zbigniewa Ziobrę. Nie rozwiązuje aktualnych problemów Polski, tylko aktualne problemy partii.

Sygnał alarmowy

Wszystko to stanowi element poważniejszego zjawiska – kryzysu przywództwa w wydaniu Kaczyńskiego. Chodzi o przywództwo w dwóch obszarach. Po pierwsze – w obozie władzy. Serią niezrozumiałych działań poważnie nadszarpnął swą pozycję i uruchomił u części swych posłów myślenie o nadciągającym końcu jego epoki.

Wspomniane ostre orędzie pod wieloma względami było sygnałem alarmowym. Chodzi nie tylko o to, co mówił, ale także o to, w jakich okolicznościach owo orędzie powstało. Nagrali je rzecznicy PiS Anita Czerwińska i Radosław Fogiel, co – biorąc pod uwagę ich nikłą pozycję polityczną – oznacza, że zażądał tego od nich Kaczyński.

Wszystko tu jest nie tak: za wysoki stół, który czyni Kaczyńskiego optycznie mikrym, słabe światło, które potęguje posępność twarzy. Do tego cięcia i dogrywane fragmenty – chałupnicza robota. Mistrz propagandy Jacek Kurski dostał furii, gdy to zobaczył. W programach TVP kazał tak kadrować wystąpienie, by nie było widać dłoni Kaczyńskiego spoczywających na zbyt wysokim stole, bo prezes wygląda przez to karykaturalnie.

Prezes okazał się niewolnikiem własnej politycznej metody – konfliktu – której nie potrafił porzucić, mimo że kraj stanął wobec niespotykanego dramatu.

Skoro Kurski nie wiedział, że prezes planuje takie wystąpienie, to znaczy, że nie wiedział o tym nikt. Wystąpieniem – i co do formy, i co do treści – zaskoczona była cała partyjna wierchuszka. Nie dość, że Kaczyński twardo stanął na pozycji nienaruszalności orzeczenia TK, to jeszcze ostro zaatakował opozycję. W całkowitej sprzeczności z planami premiera, który od momentu podjęcia decyzji przez TK stara się wyciszyć nastroje. Morawiecki był zresztą wcześniej jednym z niewielu polityków PiS popierających otwarcie kompromis aborcyjny, który TK teraz zburzył. „Widzieliśmy w ostatnich latach, jakie napięcia wywołują próby przeprowadzenia zmian tzw. kompromisu aborcyjnego. Te próby zamiast przybliżać nas do celu, jakim jest pełna ochrona życia, polaryzują Polaków" – mówił jesienią 2019 r. w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego".

Już po orzeczeniu, którym Kaczyński go zaskoczył, Morawiecki próbował wciągnąć opozycję w rozmowy na temat wyjścia z kryzysu. A Kaczyński robił swoje. W trakcie wystąpienia sejmowego podgrzewał nastroje, atakując opozycję. „Wy, wzywając do demonstracji, rozwalacie Polskę! Narażacie na śmierć mnóstwo ludzi! Jesteście przestępcami!".

Można byłoby pomyśleć, że panowie podzielili się rolami dobrych i złych policjantów. Ale tak nie było. Kaczyński jest bogiem wojny, a Morawiecki chce mieć święty spokój, by skupić się na walce z koronawirusem. Na otwartej konfrontacji, na starciach ulicznych, na niepokojach Morawiecki będzie tracił jak nikt inny – a to może zachwiać jego pozycją w obozie władzy.

Za, a nawet przeciw

Najwyraźniejszym dowodem na kryzys jest to, że Kaczyńskim targają sprzeczności: rzuca pomysły, za które płaci dużą polityczną cenę, by się potem z nich wycofywać. Prezes co do zasady się nie cofa, nawet jeśli popełnia kardynalne błędy – to sprzeczne z jego naturą.

W sprawie wyborów korespondencyjnych jednak się cofnął, nie zaryzykował konfrontacji z opozycją i Gowinem w Sejmie. Kontrowersyjną dla prawicy i rolników ustawę o ochronie zwierząt przyjmował w Sejmie przy gigantycznych kosztach politycznych – protestach ulicznych, którym towarzyszył bunt części parlamentarzystów. A teraz też się z niej po cichu wycofał.

Inspirował orzeczenie TK w sprawie aborcji, a teraz dał przyzwolenie, by – omijając prawo – owego orzeczenia nie drukować w Dzienniku Ustaw, przez co formalnie go nie ma. Ściągnął w ten sposób na siebie ataki Kościoła i aktywistów antyaborcyjnych – a zatem jest na dobrej drodze, by stracić wdzięczność biskupów i fundamentalistów katolickich. Staje się mistrzem szukania doraźnych recept na ↦

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w **Tezeuszu** – największym antykwariacie w Polsce!

Wszystko załatwimy za Ciebie

Szybka wycena książek

Miejsce na nowe książki

Recykling literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezpłatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na **www.skupksiazek.pl**

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl

↦ fundamentalne kłopoty, które sam wygenerował.

Do punktu wrzenia

Dlatego też nie ma się co dziwić, że – to drugi aspekt kryzysu przywództwa – Kaczyński zawodzi także jako lider państwa. Przez pięć lat zbudował system polityczny na wzór monarchii, w którym tylko on ma prawo podejmować zasadnicze decyzje. A kiedy koronawirus szaleje, monarcha nie jest w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności. Nie demonstruje rzeczywistego przywództwa, tylko pogłębia podziały. Okazał się niewolnikiem własnej politycznej metody – konfliktu – której nie potrafił porzucić, mimo że kraj stanął wobec niespotykanego dramatu.

Wszystkie wystąpienia Kaczyńskiego z ostatnich dni dowodzą tego, że albo nie pojmuje, do czego doprowadził, albo świadomie podgrzewa konflikt społeczny, licząc na wrzenie. Jeśli jest w tym jakiś plan, to próżno oczekiwać jego pozytywnych dla PiS rezultatów. Wszystkie sondaże z ostatnich dwóch tygodni pokazują spore tąpnięcie poparcia dla PiS, przy wzroście notowań opozycji. W tej chwili PiS ma około 30 proc. poparcia, Koalicja Obywatelska oscyluje wokół 25 proc., a na kilkanaście punktów może liczyć partia Szymona Hołowni.

W całym obozie władzy tylko premier realnie zajmuje się pandemią, bo od tego zależy jego polityczna przyszłość. Organizuje spotkania z opozycją, apeluje o zakończenie ulicznych protestów i dosypuje pieniędzy medykom walczącym z COVID-19 – wszystko wbrew logice swojego prezesa, nakazującej konfrontację, nakazy i zakazy.

Morawiecki jest w trudnej sytuacji, i to na własne życzenie. Jego rząd beztrosko zmarnotrawił ostatnie półrocze, nie przygotowując strategicznych obszarów do jesiennej fali. Dziś w panice podejmuje decyzje chaotyczne – takie jak zamknięcie cmentarzy tuż przed 1 listopada, które postawiło w trudnej sytuacji branżę kwiaciarską. Jest zresztą atakowany przez ludzi Zbigniewa Ziobry – poważna sytuacja w kraju nie obniżyła napięcia między premierem a jego głównym konkurentem.

Inna rzecz, że sam Ziobro zniknął. Co najwyżej na Twitterze wygraża protestującym przeciwko orzeczeniu TK albo rękami swego zaufanego prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego naciska na prokuratorów w sprawie ich ścigania. Tak naprawdę – jak słychać w obozie władzy – Ziobro obawia się zakażenia i dlatego lepiej się czuje w ukryciu.

Wystąpienia Kaczyńskiego z ostatnich dni dowodzą, że albo nie pojmuje, do czego doprowadził, albo świadomie podgrzewa konflikt społeczny.

Zniknął także Andrzej Duda i sięgające dziesiątek tysięcy statystyki zakażeń nie są w stanie go zmobilizować do działania. Z letargu wyrwały go dopiero żona z córką. Kinga Duda napisała w internecie: „Nie mogę pogodzić się z konsekwencjami, jakie niesie ze sobą wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Każdy człowiek ma wolną wolę". Z kolei Agata Kornhauser-Duda, milcząca dotąd latami, niespodziewanie zabrała głos w Polsacie: „Czy kobiety muszą być zmuszone do heroizmu? Mam tutaj wątpliwości" – mówiła. Nieoficjalnie wiadomo, że za ich oświadczeniami stała Marianna Rowińska, kiedyś dbająca o ubiór pierwszej pary, a dziś uważana za szarą eminencję Pałacu Prezydenckiego z ambicjami wpływania na klan Dudów.

Tuż po orzeczeniu TK prezydent się z niego cieszył. „Nigdy tego nie ukrywałem, że aborcja z tzw. względów eugenicznych nie powinna być w Polsce dozwolona. Uważałem i uważam, że każde dziecko ma prawo do życia" – mówił w „Dzienniku Gazecie Prawnej". Pod wpływem trzech pań – i ulicznych protestów – zmienił zdanie. Zaproponował projekt ustawy, który ma łagodzić skutki decyzji TK – chodzi o zgodę na przerwanie ciąży w przypadku wad śmiertelnych płodu. To wykluczałoby zabieg np. w przypadku zdiagnozowania zespołu Downa. W PiS nie ma jednak większości, by taki projekt uchwalić. W dodatku Duda naraża się na konflikt z Kościołem, który już wydaje gniewne pomruki. Nie wiadomo też, co w tej kwestii zrobi prezes.

To jeszcze potrwa

Bo dziś prezes jest bardziej samotny niż zwykle. Wedle nieoficjalnych informacji w szczycie protestów urzędował w rządowym kompleksie mieszkalnym przy ulicy Parkowej w centrum Warszawy, bo jego dom na stołecznym Żoliborzu stał się ulubionym miejscem pielgrzymek wrogów PiS.

Na Nowogrodzkiej przez kilka tygodni ziała pustka – nie do wyobrażenia przez ostatnie lata, gdy karawany ministrów przyjeżdżały tam po dyrektywy. Dopiero kilka dni temu Kaczyński znów zaczął się pojawiać w partyjnej centrali. Ale czy to jeszcze polityczne epicentrum dla obozu władzy?

Kaczyński jest znacznie słabszy niż rok temu, po drugiej wiktorii w wyborach parlamentarnych. Gdy zagrzewał do obrony kościołów i atakował demonstrujących przeciwko orzeczeniu TK, wyglądało to jak wezwanie do policyjnej pacyfikacji. Ale do pacyfikacji nie doszło. Według nieoficjalnych informacji naciskom Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika – szefów MSWiA, ludzi Kaczyńskiego – sprzeciwił się szef policji nadinspektor Jarosław Szymczyk, ostatni doświadczony policyjny generał, którego PiS jeszcze nie wylało. Poza pojedynczymi ekscesami policja zachowuje się wobec protestujących bardzo wstrzemięźliwie, choć w ostatnich latach zdarzało jej się przekraczać granice w obchodzeniu się z przeciwnikami politycznymi PiS. To też dowód na to, że Kaczyński nie może już wszystkiego, że czasy polityki nakazowo-rozdzielczej sterowanej z Nowogrodzkiej dobiegają końca.

Politycznej śmierci Kaczyńskiego nie ma jednak co wieszczyć. Standardowo wybory odbędą się dopiero za trzy lata, a PiS może rządzić długo nawet przy bardzo negatywnych nastrojach społecznych. Partia oplotła mackami całe państwo i – mimo konfliktów wewnętrznych, mimo słabnącego prezesa – nadal jest zjednoczona w dbaniu o zachowanie władzy.

Inna rzecz, że – zgodnie z pragnieniem liderów partii – protesty uliczne słabną, bo działaczki zaczęły się kłócić o wpływy w Strajku Kobiet, a młodzi zaczęli wybierać inne imprezy. Kaczyński jest ewidentnie „dziadersem", który ma problem z odnalezieniem się w nowej rzeczywistości. Ale to nie znaczy, że owa rzeczywistość go szybko zmiecie.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP".

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

310 756,83 zł
to kwota, jaką do końca września otrzymaliśmy z przekazanego nam przez Państwa 1% podatku w jubileuszowym roku 75-lecia „Tygodnika Powszechnego".

Dziękujemy –
to bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność
jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania"), kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Copernicus, Conrad
to festiwale – perły w koronie fundacyjnych przedsięwzięć. Razem z Lekcjami Czytania budują kulturę odbioru literatury czy nauki, edukują kolejne pokolenia świadomych odbiorców – obywateli.

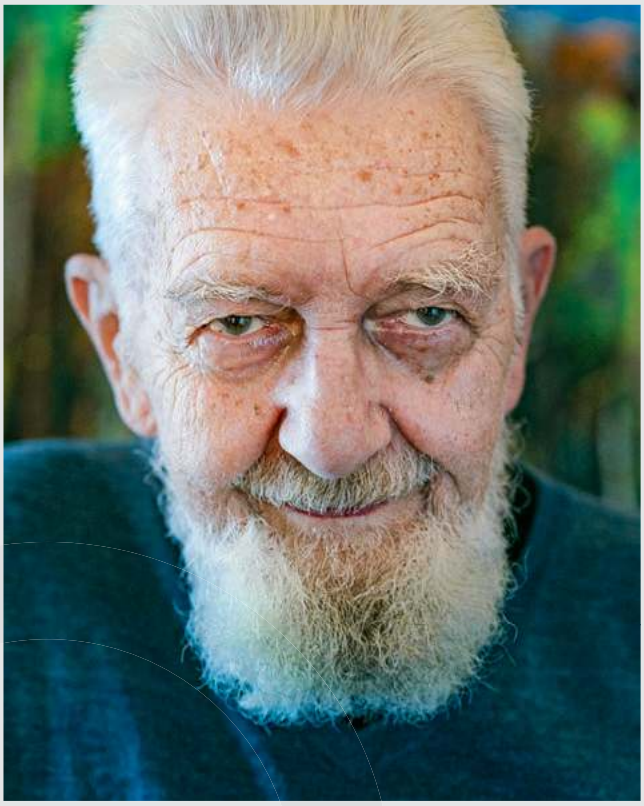

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Wdzięczność
wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za to bardzo wymierne potwierdzenie, że „Tygodnik" jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest Wam potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

ks. Adam Boniecki

i zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego

OGŁOSZENIE OPP

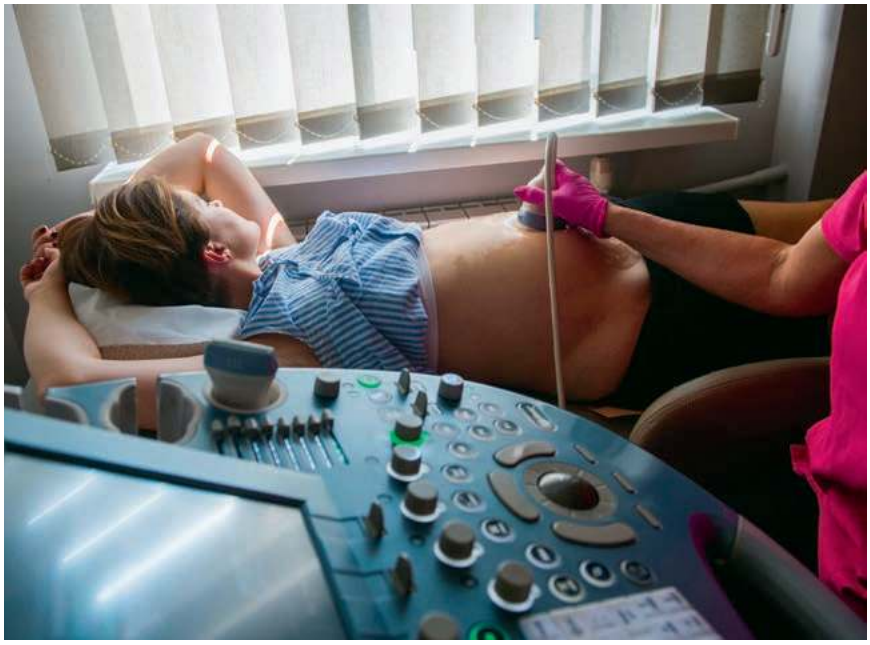

DANIEL DMITRIEW / FORUM

Prawdziwa ochrona dzieci

MAŁGORZATA NOCUŃ

Badania prenatalne ratują życie tysięcy noworodków, a czasem i matek. Uznawanie ich za „wstęp do aborcji" to największa manipulacja ruchów pro-life.

Po wydaniu przez Trybunał Konstytucyjny wyroku na temat przesłanek do legalnej aborcji Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników opublikowało oświadczenie. W ostatnim zdaniu znajduje się prośba o powrót do *status quo* – czyli pozostawienie pacjentkom wyboru, czy chcą kontynuować ciążę, kiedy badania prenatalne potwierdziły trwałe i nieodwracalne upośledzenie płodu.

Autorzy oświadczenia (autorytety w dziedzinie ginekologii i położnictwa) skoncentrowali się jednak nie na kwestii aborcji, lecz na tłumaczeniu, czym jest perinatologia (w dużym uproszczeniu: opieka nad matką i płodem, później dzieckiem), czym są badania prenatalne i w jakim stopniu współczesna medycyna może służyć kobietom i ich dzieciom. W środowisku położników daje się wyczuć niepokój, istnieje obawa, że badania prenatalne mogą być kobietom zlecane rzadziej, szczególnie w mniejszych ośrodkach. Z tego powodu może zwiększyć się odsetek ciąż patologicznych.

Poza systemem

S. była pod opieką ginekologa, wykonywała zlecone badania – mówiły, że płód rozwija się prawidłowo. Koleżanka poleciła S., żeby wybrała się dodatkowo na USG do gabinetu profesora specjalizującego się w patologii ciąży. – Tak na wszelki wypadek, cały Kraków tam chodzi – radziła jej.

S. zapisała się na wizytę, długo na nią czekała. – Nie mam dla pani dobrych wiadomości – powiedział lekarz. Płód cierpi na „przełożenie naczyń wielkich". Jest to bardzo ciężka wada kardiochirurgiczna. Jeśli zaraz po urodzeniu noworodek nie zostanie przewieziony na oddział kardiologiczny, może umrzeć. W przyszłości czeka go kilka poważnych operacji.

M. prowadziła ciążę w rejonowej przychodni, w ramach świadczeń refundowanych przez NFZ. Lekarz wykonując USG sprawdzał, czy płód żyje. Niewiele więcej mógł zobaczyć na sprzęcie, którym dysponował. – Więcej będziemy wiedzieć, jak wróci pani z wizyty w szpitalu.

Na podstawie badania przeprowadzonego w szpitalu M. dowiedziała się, że w zaawansowanej ciąży może dojść do niewydolności łożyska (złe przepływy w tętnicach macicznych). W skrajnej formie patologia ta może doprowadzić do śmierci płodu w jej łonie.

T. była w ciąży bliźniaczej. Lekarz prowadzący poinformował ją, że ciąża jest powikłana przez „łożysko centralnie przodujące". Więcej nie mówił. T. przeszukała internet, w piątym miesiącu ciąży zapisała się na wizytę do profesora klinicysty. Lekarz powiedział: „Podczas porodu może dojść do krwotoku zagrażającego pani życiu". Od razu umieścił T. na oddziale.

Opisane historie zdarzyły się kilka lat temu. Dziecko z wadą serca przeszło kilka interwencji kardiochirurgicznych, spędziło prawie pół roku na oddziale intensywnej terapii. Dziś ma już kilka lat, wciąż wymaga rehabilitacji, ale robi duże postępy. Kobieta, u której zdiagnozowano możliwość wystąpienia patologii łożyska, miała regularnie mierzone ciśnienie krwi (patologia łożyska może wiązać się z nadciśnieniem), otrzymała leki. Urodziła dziecko przed terminem, ale było ono już na tyle duże, że oddychało samodzielnie i szybko opuściło szpital. Mama bliźniaków przeżyła poród. Jej dzieci rozwijają się prawidłowo, choć przyszły na świat jako skrajne wcześniaki i długo walczyły o życie.

Każda z tych trzech matek miała duże szczęście. Ich dzieci żyją, ponieważ w odpowiednim czasie kobiety te trafiły do specjalistów w dziedzinie perinatologii, wykonały niezbędne badania, zostały im zalecone terapie i przepisane leki. Znalazły się pod opieką szpitali o najwyższym – trzecim – stopniu referencyjności.

Nie każda kobieta w Polsce może liczyć na taką opiekę. Co prawda zalecenia ministra zdrowia mówią, że badania prenatalne powinny być wykonane każdej ciężarnej. Ale – i tu tkwi ogromna sprzeczność – refunduje się je tylko kobietom powyżej 35. roku życia i pacjentkom z obciążonym wywiadem (m.in. wcześniejsze poronienia, choroby genetyczne w rodzinie). Refundacja badania nie należy się więc około 80 proc.

ciężarnych, bo choć kobiety coraz później decydują się na macierzyństwo, to większość z nich zachodzi w ciążę przed ukończeniem 35 lat.

Prof. Hubert Huras, kierownik Oddziału Klinicznego Położnictwa i Perinatologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie: – Musimy robić wszystko, aby diagnostyka prenatalna była dostępna dla wszystkich kobiet, tak jest praktycznie we wszystkich rozwiniętych krajach. Chcę podkreślić: te badania nie służą do usuwania ciąży, upowszechniajmy tę wiedzę.

Wady, które się leczy

Niestety w Polsce badania prenatalne wciąż często kojarzy się z przerwaniem ciąży. To jedna z największych manipulacji ruchów *pro-life*. Działacze manifestujący przed szpitalami posługują się obrazem (płód we krwi trzymany w chirurgicznych szczypcach) i nagraniem. Z megafonu płynie: „Choć badania prenatalne często się mylą, dla wielu dzieci wynik tych badań to wyrok śmierci. Dzieci chore giną często w drugiej połowie ciąży, kiedy są już duże i dobrze rozwinięte".

I obraz, i dźwięk kłamią. Obraz – ponieważ zabieg terminacji ciąży nie jest wykonywany w ten sposób, w rzeczywistości pacjentka otrzymuje globulkę wywołującą poronienie; dźwięk, ponieważ badania prenatalne się nie mylą. Badanie nieinwazyjne, przesiewowe (test podwójny – składa się na niego USG płodu i badanie białka PAPP-A oraz wolnej podjednostki beta-HCG w krwi pacjentki) szacuje ryzyko chorób płodu i powikłań w ciąży. Czasem jego wynik jest fałszywie dodatni. Ale w przypadku dodatniego wyniku wskazane jest poszerzenie diagnostyki, czyli wykonanie badania kariotypu płodu, które jednoznacznie rozstrzyga kwestię.

Czasem lekarz prowadzący ciążę nie kieruje pacjentki na badania prenatalne. Nie widzi potrzeby. Ginekolodzy-położnicy z dużych ośrodków akademickich mówią – w kontekście opieki nad ciężarną – o Polsce „A" i „B". Niestety w Polsce „B" rządzi przekonanie, że „nowinki" (czyli diagnostyka prenatalna) nie są potrzebne. 30 lat temu się ich nie robiło, a kobiety rodziły dzieci, więc i teraz nie trzeba. Niekiedy z diagnostyki rezygnuje sama ciężarna. „Po co mam je robić, skoro i tak chcę urodzić dziecko, nawet chore" – mówią kobiety. Tymczasem w zaawansowanej ciąży może się okazać, że płód obciążony jest wadą, którą można było wyleczyć wewnątrzmacicznie. Albo ciąża z fizjologicznej może stać się patologiczną (np. pojawi się nadciśnienie). Tylko że na pomoc może być już za późno.

Dr hab. Sebastian Kwiatkowski, koordynator programu „PrenatalProjekt" uważa, że największym błędem naszego systemu opieki zdrowotnej, a także naszych mediów, jest fakt, że badania prenatalne nazywa się „genetycznymi".

– Badania te wiążą się z genetyką zaledwie w kilku promilach przypadków – tłumaczy. – Profesjonalnie przeprowadzone USG pozwala nam precyzyjnie określić wiek ciąży i datę porodu, to niezwykle ważne, ponieważ dzięki temu wiemy, czy płód prawidłowo rośnie. Możliwe jest też wykrycie nieprawidłowości, które można leczyć wewnątrzmacicznie. Jest ich wiele, choćby wady kardiochirurgiczne czy przepuklina przeponowa. Jeśli pacjentka jest w ciąży bliźniaczej i jedno z dzieci rośnie szybciej, może dochodzić do „syndromu podkradania": jeden płód „zabiera" krew drugiemu. To bardzo niebezpieczne, jeden z płodów może nawet umrzeć, pomóc może operacja, ale wada musi zostać wykryta odpowiednio wcześnie – przed 26. tygodniem ciąży.

Badania prenatalne sondują, czy kobieta narażona jest na wystąpienie najczęstszych powikłań: stanu przedrzucawkowego (dotyczy 3 proc., czyli około 10 tys. kobiet rocznie), cukrzycy ciężarnych, porodu przedwczesnego. Stan przedrzucawkowy w najcięższej formie może doprowadzić do śmierci płodu w łonie matki albo do śmierci noworodka (przychodzi na świat ze skrajnie niską masą ciała). Niekiedy, choć rzadko, z powodu wielonarządowej niewydolności może umrzeć ciężarna. Żeby lekarz mógł pomóc pacjentce, musi wiedzieć, że znajduje się ona w grupie podwyższonego ryzyka ↦

POŻEGNANIE

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pana Hermanna-Hinricha Reemtsmy

Pan Hermann-Hinrich Reemtsma
zmarł 29 września 2020 r. w Hamburgu.

Pan Hermann-Hinrich Reemtsma
oraz fundacja Hermann-Reemtsma Stiftung wspierali renowację
historycznych organów Hansa Hummla i Jerzego Nitrowskiego
w bazylice pw. św. Andrzeja Apostoła w Olkuszu.

Dzieło tego wielkiego Mecenasa pozostaje trwałe,
pokazując tym samym, że szlachetne idee
mogą cieszyć się długim życiem.

Rodzinie Reemtsma oraz fundacji Hermann-Reemtsma Stiftung
pragniemy przekazać nasze najgłębsze wyrazy współczucia.

O Panu Hermannie-Hinrichu Reemtsmie myślimy w naszych
modlitwach i wypełnieni jesteśmy wdzięcznością za jego
zaangażowanie dla dzieła historycznych olkuskich organów.

Msza św. w intencji Pana Hermanna-Hinricha Reemtsma
została odprawiona 8 listopada 2020 r.
w bazylice pw. św. Andrzeja Apostoła w Olkuszu.

Stowarzyszenie na Rzecz Historycznych Organów
Hansa Hummla w Olkuszu

↦ wystąpienia określonych chorób, a tę wiedzę dadzą mu jedynie badania prenatalne.

Prawidłowe USG

Dr n. med. Anna Kajdy, perinatolog, ordynator Oddziału Położniczo-Noworodkowego w Szpitalu Specjalistycznym św. Zofii w Warszawie, na co dzień spotyka pacjentki, które bardzo późno dowiedziały się, że są w ciąży patologicznej. Niektórym nie udaje się już udzielić odpowiedniej pomocy. Najczęściej pochodzą z małych miejscowości.

– Czynnikiem sprzyjającym wystąpieniu patologii ciąży jest na całym świecie niski status społeczny i ekonomiczny kobiety – mówi dr Kajdy. – Często posiada ona także niską świadomość na temat komplikacji mogących wystąpić w ciąży.

Co to znaczy „prawidłowe" USG? Dokonywane pomiary muszą być niezwykle precyzyjne. To wymaga odpowiedniej wiedzy, przeszkolenia, a także sprzętu. Lekarz wykonujący badanie powinien posiadać certyfikat Fetal Medicine Foundation, zdobywa się go w odpowiednim ośrodku w Wielkiej Brytanii, należy go co rok odnawiać. Pacjentka znajdująca się pod opieką poradni „K" funkcjonujących w ramach NFZ nie ma często możliwości przeprowadzenia takiego badania. Położnicy w poradniach „K" dysponują słabszym technicznie sprzętem, wyniki nie są wydawane pacjentkom na piśmie.

– Wiele by się zmieniło, gdyby standardem stało się przeprowadzenie USG w pierwszym trymestrze ciąży według wskazań Fetal Medicine Foundation, który jest tożsamy z zaleceniami Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników. W przychodniach w całej Polsce powinni być lekarze posiadający odpowiednie kompetencje, a także odpowiedni sprzęt, ale to wiąże się z kosztami – mówi dr Kajdy.

Jeśli badania „przesiewowe" – test podwójny – wyszły nieprawidłowo (ryzyko wystąpienia chorób genetycznych wynosi 1:300), pacjentce zaleca się badanie inwazyjne, czyli amniopunkcję. Polega na pobraniu płynu owodniowego i określeniu kariotypu płodu. Amniopunkcja jest stresująca i niesie – co prawda bardzo niskie – ryzyko poronienia.

– Na Zachodzie, kiedy ryzyko wystąpienia wad genetycznych jest pośrednie, pobiera się krew matki i bada się wolne DNA – mówi dr Kajdy.

Wystarczy aspiryna

Dr Kajdy i prof. Kwiatkowski kładą nacisk na edukację pacjentek. Jednym z tematów, którymi się zajmują, jest wspomniany stan przedrzucawkowy. Aby przekonać się, która ciężarna znajduje się w grupie ryzyka, konieczne jest przeprowadzenie badań prenatalnych (USG i badanie krwi ciężarnej m.in. na obecność białka PAPP-A).

Niskie białko PAPP-A kwalifikuje kobietę do grupy ryzyka. Jest jeszcze jeden marker biochemiczny – PIGF (łożyskowy czynnik wzrostu). – Dzięki połączeniu wywiadu pacjentki, tego markera i ocenie przepływów w tętnicach macicznych oraz pomiarom ciśnienia ciężarnej jesteśmy w stanie wykryć aż 90 proc. kobiet, u których wystąpi najcięższa postać stanu przedrzucawkowego. Aż u 80 proc. z nich uda się temu zapobiec, podając aspirynę przed 16. tygodniem ciąży.

Niestety badanie PIGF nie jest refundowane przez NFZ, choć stan przedrzucawkowy stanowi najczęstszą przyczynę śmierci ciężarnych.

Prof. Kwiatkowski: – Dokonana przez Kanadyjczyków analiza efektywności wczesnej diagnostyki stanu przedrzucawkowego i zastosowania aspiryny wykazała znaczące oszczędności dla systemu zdrowotnego, spowodowane zmniejszeniem odsetka porodów przedwczesnych.

Atmosfera wywołana wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego może przyczynić się do zastraszenia niektórych lekarzy i położnych. W Polsce potrzebna jest rzetelna debata, co zrobić, żeby rzeczywiście chronić ciężarne. Dzieci, które przyszły na świat m.in. w wyniku ciężkiego stanu przedrzucawkowego, ze skrajnie niską masą urodzeniową, walczą o życie i zdrowie miesiącami. I niejednokrotnie walkę tę przegrywają. Ochronić mogłaby je powszechność badań prenatalnych. Ginekologia to specjalizacja bardzo niechętnie wybierana (trudna praca i częste roszczenia pacjentek w przypadku niepowodzeń). Teraz chętnych może być jeszcze mniej. A najbardziej ucierpią pacjentki.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

Apokalipsa Małej

ADAM ROBIŃSKI

Na zlecenie państwowej spółki Wody Polskie zdewastowano podwarszawską rzekę, a zamiast wsi osuszono las.

Rzeka jest niepozorna i dla wielu mieszkańców okolic podwarszawskiego Konstancina-Jeziornej anonimowa. O takich ciekach często mówi się „Smródka". Mała – bo tak naprawdę nazywa się wspomniana rzeczka i jest to nazwa adekwatna do jej rozmiarów – na wielu odcinkach przypomina rów melioracyjny, który w Parku Zdrojowym wpada do Jeziorki, a potem wraz z nią kończy w Wiśle. Ale wcześniej, na progu Chojnowskiego Parku Krajobrazowego, zupełnie zmienia charakter. Korzysta z przestrzeni, rozlewa się na boki, tworzy stawy. Jej brzegi są podmokłe i zarośnięte, nie sposób dojść do niej suchą stopą, potrzeba kaloszy lub woderów. To zasługa gospodarzących na rzece bobrów.

– Mieszkam w Konstancinie od 13 lat, ale to uroczysko odkryłem dopiero w marcu, w czasie związanego z pandemią zamknięcia kraju, kiedy zacząłem więcej łazić po lesie – mówi fotograf Daniel Petryczkiewicz. – Schowane w rzadko odwiedzanej części tego lasu, tajemnicze, przy wysokiej wodzie po prostu niedostępne. Mała trzymała się dzielnie nawet w czasie wiosennej suszy i latem. Dopiero w połowie września, po serii tygodni bez deszczu w całej Polsce, rozlewisko wyschło. Były tylko kałuże.

Petryczkiewicz chodził po dawnym rozlewisku i oglądał odsłonięte nory bobrowe. Wyglądało na to, że rzeczka wyschła aż do oddalonego kilkanaście kilometrów od Konstancina źródła. Ale zaraz przyszły ulewy, a koryto znów wypełniło się wodą. – W kilka dni wyrosły trzy tamy, fantastycznie

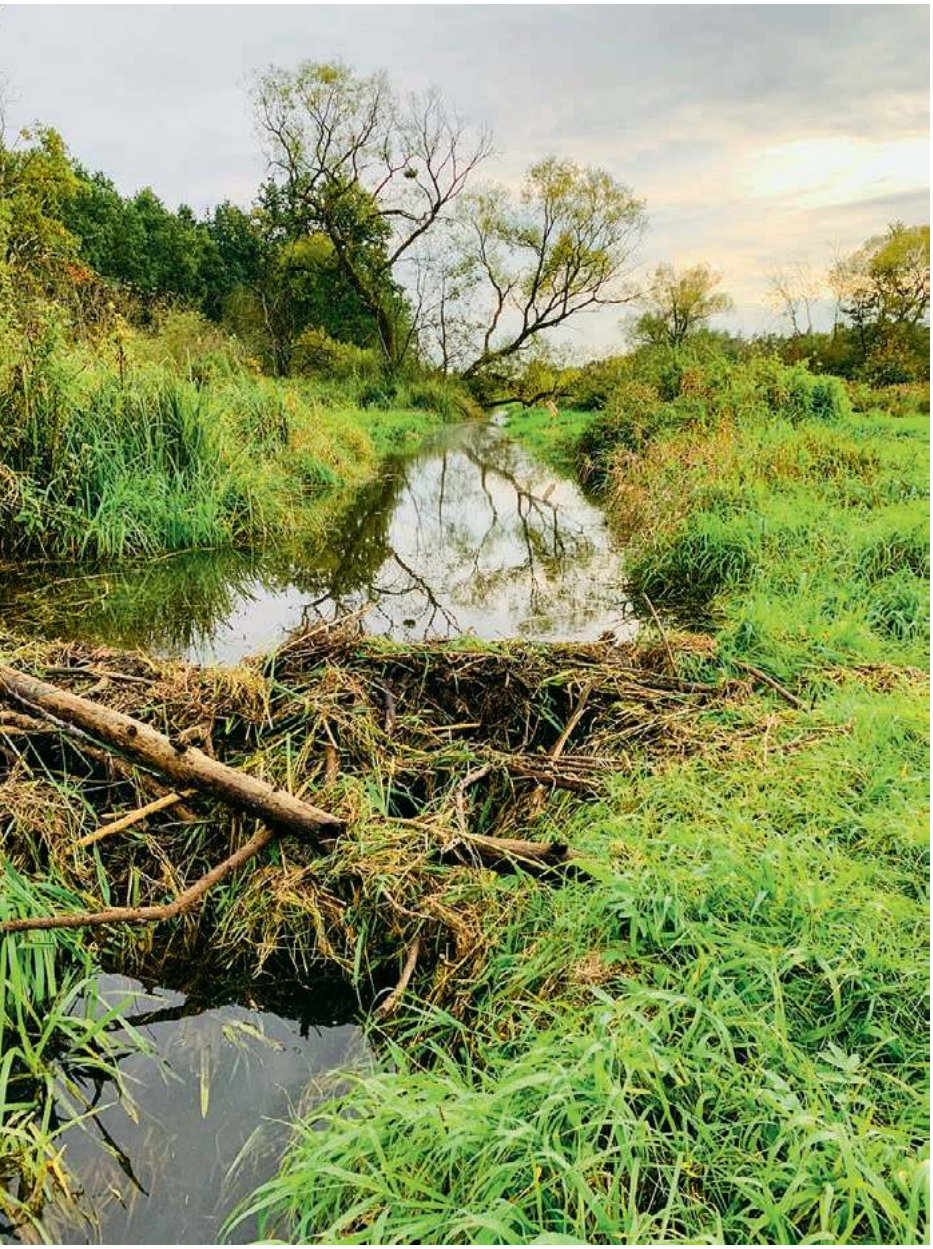

DANIEL PETRYKIEWICZ

Jedna z trzech tam bobrowych na rzece Małej w okolicy Solca, październik 2020 r.

spiętrzając wodę i tworząc na powrót niesamowite rozlewisko. Woda popłynęła rowami melioracyjnymi nawet do oddalonego o kilkaset metrów stawu, który od zawsze był suchy. Część lasu została odcięta od świata wodą. Natura oszalała – zachwyca się fotograf.

Potem zawiesza głos. Bo kilka tygodni później Małej, jaką poznał, już nie ma.

Krajobraz po bitwie

– W sobotę, 24 października, zobaczyłem zaparkowanego w lesie busika i brygadę ukraińskich robotników z kosami spalinowymi i ręcznymi – relacjonuje Roman Głodowski ze Stowarzyszenia Nasz Bóbr. – Kosili wszystko, jak leci, w pasie od półtora do ośmiu metrów od brzegu, po obu stronach rzeki. Rozwalali tamy i żeremia, usuwali małe i średnie drzewa.

Po interwencji Głodowskiego robotnicy początkowo przerwali prace. Przekonywali, że wykonują je na zlecenie Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie. Kilka dni później wrócili, i to z koparką. – Rzeka została zdewastowana prawie kilometr w głąb lasu. Żeremia i norożeremia zniszczone, tamy zlikwidowane, brzegi utwardzone, zasypane ziemią i ogołocone z roślinności.

Na filmie, który Stowarzyszenie Nasz Bóbr opublikowało na Facebooku, Głodowski łamiącym się głosem opowiada, że zwierzęta prawdopodobnie ginęły zasypane we własnych korytarzach. Przy okazji zniszczona została stara, zdrowa wierzba, która rosła przy żeremiu. W wyniku prac znacznie obniżył się poziom Małej. Widziana z drona rzeka zamieniła się w kanał, jej okolice przypominają plac budowy pełen kolein. Nurt przyspieszył, woda zniknęła z przecinającego las rowu melioracyjnego. W lesie i na łące zrobiło się sucho.

Urszula Tomoń, rzeczniczka prasowa warszawskiego oddziału Wód Polskich, w przesłanym „Tygodnikowi" mailu nazywa roboty na Małej „pracami utrzymaniowymi". „Likwidacja części tam bobrowych była konieczna. Tylko w ten sposób można było usunąć wodę z przyległego terenu, osuszyć go i przeprowadzić zaplanowane prace. Udrażniając rzekę na tym odcinku polepszono także warunki dla odpływu wód w górze rzeki, gdzie Mała przepływa przez tereny zabudowane. Nie likwidujemy tam, które podpiętrzając wodę nie stanowią zagrożenia np. dla terenów zabudowanych. Okres, w którym były prowadzone prace, nie był okresem zagrożenia dla warunków bytowych bobrów" – pisze. Dodaje też, że spółka posiada wydaną przez Regionalną Dyrekcję Ochrony Środowiska w Warszawie zgodę na płoszenie zwierząt i wielokrotne niszczenie tam.

Z kolei Agata Antonowicz z RDOŚ początkowo temu zaprzecza, potem jednak znajduje wydaną w maju 2019 r. na wniosek Wód Polskich zgodę. Obejmuje ona kilka okolicznych cieków wodnych, w tym Małą, i obowiązuje do końca 2021 r.

Domy na bagnie

– Bobry? Za dużo ich tu mamy, zdecydowanie za dużo – mówi Urszula Malisiak, sołtyska niedalekiej wsi Solec. To właśnie prośbami jej mieszkańców Wody Polskie tłumaczą prace na Małej. – Zalewa mi łąkę, krowy wpadają w zapadliska. Pomijając kwestie rolnicze, to również duży problem dla właścicieli nieruchomości. Wszędzie jest mokro, robi się błoto, a uprawiać da się tylko rośliny wodne, z których w gospodarstwie nie ma pożytku – przekonuje Malisiak.

Zdaje się wcale nie dziwić faktem, że bobry tak upodobały sobie sąsiedztwo jej wsi. – Mamy je tu od sześciu, siedmiu lat, również w kanale melioracyjnym, który idzie przez wieś, wcześniej zbierając wodę z całej gminy Góra Kalwaria. ↦

↦ Przyszły, zastały zaniedbane, zachaszczone rowy i mnóstwo pożywienia. One tu mają raj, idealne warunki, żeby się mnożyć – zauważa sołtyska. Jednocześnie wskazuje na problem z grodzeniem przez właścicieli prywatnych posesji dostępu do wody. Jak przepust się zatyka, to nie ma jak go udrożnić, bo jest za płotem.

Jednak, jak zauważa Głodowski, zabudowania Solca znajdują się dwa kilometry w górę rzeki od odcinka, który Wody Polskie ogołociły z bobrowej infrastruktury. Przekonuje, że zalewisko miało wpływ na stosunki wodne w lesie, ale na pewno nie w położonej o wiele dalej wsi. I że wieś graniczy od zachodu z Łąkami Soleckimi, obszarem chronionym programem Natura 2000. – Jak ktoś się buduje koło bagna, to nie powinien się dziwić, że ma wilgoć w glebie. To tak, jakby dziwić się, że w Pompejach nagle pojawiła się lawa.

Wskazuje również na potencjalny problem z zastawkami na wspomnianym bagnie. Skoro wieś skarży się na wodę, to znaczy, że prawdopodobnie nie działają jak należy, albo wcale ich nie ma, przekonuje. Dodaje też, że wbrew słowom rzeczniczki państwowej spółki na leśnym odcinku Małej zniszczono wszystkie tamy, jak leci, a nie tylko wybrane.

Urzędniczy hurt

Sprawę prac na Małej Stowarzyszenie Nasz Bóbr zamierza skierować do prokuratury. Nie sam fakt ich wykonania, ale sposób, w jaki je przeprowadzono. Chodzi o dewastację roślinności przybrzeżnej oraz o zasypywanie zwierząt w ich norach i korytarzach. Wydana przez RDOŚ zgoda jest warunkowa, a jednym z obostrzeń jest konieczność płoszenia bobrów przed przystąpieniem do prac rozbiórkowych. Nora nie może być przez bobra użytkowana, a te zniszczone były – jak przekonuje Głodowski – zamieszkane. – Ludzie, którzy wjechali tam ciężkim sprzętem, nie mieli zresztą kompetencji, by to stwierdzić – tłumaczy i dodaje, że wydawali się zaskoczeni faktem, iż pracują w siedlisku bobra.

Głodowski zwraca uwagę, że przypadek Małej jest ilustracją ogólnopolskiego problemu. Wody Polskie składają do RDOŚ wnioski obejmujące swoim zasięgiem całe cieki wodne wraz z dopływami. W tym przypadku chodzi o Małą, Zieloną, Głoskówkę, Tarczynkę oraz trzy okoliczne kanały, na całych ich długościach.

Szacuje się, że bobry zatrzymują w krajobrazie więcej wody niż wszystkie państwowe programy retencji razem wzięte.

– I to wszystko na jednym wniosku! To nagminna praktyka. Na podstawie Biuletynów Informacji Publicznej oszacowaliśmy, że na terenie całej Polski obowiązuje dziś około 1700 zezwoleń na niszczenie bobrowych stanowisk, a beneficjentem dwóch trzecich jest spółka Wody Polskie. Która we wnioskach wpisuje cieki z dopływami. Koło Siedlec jednym wnioskiem objęty został teren całej gminy! Wszystkie rzeki, kanały, rowy na jej obszarze. Hurtem. Tamy można więc niszczyć uznaniowo, jak komu pasuje, i to regularnie. Dlaczego Regionalne Dyrekcje wydają takie decyzje? Czy ktoś te wnioski w ogóle weryfikuje? Gdyby tak było, być może by się zorientował, że Mała przepływa przez Naturę 2000, więc zgadza się na niszczenie stanowisk na obszarze chronionym!

Choć tam prac w ostatnim czasie nie prowadzono, to jednak – na papierze – byłoby to możliwe.

Retencja za darmo

Nikt nie wie, ile bobrów żyje dziś w Polsce. Po prawie całkowitym wytępieniu tego gatunku na przestrzeni paru stuleci populacja odbudowała się i dziś ma się dobrze. Ostatnie konkretne dane pochodzą z początku obecnego wieku. Późniejsze są tylko szacunkami. Główny Urząd Statystyczny od paru lat ocenia liczbę bobrów na 120 tys. osobników, ale naukowcy przekonują, że to zgadywanie, i może być ich o połowę mniej lub dwa razy więcej.

Przykład Małej pokazuje, jak chaotyczna jest polityka państwa wobec gatunku, który w obliczu kryzysu klimatycznego i coraz częstszych susz powinien być dla człowieka sojusznikiem. Skutkiem ubocznym ekologii bobra – tego, w jaki sposób jego potrzeby życiowe zmieniają środowisko – jest naturalna retencja, zatrzymywanie wody w krajobrazie. I to darmowa, bez państwowych ani europejskich dotacji. Andrzej Czech, związany dawniej z Uniwersytetem Jagiellońskim ekspert od bobrów, szacuje – choć nie ma badań, które mogłyby to jednoznacznie potwierdzić – że gryzonie retencjonują dziś więcej wody niż wszystkie państwowe programy razem wzięte. Usankcjonowana prawem walka z bobrami nie tylko nie poprawia więc sytuacji wodnej, ale ją pogarsza. Przyspiesza stepowienie krajobrazu.

Lista korzyści, jakie płyną z obecności bobra w środowisku, jest zresztą o wiele dłuższa. Tamy obniżają spływ używanych w rolnictwie azotu i fosforu do morza o jedną piątą, zabobrzone rzeki wylewają rzadziej, a utworzone przez te gryzonie zalewiska są skupiskami lokalnej bioróżnorodności. Kwitnie w nich życie m.in. ryb, płazów i wodnych ptaków. Kiedy znikają tamy, woda prędko znika z krajobrazu.

Idzie zima

Kilka dni po wyczyszczeniu Małej przez koparkę bobry zbudowały tamę na stawie po drugiej stronie lasu, na granicy z Konstancinem, tuż przy zabudowanej domami jednorodzinnymi ulicy Grzybowej. Być może te, które przeżyły, przeniosły się do starych nor w brzegach zbiornika. Przy prowadzącej do lasu ścieżce pojawiły się już pierwsze zgryzienia. Listopad to czas, w którym zwierzęta zaczynają budować magazyny pożywienia na zimę. Sęk w tym, że po zniszczeniu tam na Małej i zniknięciu wody z lasu również staw przy Grzybowej wkrótce może wyschnąć.

Nie jest to dla ekspertów zaskoczenie. – Jak się niszczy siedliska w tak niedostępnych i odludnych miejscach, jak uroczysko Małej, to nie ma się co dziwić, że bobry idą bliżej ludzi, na pola, do rowów melioracyjnych. Osiedlają im się na progu i sprawiają więcej kłopotów – mówi Głodowski. – To samo dotyczy drzew. Jeśli wycinamy osikowe i wierzbowe zarośla, które bobry mają pod nosem i które są dla nich najlepszym pokarmem, to zabierają się za większe drzewa. W poszukiwaniu jedzenia kręcą się coraz dalej od wody.

Na razie jednak drzewa pod Konstancinem zniszczyły nie bobry, tylko człowiek w koparce. © ADAM ROBIŃSKI

WOJCIECH

Bonowicz:
O tym, co niemoralne

Pandemia uświadomiła nam, że jakość rządów to sprawa życia i śmierci. Jeśli państwo jest źle zorganizowane i źle rządzone, jeśli interesy partyjne przeważają nad społecznymi, to nie ma siły – ofiar jest więcej. Tak jest na co dzień, ale dopiero w okresie pandemii widzimy to jak na dłoni.

Jest wiele przyczyn, dla których wybuch gniewu nastąpił właśnie teraz. Oprócz tych bezpośrednich, jedną z najważniejszych było to, co działo się w polityce przez ostatnie pół roku: najpierw próba zorganizowania „na siłę" wyborów prezydenckich, potem przebieg kampanii wyborczej, w której rządzący podkreślali, że wirus nie jest już zagrożeniem i że trzeba się strzec zupełnie innych „wirusów", wreszcie przedłużająca się rekonstrukcja rządu, a tak naprawdę trwające tygodniami przepychanki w łonie sprawującej władzę koalicji. Wszystkie te poczynania – powiedzmy to wprost – były niemoralne. A to ostatnie było niemoralne w dwójnasób: widać było, że wirus gwałtownie się rozprzestrzenia, a targi między odpowiedzialnymi za państwo się przeciągały. Były to, przypomnę, targi o posady i wpływy. Czułem rosnącą złość, ilekroć oglądałem relacje z prowadzonych rozmów, a właściwie z podjeżdżania limuzyn na Nowogrodzką – bo tylko tyle przez wiele dni pokazywano. Czułem złość i równocześnie czułem się zdezorientowany, bo statystyki mówiły, że poparcie dla układających się nie spada lub spada nieznacznie. A przecież było oczywiste, jak ta zabawa się skończy.

Nie rozumiem tego. To znaczy, nawet rozumiem rządzących. Ostatecznie władza to narkotyk, tak to jest i chyba niewiele da się z tym zrobić. Był jakiś czas temu na łamach „Tygodnika" (nr 40/2020) wywiad na temat kaczyzmu, bardzo rozśmieszny, jak mawia moja przyjaciółka Magda. Już samo to, że badacze owego zjawiska ukrywali się pod pseudonimami, było zabawne, ale największą frajdę sprawił mi jednak zestaw komplementów, którymi na wyścigi opatrywali „kolosa polityki polskiej". Niczego mu, biednemu, nie oszczędzono – jeżeli czytał ten wywiad, to na bank nikt mu już nie wybije z głowy przekonania, że jest kimś na miarę Piłsudskiego. Tylko jednego, tak mi się wydaje, w tych analizach zabrakło. Otóż Jarosława Kaczyńskiego wyróżnia spośród innych polityków nie to, że ma jakiś spójny program i np. chce wyrównywać nierówności potransformacyjne (bo, w moim przekonaniu, nie chce), tylko to, że on władzę lubi. Lubi ją naprawdę, ona mu się nie nudzi. Innym się nudzi, a jemu nie. On by się mógł w te układanki bawić do końca świata.

No więc rozumiem rządzących – nie akceptuję tego, co robią, ale jestem w stanie zrozumieć ich intencje. Natomiast zupełnie nie rozumiem otaczających ich akolitek i akolitów. Dziś piszą o ochronie najsłabszych; gdzie byli kilka miesięcy temu? Nie lubię tej figury retorycznej, ale powiedzcie, proszę, jakiej mam użyć? Nikt ze środowisk wspierających obecną władzę czy z nią sympatyzujących nie wzywał do otrzeźwienia. Nikt – a przynajmniej nikt dostatecznie głośno – nie ostrzegał, że taka przeciągająca się zabawa w układanie rządu to szykowanie niechybnej śmierci tysiącom ludzi.

Jestem całym sercem za ochroną najsłabszych, mój los od lat związany jest z osobami z niepełnosprawnością intelektualną. Ich życie jest dziś rzeczywiście zagrożone – ale nie wskutek tego, co krzyczy się na protestach, tylko wskutek tego, jak prowadzi się politykę w Polsce. Przyzwyczaiłem się przez lata, że ich rzeczywista sytuacja nikogo z polityków nie interesuje, poza naprawdę wyjątkami. Za to chętnie, bardzo chętnie używa się ich jako karty przetargowej.

Nie wystarczy jednak dla moralnego spokoju głosować „za życiem" czy straszyć „końcem cywilizacji chrześcijańskiej". „Polityka życia" to coś zupełnie innego. ©

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" DODATEK UPAMIĘTNIAJĄCY

80. rocznicę zamknięcia granic getta warszawskiego

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

- O przygotowanej przez Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma okolicznościowej wystawie „Gdzie jesteś? (Rdz 3, 9)" opowiedzą jej twórcy, dyrektor Instytutu prof. Paweł Śpiewak i główny kurator ŻIH dr Piotr Rypson.
- W dodatku także m.in. esej Marty Janczewskiej o 1940 roku oraz wspomnienia z getta Abrahama Lewina.

Zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

CZAS NA RUCH

KS. JACEK PRUSAK SJ, PSYCHOTERAPEUTA:

Kościół już stracił młode pokolenie, a teraz traci kobiety. Kulturowy katolicyzm, z którego byliśmy tak dumni, umiera na naszych oczach.

ARTUR SPORNIAK: Napisałeś w mediach społecznościowych, że w „symboliczny czwartek" decyzja Trybunału Konstytucyjnego „zainicjowała rok '68 w polskim Kościele". Na co m.in. wskazuje fakt, że „w głosach protestujących jak mantra przewijają się dwa nierozdzielne hasła: Kościół jest PiS-u i Kościół jest mężczyzn".

KS. JACEK PRUSAK SJ: Analogia nie dotyczy tylko pokazania, że protestujący uznali swoje prawo do określania wyborów życiowych i seksualnych bez pytania o pozwolenie Kościoła. Czy nam się to podoba, czy nie, żyjemy w świecie gloryfikującym wybór, który ma zawsze działać na korzyść jednostek. Nie tylko w postulatach kobiet, ale jeszcze bardziej w protestach ludzi młodych idea wyboru, kim chcę być, i imperatyw „stawania się sobą" zlały się w jedno prawo – „wybór dla wyboru". Z szerszej perspektywy jest to opóźniony protest przeciwko temu, że w Polsce świeckość państwa zaczął definiować Kościół, używając do tego PiS-u – jakby nie było konstytucji. Kościoły na Zachodzie musiały z takiej roli suwerena zrezygnować w zeszłym wieku, a my z powodu sytuacji geopolitycznej i znaczenia Kościoła dla przemian ustrojowych uznaliśmy, że nam to się należy. Nadal jesteśmy przekonani, iż Kościół tyle wniósł do walki narodowo-wyzwoleńczej, że po transformacji ustrojowej może czerpać z tego dożywotnie tantiemy. To nas uśpiło. O. Maciej Zięba ten stan kościelnej świadomości w Polsce słusznie nazywa „syndromem tłustego kocura".

JACEK TARAN

Przed kurią biskupią w Krakowie złożono dziesiątki zniczy i wieszaków – symboli protestu kobiet. Kraków, 25 października 2020 r.

Wielu uważa, że dzięki utożsamieniu Kościoła z narodem w czasach PRL, po transformacji powinniśmy się stać wzorcowym krajem katolickim?

W Polsce w praktyce mamy nie jeden, a dwa episkopaty. Oprócz oficjalnego mamy jeszcze episkopat o. Tadeusza Rydzyka, reprezentujący myślenie i wizję Kościoła promowaną przez toruńską rozgłośnię. Charakteryzuje ją liturgia posoborowa, ale teologia polityczna już przedsoborowa. Ta eklezjologia oparta jest na dwóch filarach. Po pierwsze, na przekonaniu, że dobro narodu ma być definiowane przez katolicką naukę społeczną, bo tylko wtedy możliwe jest sprawiedliwe państwo, a co za tym idzie, by je realizować, potrzebna jest ścisła współpraca władzy kościelnej i świeckiej. Po drugie, na założeniu, że żywotny Kościół nie może istnieć bez katolickiego państwa, więc konstytucja ma uprzywilejowywać katolików. Jeśli się z tym nie zgadzasz, to „atakujesz Kościół" i jesteś „liberałem" bądź „lewakiem". Utopijność takiej wizji Wielkiej Polski katolickiej została obnażona w trakcie ostatnich protestów.

Jednak wielu biskupów, także tych zajmujących w episkopacie eksponowane stanowiska, nadal w tę wizję wierzy. Wierzy w nią również prezes Jarosław Kaczyński. Dlatego w swoim youtubowym przemówieniu stwierdził, że jeśli odrzucimy Kościół, to zostanie nihilizm. Moim zdaniem nie chodziło mu o podkreślenie znaczenia religii obywatelskiej jako spoiwa społecznego, bo polski katolicyzm nigdy taką religią nie był. Marzy mu się jednak wskrzeszenie „przedsoborowego trupa" w postaci państwa wyznaniowego, w którym dusza narodu nie jest oddzielona od Kościoła-ciała.

Dlaczego autonomia Kościoła i państwa jest lepsza?

Żyjemy w kraju światopoglądowo pluralistycznym. Negując to, cofamy się do czasów, w których państwo było legitymizowane przez Kościół jako jego świeckie ramię. Modelowym przykładem w zeszłym wieku była Irlandia, gdzie jeszcze do niedawna wszystkie sektory życia publicznego były zespolone z Kościołem. Nam się w Polsce nie udało zrealizować tego modelu. Czynienie tego teraz wywołuje frustrację w pluralistycznym społeczeństwie, zwłaszcza że Kościół w okresie komuny był znaczącą przestrzenią wolności, a w okresie transformacji odegrał ważną rolę mediatora. W tej chwili jest wyraźnie stroną konfliktu, choć niektórzy biskupi oficjalnie temu zaprzeczają.

Hierarchię zaskoczyło to, że protestują kobiety, które do tej pory milcząco wypełniały kościelne ławki. Twierdzono nawet, że to na kobietach stoi polski Kościół.

Z jednej strony wewnętrzny spór w PiS między premierem Morawieckim a ministrem Ziobrą prezes Kaczyński próbuje rozegrać, instrumentalizując nastroje społeczne i Kościół. Z drugiej strony biskupi uznali, że w zlikwidowaniu przesłanki eugenicznej w stulecie urodzin św. Jana Pawła II można dostrzec jego opatrznościowy „patronat". W każdym razie skoro Polska dołączy do tej niewielkiej grupy państw, w których aborcja jest prawnie zupełnie niemożliwa, spełni się wreszcie marzenie papieża, i będzie to jego „cud nad Wisłą", z którego Kościół w Polsce może być dumny.

To było marzenie Jana Pawła II.

Tak, ale nie jest powiedziane, że chciałby on, aby spełniło się ono w taki sposób. Przez długi pontyfikat polskiego papieża zmieniały się w Polsce rządy ↦

↦ i nastroje społeczne, i nigdy nikomu nie udało się zrobić tego, co PiS zrobił w krótkim czasie przy pomocy Trybunału Konstytucyjnego. W dużej mierze dlatego, że nigdy dotąd nie było tak silnego sojuszu tronu z ołtarzem. Decyzję, dotykającą przede wszystkim kobiety (choć także ich partnerów), podjął żyjący samotnie mężczyzna przy wsparciu kościelnych celibatariuszy. Stąd wściekłość protestujących widoczna często w ich jednoznacznych hasłach. Na to nałożyło się poczucie kobiet, że ich głos w Kościele słychać tylko w trakcie różańca. No i czara goryczy się przelała.

W „Apelu zwykłych księży", który podpisałeś jako jeden z 27 pierwszych sygnatariuszy, wśród dziesięciu postulatów znalazł się taki: „przeciwstawić się radykalnie nierównemu traktowaniu kobiet i mężczyzn". Jak?

Ze względu na życie w celibacie księża postrzegają kobiety głównie poprzez swoje relacje z matką lub siostrą – osobą bliską, ale w roli „pośrednika między ziemią a niebem". Wielu księży do dzisiaj samemu sobie nic nie wypierze ani nie wyprasuje! Problemem jest również kościelny feudalizm. Biskup zarządza księżmi, a księża, nie chcąc być tylko zarządzanymi, zarządzają świeckimi. Dopóki takie funkcjonowanie Kościoła się nie zmieni, kobiety nie znajdą dla siebie właściwej reprezentacji.

Protesty pokazują bardzo ważną rzecz: nagle ucieleśniły się dane statystyczne. Okazuje się, że albo źle odczytywaliśmy kościelne statystyki, albo je lekceważyliśmy. Kościół już stracił młode pokolenie, a teraz traci kobiety. A przecież statystyki nam mówiły, że mamy dwa niepokojące z punktu widzenia duszpasterskiego trendy: największy na świecie skokowy spadek religijności wśród najmłodszego pokolenia oraz trend dotyczący wykształconych kobiet w średnim wieku, które z powodu wątpliwości związanych z instytucją Kościoła rozluźniają z nią związki, i nawet jeśli nie przestają być wierzące, do kościoła już nie chodzą. Do tej pory zakładaliśmy, że kobiety były, są i będą w Kościele. Po prostu byliśmy ślepi, bo one nie będą cały czas przed nami klęczały. To, co się dzieje teraz na ulicach, jest niespotykaną w ostatnich dziesięcioleciach informacją zwrotną dla Kościoła polskiego. Kulturowy katolicyzm, z którego byliśmy tak dumni i który przedstawialiśmy jako „sól tego świata", umiera na naszych oczach.

Do podpisywania Waszego apelu, który jest propozycją zwięzłego programu naprawczego dla polskiego Kościoła, zaprosiliście także siostry zakonne. W tej chwili jest sześć nazwisk. Trudno znaleźć w internecie jakiekolwiek ich wypowiedzi. Księża użyczają zakonnicom głosu?

Prawdę mówiąc, podziwiam ich odwagę. Już dotarły do mnie informacje, że kilku księży poprosiło o wykreślenie swoich nazwisk, domyślam się, że z powodu nacisku ze strony przełożonych. Instrumenty kontroli wśród polskich zakonnic są jeszcze mocniejsze. Mam nadzieję, że takich sióstr, jak te, które się podpisały, jest więcej, tylko nie mają one prawa głosu na swoich zasadach. Dlatego też m.in. w ostatnich latach notujemy bolesne spadki powołań w zakonach żeńskich.

Odnosząc się do problemu aborcji, napisałeś: „Cieszę się, kiedy nauczanie Kościoła wywołuje kontrowersje, bo to oznacza, że chrześcijaństwo pozostaje kontrkulturowe. Smucę się, kiedy mylnie interpretuje ono to napięcie jako przyzwolenie na własną dominację".

Chrześcijaństwo pozostaje kontrkulturowe, jeśli przeciwstawia się temu, co Pismo Święte nazywa „duchem tego świata", a co jest promocją idolatrii i wyzysku. Siłą chrześcijaństwa było to, że chroniło życie ludzkie od początku do końca. Takie podejście nie było normą kulturową – zwykle lekceważono starszych i dzieci, a także osoby niepełnosprawne. Chrześcijaństwo zmieniało to nie poprzez wprowadzanie siłą prawa, tylko poprzez zmianę postaw. Jeżeli jako chrześcijanie chcemy pozostać kontrkulturowi, to nie daje nam to prawa do dominacji. Ewangelia w niedzielę na Wszystkich Świętych kończyła się słowami: „błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie". Niby godzimy się być prześladowani, a jednocześnie chcemy dawać po głowie tym, którzy nas prześladują. Wieszczymy apokalipsę, bo ktoś się dopuścił aktu wandalizmu. Nie pochwalam wandalizmu, ale jeżeli już się to stało, nie róbmy z tego końca świata, nie szukajmy rewanżu i nie przyzywajmy nacjonalistycznych bojówek. Jak mamy być błogosławieni, skoro nie może nam spaść przysłowiowy włos z głowy?

Przestaliśmy w Polsce myśleć o chrześcijaństwie jako o wierze z wyboru i zaczęliśmy myśleć o nim jako o systemie, który wszystkim obywatelom będzie organizował przestrzeń publiczną. Dopóki ludzie inaczej myślący nie wchodzą nam w drogę, dopóty deklarujemy, że ów system to państwo neutralne światopoglądowo. Wystarczy jednak, że zaczną nas kontestować, to wtedy traktujemy to jako atak na Kościół i Polskę. Wołamy: „Polska umiera!" albo „szaleje chrystianofobia!". Przecież nie byłoby takich protestów i „pójścia na kościoły", gdyby nasz Kościół nie uzurpował sobie tak wielkiego wpływu na przestrzeń publiczną. Czego się spodziewaliśmy, jeśli dla wielu osób Kościół i państwo to jeden system?

Portal „Więzi" opublikował w tych dniach wiersz etyczki z KUL

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 337/19 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanych nieruchomości położonych w Orpiszewku:
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 29/3 arkusz mapy 1 o powierzchni 1,61,33 ha,
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 59/1 arkusz mapy 1 o powierzchni 0,00,24 ha,
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 59/2 arkusz mapy 1 o powierzchni 1,09,76 ha,
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 2 arkusz mapy 1 o powierzchni 0,55,00 ha.
Dla wszystkich wyżej wymienionych nieruchomości nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

s. Barbary Chyrowicz o „Błogosławionych zagubionych". Zagubieni m.in. „patrzą z lękiem na tych, co wszystko już wiedzą". Mam wrażenie, że hierarchia wszystko już wie…

A czy hierarchia słucha takich kobiet? Nie wystarczy, że biskup otworzy usta, by przemawiał przez niego Duch Święty. Jest to tak oczywiste – bo dowodów nie brakuje – że nie wymaga dodatkowego uzasadnienia. Na Kościele ciąży obowiązek głoszenia tego, co ma do powiedzenia o aborcji. Ale Kościół staje z tą prawdą przed pluralistycznym społeczeństwem. Donikąd prowadzi postawa: wierzymy w absolutyzm prawdy, która jest po naszej stronie, zatem wy, jeśli się z nami nie zgadzacie, macie wyłącznie złą wolę. To, co zrobił PiS, i w co wciągnął Kościół, pokazuje, że dialog społeczny to puste hasło. Targnięto się na kompromis społeczny wykuwany w toku wielu trudnych sporów i zastępujący wzajemną agresję. PiS tego nie uszanował. Ale nie uszanowali także biskupi, skoro natychmiast pochwalili Trybunał Konstytucyjny, czyniąc z jego sędziów bohaterów i abstrahując od tego, jak to było zrobione, i że było to zrobione w celach politycznych.

Nie można mówić w Kościele, że szukamy dialogu społecznego, skoro narzucamy własne reguły tego, jak ma on wyglądać. Z „dalekiego Rzymu" trafnie to spuentował teolog Domu Papieskiego, o. Wojciech Giertych OP: „Niepokoi mnie ta polska nieumiejętność rozróżniania pomiędzy oceną moralną czynów a reakcją na nie prawa karnego. To są dwie różne sprawy. Nauka św. Tomasza, przytoczona przez św. Jana Pawła II w »Evangelium vitae«, jest zupełnie nieznana! Akwinata wyjaśnił, że aby można było wprowadzić penalizację złych czynów, potrzebne są trzy warunki. Po pierwsze, karze się jedynie grzechy przeciwne sprawiedliwości, a nie innym cnotom. Po drugie, w społeczeństwie musi być poparcie dla danej penalizacji. I po trzecie, wprowadzenie jej nie może doprowadzić do *turbatio*, do zaburzeń społecznych. Pierwszy moment jest sprawą *scientia* – teoretycznej wiedzy etycznej, ale dwa pozostałe odnoszą się do *ars* – sztuki politycznego działania. Ocena nastrojów społecznych nie jest jednoznaczna i ustawodawcy mogą być różnego zdania szukając funkcjonalnych kompromisów". Nie wierzę, że w tym przypadku doszło do takiego rozeznania.

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Jacek Prusak SJ, Kraków, 2015 r.

Targnięto się na kompromis społeczny wykuwany w toku wielu trudnych sporów i zastępujący wzajemną agresję. PiS tego nie uszanował. Ale nie uszanowali także biskupi.

Reakcje na protesty są dwojakie: jedni mówią, jak czyni to metropolita krakowski, że to szatan zmanipulował protestujących, inni – jak o. Adam Szustak – stwierdzają, że wreszcie Kościół oczyści się z partyjniactwa i będzie bardziej ewangeliczny.

Podzielam przekonanie o. Szustaka, że musimy przestać bronić Kościoła jako instytucji życia społecznego i zająć się Kościołem jako przestrzenią Bożego królowania. To, co się dzieje, jest jakimś znakiem od Pana Boga, a nie samowolką szatana. Nie byłoby w Kościele wewnętrznego oczyszczania z pedofilii, gdyby nie ludzie „z zewnątrz". Jeśli przez Kościół rozumiemy hierarchię i sklerykalizowanych świeckich, to taki Kościół o własnych siłach nie był w stanie ruszyć problemu pedofilii. Podobnie taki Kościół o własnych siłach nie jest w stanie ruszyć problemu kobiet czy problemu klerykalnych przywilejów. Ten najedzony i zadowolony z siebie kocur nie lubi ruchu! Obecne protesty mogą mu w tym pomóc.

Co do skutków, na pewno spadnie nam deklarowana przynależność do Kościoła. Prymas abp Wojciech Polak apelował, by obecnej sytuacji nie traktować automatycznie jako okazji do apostazji – i to jest apel słuszny. Z drugiej strony, może nastąpić zwieranie szeregów i tworzenie katolickiego narodowego getta. Wówczas będzie to tylko pozorne oczyszczenie. Wzywanie narodowców przez prezesa PiS do obrony kościołów jest takim właśnie zwieraniem szeregów. Trzeci skutek, którego się spodziewam, to będzie nowa fala pentekostalizacji. Osoby, które będą dalej chciały przeżywać swoją wiarę, zrobią to poza sformalizowaną instytucją, ale w obrębie wspólnoty. Będą się pytać: po co nam kler? Po co ta instytucja z jej urzędnikami i partyjniactwem? Czwarta reakcja to zachowanie integrystów. Powiedzą oni: PiS miał rację, tylko nie był konsekwentny. Bo trzeba w Polsce Kościoła opartego na władzy, tylko ta władza musi być sprawowana przez inteligentniejsze osoby.

Kiedyś pytaliśmy o pokolenie Jana Pawła II i nie potrafiliśmy go odnaleźć. Ludzie dorastający za pontyfikatu papieża Polaka mówią dzisiaj: pozwól mi się bogacić, dbać o karierę i być obywatelem Europy. Takie pragnienia ich jednoczą. Natomiast mamy wyraźne pokolenie antyradiomaryjne. Wierzący mówią: nie chcę być w Kościele, dopóki polski Kościół to ojciec Rydzyk. Niewierzący mówią: nie chcę takiego Kościoła w Polsce, bo oni mnie w końcu z tego kraju wygonią. To pokolenie jest teraz na ulicach. Takiej jednak diagnozy nie usłyszymy z ust biskupów.

Przyszłość może być trudna. W polityce nastąpi wahnięcie w drugą stronę. Nowa władza odetnie Kościół od funduszy, np. wyprowadzi religię ze szkół. Pandemia trwale zmniejszy tacę…

Jeśli tego najbardziej boją się duchowni, to znaczy, że boją się o siebie. Nie starczy pieniędzy na utrzymanie kleru? Księża zaczną się uczyć wykonywania innych zawodów niż tylko głoszenia kazań i sprawowania sakramentów. Takie zmartwienia nie dotyczą Kościoła, tylko jego struktury. Nie są więc najważniejsze. Na diecie kocurowi będzie lepiej.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Człowiek przed prawem

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

Trudno zrozumieć, po co to było naszym biskupom. Stanowienie prawa w państwie nie należy do ich zadań.

Mój zakonny współbrat o. Adam Szustak powiedział publicznie, że nienawidzi polskiego Kościoła, który stracił twarz Chrystusa, a przybrał twarz polityki. I dodał, że to dlatego od Kościoła odwracają się młodzi ludzie, będący zdania, że zarówno w życie społeczne, jak i w ich życie osobiste wnosi zło.

A ja muszę wyznać, że całym sercem kocham ten Kościół, choć jest to miłość trudna. To jest „mój Kościół", który przez niemal 60 lat, od kiedy jestem księdzem, budowałem, jak umiałem, i za którego blaski i cienie – ba, za zło panoszące się w nim – czuję się odpowiedzialny.

Pięścią w stół

Chcę mówić o tym, co się w ostatnich dniach dzieje w naszym kraju – na ulicach, w Sejmie, w kościołach, w każdym z nas. Muszę jednak choć na chwilę cofnąć się do czasów mojej młodości. Komunizm przyniósł niewyobrażalną demoralizację. Ciążę przerywano na życzenie, a najczęstszym motywem były tzw. „trudne warunki życiowe", czyli praktycznie wszystko. Taka praktyka zakorzeniła się głęboko w naszym społeczeństwie. Moja dobra znajoma urodziła trójkę dzieci, ale przy każdej ciąży ginekolog pytał: „rodzimy czy usuwamy?". Nie było chyba świadomości, że każde poczęte życie należy chronić, nawet za cenę wielkich niedogodności. Jako młody duszpasterz toczyłem na ten temat zażarte boje z młodzieżą. Pamiętam dramatyczne spotkanie na temat aborcji, kiedy wpadłem niemal w rozpacz, w bezsile wstałem, z całej siły rąbnąłem pięścią w stół i zawołałem: „czy tylko ja tu jestem chrześcijaninem?".

Po latach, także dzięki pracy wspaniałych duszpasterzy i wspaniałych świeckich katolików, coś się zmieniło. I uważam, że to największy sukces „czasów przełomu": utrwalenie w naszym społeczeństwie przekonania, że każde ludzkie życie, także jeszcze nienarodzone, jest święte i należy go bronić. A także, że istota, którą kobieta nosi pod sercem, ma swoje prawa i nie jest jedynie własnością matki. Mówię o ogólnym „klimacie", bo przecież wśród Polaków były nadal poważne różnice zdań, wynikające głównie z troski o zdrowie i godność kobiet.

Stop aborcji

W 1997 r. Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem prof. Andrzeja Zolla orzekł, że przerywanie ciąży w przypadku ciężkich warunków życiowych lub trudnej sytuacji osobistej kobiety ciężarnej jest niezgodne z przepisami konstytucyjnymi. W orzeczeniu dopuścił trzy wyjątki, w tym aborcję eugeniczną ze względu na ciężkie wady lub nieuleczalną chorobę płodu.

Prawie nikt nie był z tego orzeczenia zadowolony. Jedni uważali, że Trybunał zabrał kobiecie naturalne prawo do decyzji. Inni mówili, że człowiek nie ma prawa – nigdy i w żadnym przypadku, także przewidując nieuleczalną chorobę płodu – rozstrzygać o życiu poczętej istoty ludzkiej, i dlatego uznawali to orzeczenie za niewystarczające.

Jednakże wszystkie strony zdecydowały, że w tak delikatnej i trudnej sprawie nie będą wszczynać awantury. Ta niepisana umowa trwała kilka lat, ale z czasem zaczęły się przepychanki. Nie będę relacjonował zabiegów zwolenników zaostrzenia i liberalizacji prawa, zmierzających do jego zmiany. Nie będę też relacjonował publicznych demonstracji „za wyborem" i „za życiem".

Z dzisiejszej perspektywy decydujący był rok 2016. Uaktywniło się wówczas środowisko, które powołało Inicjatywę Obywatelską „Stop aborcji", i osoba, która stała się jego liderką – Kaja Godek. Nastąpiła rejestracja Fundacji „Życie i Rodzina". Rozpoczęto na wielką skalę zbieranie podpisów pod projektem ustawy

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy we Wrześni, I Wydział Cywilny, pod sygnaturą I Ns 991/16 prowadzi postępowanie z wniosku Waldemara Michałowskiego o stwierdzenie zasiedzenia przez Dariusza Marka Michałowskiego z dniem 15 listopada 2009 r. własności nieruchomości położonej w Miłosławiu, ul. Kościelna 5, o pow. 0,1559 ha, stanowiącej część działki gruntu nr 88 (obecnie nr 684), zabudowanej budynkiem mieszkalnym oraz garażem, zapisanej w KW nr POIF/00014474/8 Sądu Rejonowego we Wrześni IV Wydziału Ksiąg Wieczystych jako własność Jana Bartkowiaka i Marii Bartkowiak.

Sąd wzywa zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili swe prawa, pod rygorem pominięcia w postępowaniu.

ALEKSIEJ WITWICKI / FORUM

Wolontariusze akcji „Stop aborcji" prezentują mediom podpisy zebrane pod projektem ustawy antyaborcyjnej. Warszawa, 5 lipca 2016 r.

„Zatrzymaj aborcję". Kościół w całej pełni włączył się w tę akcję. Podpisy zbierano przede wszystkim przed świątyniami, a Konferencja Episkopatu uhonorowała panią Godek: zaprosiła ją na obrady, wysłuchała i – jak przypuszczam – zaakceptowała przedstawiony przez nią program.

Biskupi wielokrotnie wzywali do poparcia tej inicjatywy, przedstawiając ją jako moralny, religijny i patriotyczny obowiązek. Media o. Rydzyka wzywały do pisania i telefonowania do posłów. Zebrano podobno blisko 800 tys. podpisów i w listopadzie 2017 r. obywatelski projekt ustawy „Zatrzymaj aborcję" wpłynął do Sejmu.

Puste gadanie

Wielu ludzi Kościoła, w tym także niżej podpisany, z niepokojem patrzyło na tę akcję, uważając, że przynosi więcej zła niż dobra. Marzeniem wielu z nas jest doczekanie takiego momentu, kiedy w społeczeństwie utrwali się przekonanie, że każdy jeszcze nienarodzony, także dotknięty nieuleczalną chorobą, ma prawo urodzić się i żyć. To jest nie tylko wymóg Ewangelii, to jest po prostu wymóg człowieczeństwa. Jednak aby przybliżyć się do tego ideału, trzeba wielkiej pracy wychowawczej, wielkiego wysiłku i wielkiej miłości.

Sytuacja rodzin wychowujących dzieci z niepełnosprawnościami jest w Polsce tragiczna. Wyciągnięcie do nich ręki, zapewnienie rodzicom, których nienarodzone jeszcze dziecko będzie prawdopodobnie niepełnosprawne, wszelkiej autentycznej, a nie tylko deklarowanej opieki – oto droga do utrwalenia w społeczeństwie szacunku dla każdego życia. I o to w pierwszej kolejności należy zadbać. Trzeba być ciasnym doktrynerem, aby uważać, że prawny nakaz lub zakaz uzdrowi społeczeństwo i nauczy szacunku do nienarodzonych. Taki pośpieszny zakaz, wzbudzając sprzeciw, może jedynie zaszkodzić świętej sprawie i dodatkowo oddalić ludzi od Kościoła, który takie prawo forsuje.

Trudno zrozumieć, po co było naszym biskupom rozpoczynanie batalii o taki zapis. Stanowienie prawa w państwie nie należy przecież do ich zadań, a zasady moralne, których głoszenie należy do ich obowiązków, są jasne. Trzeba je tylko z mocą i miłością głosić, a nie rozpoczynać beznadziejną wojnę o zakaz prawny.

Działacze związani z ruchem „Stop aborcji" powołują się na św. Jana Pawła II i przeróżne inne autorytety. A ja przypomnę słowa naszego Pana, o których zwłaszcza biskupi i kapłani powinni pamiętać, bo są dane jakby specjalnie na dzisiejszą sytuację. Pan Jezus, zapytany przez uczonego prawnika, powiedział: „I wam, uczonym w prawie, też biada! Bo wkładacie na ludzi ciężary nie do uniesienia, a sami jednym palcem ciężarów tych nie dotykacie" (Łk 11, 45-46). Człowiek jest przed prawem! Głosimy zasady i przepisy, ale nie widzimy konkretnych ludzi i ich ciężarów. To jest dzisiejszy, zasadniczy polski i katolicki problem – nasze nauczanie jest pustym gadaniem.

To nie my

Kilka lat temu, przejęty sytuacją rodzin wychowujących niepełnosprawne dzieci, dla których ojczyzna jest macochą, jak szaleniec zaproponowałem: skoro sprawa jest tak ważna i bolesna, a państwo nie wypełnia swojej roli, stwórzmy kościelny fundusz dla tych rodzin. Niechby zapoczątkowały go np. pieniądze zebrane na najbliższej kolędzie. W ten sposób dotkniemy choć jednym palcem ludzkich ciężarów. Jeżeli tego nie uczynimy, nasze nawoływanie do poszanowania każdego życia będzie niewiarygodne.

Reakcja? Jeden z hierarchów miał powiedzieć: „temu Ludwikowi chyba odbiło, on chce nasze pieniądze rozdawać". Jedynie prymas senior, abp Henryk Muszyński podziękował mi w rozmowie telefonicznej.

Kiedy 22 października, w liturgiczne święto Jana Pawła II, Trybunał Konstytucyjny ogłosił swoją decyzję, zapanowała wśród polskich biskupów radość. Przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki powiedział: „Z wielkim uznaniem przyjąłem dzisiejszą decyzję, uznającą aborcję eugeniczną za niezgodną z Konstytucją Rzeczypospolitej". Natomiast wiceprzewodniczący KEP abp Marek Jędraszewski stwierdził: „Trudno sobie wyobrazić ↦

↦ wspanialszą wiadomość (...). Wyrażamy wielkie uznanie dla odwagi i rzetelności sędziów Trybunału oraz ogromną wdzięczność dla inicjatorów i uczestników wielkiego ruchu społecznego, który stanął w obronie świętości każdego życia od momentu jego poczęcia do chwili naturalnej śmierci".

Ton nieco się zmienił, kiedy wybuchły publiczne protesty. Biskupi zaczęli zachowywać się jak dziecko przyłapane na gorącym uczynku, mówiące „to nie ja". Abp Gądecki oświadczył: „To nie Kościół stanowi prawa w naszej Ojczyźnie i to nie biskupi podejmują decyzję o zgodności lub niezgodności ustaw z Konstytucją RP". A rzecznik prasowy KEP ks. Leszek Gęsiak doprecyzował: „To jest decyzja polityczna. To nie Kościół tę wojnę wywołał".

To prawda, że nie Kościół stanowi prawa w państwie, ale jest także prawdą, że Kościół sprowokował te protesty i za nie w całej pełni odpowiada. Oczywiście, Kościół został przez polityków zmanipulowany, zresztą nie po raz pierwszy. Ale gdyby nie było nacisków, gdyby ludzie Kościoła za aprobatą hierarchii nie żądali prawnego rozwiązania problemu eugenicznej aborcji, politycy nie ośmieliliby się na taki krok – i to w tak trudnym dla społeczeństwa czasie. To przykre, ale trzeba powiedzieć, iż wszystko wskazuje na to, że obecnych polityków interesuje przede wszystkim władza i dlatego ubierają swoje działania w religijny kostium.

Żal młodych ludzi, z których wielu w tych dniach odchodzi z Kościoła. Choruję, ale wyszedłem na ulicę, aby spojrzeć w oczy protestującym. Jakaś młoda dziewczyna niosła w ręku transparent z napisem „Wypierdalajcie". Na transparencie innej przeczytałem: „Moja macica, moja sprawa". Trudno sobie wyobrazić, by te dziewczyny zechciały kiedyś przynieść swoje dzieci do chrztu. Nasza, Kościoła, wina jest tutaj niepodważalna. Walcząc o świętą sprawę, postawiliśmy na naczelnym miejscu prawo, a nie człowieka. Dlatego proszę księży biskupów, aby nie udawali nieomylnych i bezgrzesznych, ale sami uderzyli się w piersi i przeprosili Polaków za swoje pomyłki i błędy. To jest droga do zgody i do pokoju.

© O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

Ekumeniczny rollercoaster

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Jazda do góry, po czym gwałtowny spadek do punktu wyjścia – tak można streścić ostatni rok dialogu ekumenicznego w Niemczech, ważnego także dla Kościoła powszechnego.

Zaczęło się od dokumentu wypracowanego przez ewangelickich i katolickich teologów z niemieckiej Ekumenicznej Grupy Roboczej, zatytułowanego „Wspólnie przy stole Pana". Wzywa on do zdecydowanego kroku ku interkomunii. Grupie współprzewodniczą katolicki biskup Limburga Georg Bätzing i emerytowany ewangelicki biskup Martin Hein. Konkluzja tekstu zaprezentowanego 11 września 2019 r. wzywała do wzajemnego otwarcia (katolickiej) Eucharystii i (protestanckiej) Wieczerzy Pańskiej dla wiernych obu wyznań. Dokument ten jest najdojrzalszym dotychczas opracowaniem w tym temacie. To ekumeniczne przedsięwzięcie doskonale wpisało się w perspektywę Drogi Synodalnej, którą kroczy dzisiaj Kościół katolicki w Niemczech. Co prawda ekumenizm nie został zdefiniowany jako temat wiodący, ale jest bez wątpienia religijną perspektywą niemieckich chrześcijan – Ekumeniczna Grupa Robocza zawiązała się już w 1946 r., a więc na długo przed Soborem.

Przy jednym stole

Dokument wysuwa jednoznaczny postulat przywrócenia jedności eucharystycznej pomiędzy katolikami i ewangelikami. Pojawiający się w nim termin „votum" jest czymś więcej niż „opinią" i „opowiedzeniem się za". Ten tekst nie jest pierwszą tego rodzaju inicjatywą Kościoła katolickiego w Niemczech. Poprzednia, z roku 2018, podjęta przez Konferencję Episkopatu Niemiec (DBK), postulująca zgodę na swego rodzaju wyjątkową „małą interkomunię" w rodzinach konfesyjnie mieszanych, została – po „donosie" siedmiu członków DBK – zamrożona przez watykańskie urzędy.

Opracowanie Grupy Roboczej jest próbą dotarcia z konkretnymi rozwiązaniami nie tylko do ośrodków decydenckich w Kościele. Autorzy chcą ukazać katolikom na świecie racje, dla których na jedność nie można już dłużej czekać. Czytamy, że teologiczną treścią świętowania Wieczerzy Pańskiej/Eucharystii jest uobecnianie się w niej Jezusa Chrystusa, w jego Słowie oraz w Chlebie i Winie. Nowy Testament świadczy o różnorodności form świętowania Eucharystii/Wieczerzy Pańskiej, istniejącej już w początkach chrześcijaństwa. Zmartwychwstały Chrystus jednoczy uczestników liturgii, usuwając wszelkie podziały, ofiarowując siebie.

To ukrzyżowany, wskrzeszony i wywyższony Chrystus zaprasza swoich do stołu ponad konfesyjnymi granicami. Zjednoczenie przez wiarę i chrzest w Chrystusie jest pierwotniejsze niż rozmaite formy wyrażania owego zjednoczenia. Teologowie Grupy podkreślają, że przewodniczenie Wieczerzy Pańskiej/Eucharystii należy do osoby wyświęconej/ordynowanej. Najważniejszą rzeczą jest sprawowanie liturgii z wiarą w obecność Chrystusa. Osiągnięta do tej pory zbieżność w kwestii rozumienia Wieczerzy Pańskiej i Eucharystii, urzędu i wspólnoty kościelnej, pozwala już dzisiaj na sformułowanie postulatu, by z ufnością dać się zaprosić Chrystusowi obecnemu w świętowaniu, jakie wydarza się w Kościołach obu wyznań – piszą autorzy.

Ostatni rozdział jest pełnym religijnej nadziei wołaniem. „Ekumeniczna Grupa Robocza ewangelickich i katolickich teologów uważa praktykę wzajemnego udziału w świętowaniu Wieczerzy Pańskiej/Eucharystii w poszanowaniu różniących się między sobą tradycji liturgicznych, za teologicznie uzasadnioną. Zwłaszcza w sytuacji rodzin konfesyjnie mieszanych jest to – w perspektywie pastoralnej – szczególnie ważne". W istocie Wieczerzę Pańską/Eucharystię

CHRISTIAN DITSCH / AFP

Nabożeństwo ekumeniczne odprawiają przewodniczący Rady Kościoła Ewangelickiego w Niemczech Heinrich Bedford-Strohm (z lewej) i przewodniczący Konferencji Episkopatu Katolickiego Niemiec Georg Bätzing. Berlin, 8 maja 2020 r.

można opisać jako świętowanie „w wielkanocnej nadziei Pamiątki zbawczego życia i śmierci Jezusa Chrystusa ustanowionej przez Niego samego, przez liturgiczne działanie, w którym Jego obecność, mocą Ducha Świętego, w przepowiadanym Słowie i sprawowanej Wieczerzy, jest żywo doświadczana". Natomiast „sukcesję apostolską, rozumianą jako nieprzerwany łańcuch wkładania rąk od apostołów do naszych czasów, trzeba uznać za koncepcję apologetyczną, której historycznie nie sposób dowieść". W takiej perspektywie pojawia się miejsce na różne pojmowanie urzędu apostolskiego, który w swych początkach „nie ograniczał się do Dwunastu, lecz obejmował także innych świadków zmartwychwstałego Chrystusa".

Zbierając przeprowadzone analizy, dokument konkluduje: „Doświadczenie przemawia za tym, że przeżywanie eucharystycznej wspólnoty w świętowaniu Wieczerzy Pańskiej jest także źródłem nadziei na drodze ku upragnionemu przez Boga celowi: pełnej, widzialnej jedności Kościoła w teraźniejszości Królestwa Bożego. Na drodze ku niemu ludzie już teraz sakramentalnie zjednoczeni przez chrzest mogą w świętowaniu Wieczerzy czerpać siłę do zachowania swojej życiowej codzienności, a jednocześnie doświadczać zachęty do służenia bliźnim w świecie".

Modlitwę za papieża wytrzymamy

Dokument Grupy przedstawił w dniu jego ogłoszenia bp Bätzing, wyrażając nadzieję na wspólną obecność ewangelików i katolików przy „stole Pana". Przełomowym doświadczeniem, do którego w swojej prezentacji nawiązał bp Bätzing, było ekumeniczne nabożeństwo pokutne w Hildesheim 11 marca 2017 r., sprawowane z okazji jubileuszowego Roku Reformacji. Spotkanie dało impuls do wypracowania wspólnego ewangelicko-katolickiego stanowiska w kwestii osiągnięcia wspólnoty eucharystycznej. Problem jedności w różnorodności nie jest – jak mówi biskup Limburga – kwestią dobrej woli bądź jej braku. To realizacja nakazu Pana „aby byli jedno" (J 17, 21).

Za wielką szansę bp Bätzing uważa zbliżający się III Kongres Ekumeniczny we Frankfurcie, zaplanowany na 12-16 maja 2021 r. W piśmie programowym napisano: „Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby w czasie Kongresu i po jego zakończeniu w umocnionej więzi walczyć o możliwość wspólnego sprawowania Wieczerzy Pańskiej".

Podsumowując dokument Grupy bp Bätzing zadeklarował: „Widzę w tym ważny i możliwy do zrobienia krok na drodze ku widzialnej jedności obu naszych Kościołów". Wyraził też nadzieję, że opracowanie zostanie docenione i przyjęte przez Urząd Nauczycielski Kościoła. Jego determinację podkreśla jasno sformułowane oczekiwanie: „To, czego nie mogę sobie wyobrazić w rozpoczynającej się debacie, to apodyktyczne: tak to nie! Wówczas zapytam adwersarza: no to jak? jak inaczej? I będziemy naszym rozmówcom przypominać o olbrzymiej odpowiedzialności, przed jaką stoimy".

Na konferencji prasowej przedstawiającej dokument głos zabrali także współkierujący pracami Grupy Roboczej prof. Volker Leppin ze strony ewangelickiej i ze strony katolickiej prof. Dorothea Sattler. Prof. Leppin jest przekonany o historycznej doniosłości sfinalizowanych wspólnych poszukiwań. „Chodziło nam o to, by na podstawie Pisma wspólnie wypracować teologiczne tezy i w ten właśnie sposób pojednać ze sobą różnorodne tradycje, które w perspektywie rzymsko-katolickiej i ewangelickiej mają wielkie znaczenie". Biblijny przekaz mówi o szerokim wachlarzu rozumienia Ostatniej Wieczerzy. „Na początku była wielość. To jest główne historyczne rozpoznanie, a tym samym istotna perspektywa ekumeniczna". W żadnym razie owa wielość nie oznacza dowolności, a zapraszającym nie jest ani człowiek, ani szafarz, ani też Kościół, lecz sam Chrystus. I to Jego obecność jest ↦

↦ rozstrzygająca w wydarzeniu Wieczerzy Pańskiej. Natomiast różnice w rozumieniu sakramentalnego urzędu nie są tak znaczące, by strona katolicka musiała negować ważność ewangelickiej ordynacji – przypomniał prof. Leppin. „Dla nas urzędy Kościoła katolickiego są prawomocne" – dodał. A modlitwę za biskupa i papieża w czasie katolickiej mszy „jesteśmy w stanie wytrzymać" – spuentował żartobliwie.

Prof. Dorothea Sattler, kierująca Instytutem Ekumenicznym Uniwersytetu w Münster, podkreśliła, że głównym celem ekumenicznych działań jest otwieranie dróg do wspólnego świętowania eucharystycznego we wspólnocie ochrzczonych. „Mając na uwadze kościelno-urzędową recepcję niniejszego naukowego opracowania, pozostaje z napięciem oczekiwać, czy pojawi się gotowość zdania się na zróżnicowaną argumentację naukową" – stwierdziła. Gruntowne przemyślenie na nowo Wieczerzy Pańskiej/Eucharystii pozwoli na przyjęcie ekumenicznego przekonania, wyrażonego przez prof. Sattler na temat ewangelickich duchownych: „Ludzie, którzy poprzez ordynację zostaną powołani na urząd, będą w stanie żywo urzeczywistnić związek pomiędzy dzisiejszą eucharystyczną wieczerzą i ofiarą życia Jezusa Chrystusa". To jest oczywiście wołanie o dostrzeżenie przez Urząd Nauczycielski Kościoła w protestanckiej liturgii obiektywnej wartości, z której mogą korzystać także katolicy.

Na wiosennym posiedzeniu plenarnym bp Bätzing został wybrany przewodniczącym niemieckiego Episkopatu. Można więc było oczekiwać, że w ekumenicznym dialogu będzie już tylko lepiej. W czasie toczonych pod jego kierownictwem obrad w Mainz debatowano nad dokumentem Grupy Roboczej. Na zakończenie obrad bp Bätzing stwierdził, że biskupi uznali w dokumencie „bogaty i zróżnicowany materiał teologiczny, którego celem jest dążenie do wspólnoty eucharystycznej i kościelnej". Stwarza on według nich „teologiczne ramy pomagające w podjęciu indywidualnej decyzji sumienia przez każdego wierzącego w kwestii udziału w Eucharystii czy też w Wieczerzy Pańskiej, ale nie jej wspólnego sprawowania". Wszystkie dokumenty z plenarnego posiedzenia DBK, zgodnie z prawem, zostały przesłane do Watykanu.

Postęp ekumeniczny wymaga czasem rezygnacji z utartych przekonań i przyzwyczajeń udrapowanych w kształt boskiego objawienia.

Za wcześnie na gościnność

Krótko przed wrześniowym spotkaniem biskupów w Fuldzie do bp. Bätzinga dotarł list z Kongregacji Nauki Wiary, podpisany przez kard. Luisa F. Ladarię. Dokument wypracowany przez Ekumeniczną Grupę Roboczą kongregacja uznała za „pozytywny wkład do debaty". To jedyne dobre słowo KNW na jego temat. Potem pojawiają się znane kwestie sporne dotyczące Eucharystii, a które – zdaniem KNW – nie zostały „odpowiednio odnotowane". Chodzi o przekonanie, że sprawowanie Eucharystii domaga się „jedności ze wspólnotą Kościoła i z jego wiarą, z papieżem i biskupami", uznania realnej obecności Chrystusa w Eucharystii i ofiarniczego jej rozumienia oraz konstytutywnego znaczenia sakramentalnego urzędu. „Istniejące wciąż różnice w rozumieniu Eucharystii i urzędu pomiędzy Kościołem katolickim i Tradycją reformowaną wciąż nie pozwalają na zrównanie Wieczerzy Pańskiej i Eucharystii. Różnice teologiczne są wciąż jeszcze tak poważne, że wykluczają wzajemny udział w Wieczerzy Pańskiej, względnie Eucharystii. Z tego też powodu dokument nie może być drogowskazem dla indywidualnych decyzji sumienia co do przystąpienia do Wieczerzy Pańskiej czy też Eucharystii".

W dokumencie KNW pojawia się także „ekumeniczny" argument, wskazujący na negatywne konsekwencje „eucharystycznej gościnności" dla dialogu z prawosławiem. Tego rodzaju argumentacja świadczy o braku wiary w możliwość przekonania partnerów ekumenicznego dialogu do jakichkolwiek rozwiązań wymagających rezygnacji nie tyle z poszukiwania prawdy, gdyż ta jest zawsze przed nami, ale z własnych, czasami wielowiekowych przekonań i przyzwyczajeń udrapowanych w kształt boskiego objawienia.

Decyzje KNW poparł pochodzący ze Szwajcarii (kraju znacząco zróżnicowanego wyznaniowo) kard. Kurt Koch, przewodniczący Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan. W wywiadzie udzielonym „Herder Korrespondenz" stwierdził, że list kongregacji jest poważną merytoryczną analizą tekstu dokumentu Grupy Roboczej (choć na 4 stronach „rozprawia się" z tekstem liczącym stron 57). W ten sposób kard. Koch niechcący odsłonił perspektywy dialogu ekumenicznego, prowadzonego przez Kościół katolicki pod jego kierownictwem; a raczej ich brak. Stwierdził, że problemy, które Grupa uważa za rozwiązane, wcale rozwiązane nie są, i że nie przedstawia ona aktualnej sytuacji ekumenicznej. Koch przypomniał wątpliwości, z którymi ani on, ani jego poprzednicy się nie uporali i nic nie wskazuje, by mogło to nastąpić w przewidywalnym czasie.

Stanowisko Szwajcara zadziwia. To nie niemieckie Kościoły powinny być motorem ekumenicznych poszukiwań, ale kierowana przez niego Rada, która wydaje się jedność popierać, ale kiedy ta znajduje się znacząco bliżej, przywołuje tysiące argumentów za niemożnością jej osiągnięcia. Oczywiście – problem mogą rozwiązać protestanci, przyjmując katolicki punkt widzenia, czyli *de facto* przechodząc na katolicyzm. Taki pogląd reprezentują zachowawczy biskupi niemieccy na czele z kard. Rainerem Woelkim z Kolonii. Interesujące jest to, że kard. Koch, co sam przyznał, w 2019 r. nie był w stanie przekonać do swoich racji bp. Bätzinga. Mimo to niemiecki dokument ocenia jako chybiony i nienadający się nawet do poprawienia, oczekując jednocześnie, że opinia zaprezentowana przez KNW uzyska akceptację papieża Franciszka. Ten ostatni, według watykańskich plotek przywołanych przez Kocha, miał wyrażać zaniepokojenie nie tylko w kwestii niemieckiej interkomunii, ale wręcz ogólnej sytuacji Kościoła w Niemczech.

Warto przypomnieć, że kard. Koch reprezentuje zachowawczy nurt teologii katolickiej, bliski kręgowi uczniów Josepha Ratzingera. Trudno więc oczekiwać, by opowiadał się za gruntownym przemyśleniem rozumienia Eucharystii, bez czego nie ma szans na ekumeniczne zbliżenie. Powtarzanie wciąż tych samych argumentów nie powoduje wzmocnienia

ich siły przekonywania, lecz prowadzi do ekumenicznej frustracji.

Rozczarowania watykańską interwencją nie kryła katolicka sygnatariuszka dokumentu Grupy, prof. Dorothea Sattler, która zwróciła uwagę, że od dziesięcioleci publikowane są teologiczne prace na temat rozumienia urzędu i sakramentów. Nie można za każdym razem zaczynać od początku, a tak się dzieje, ponieważ żadne z dotychczasowych badań nie znalazły uznania ze stronu Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. „Jesteśmy z pewnością gotowi do teologicznej weryfikacji i rozwijania naszego opracowania, ale pod warunkiem zaistnienia perspektywy, że przyniesie to jakieś praktyczne zmiany". Tymczasem teologiczne uzasadnienie z tekstu Grupy Roboczej nie zostało w ogóle zauważone przez kongregację.

Sprzeciw z niespodziewanej strony

Na zakończenie wiosennej sesji plenarnej DBK w Mainz zapowiedziano prace ekumenicznej Grupy Kontaktowej. To piętnastoosobowe gremium złożone z przedstawicieli DBK (siedmiu biskupów) i Rady Kościoła Ewangelickiego w Niemczech (osiem osób). Nic nie zapowiadało, że także z tej strony pojawią się potężne przeszkody. 6 maja 2020 r. Grupa Kontaktowa przyjęła krytyczną „Ocenę" podsumowującą pracę Grupy Roboczej i jej dokument. Jednak tekst „Oceny" nie został opublikowany, oczekując na prezentację i przegłosowanie dopiero na wrześniowym posiedzeniu plenarnym DBK. Z powodu listu KNW, który dotarł do adresata dopiero cztery dni przed rozpoczęciem posiedzenia plenarnego DBK, sprawę dokumentu Grupy Roboczej i jego „Oceny" autorstwa Grupy Kontaktowej odłożono i skierowano do prac w komisjach episkopatu. W oświadczeniu prasowym bp. Bätzinga nie tylko ujawniono istnienie „Oceny", ale zdecydowano się na jej publikację po konsultacji z ewangelicką stroną Grupy Kontaktowej. Opinii publicznej tekst ten udostępniono dopiero w październiku; jego treść zaskoczyła nie mniej niż sprzeciw KNW.

Oprócz przywołania osiągniętych konsensusów co do rzeczywistej obecności Chrystusa w czasie sprawowania Wieczerzy Pańskiej i Eucharystii, przypomniano problemy wspomniane już wyraźnie w tekście Grupy Roboczej. Wydaje się, że „Ocena" z powodu rzeczonych rozbieżności radykalnie zakwestionowała wartość tego dokumentu, stawiając pod znakiem zapytania dziesięcioletnie wysiłki. Czytamy w niej: „Te problemy wymagają dalszej teologicznej i pastoralno-liturgicznej pracy. Dla Kościoła katolickiego te otwarte kwestie są tak ważne, że przed ich wyjaśnieniem nie jest w stanie udzielić generalnej zgody na wzajemne uczestnictwo [w Eucharystii/Wieczerzy Pańskiej], zwłaszcza że dotyka to również jedności Kościoła katolickiego. (...) Dla Kościoła protestanckiego chrzest stanowi rozstrzygającą podstawę zapraszania ludzi do udziału w Wieczerzy Pańskiej i rozumienia przezeń eucharystycznej gościnności. Jednakże szanuje on fakt, że dla Kościoła katolickiego istotne znaczenie ma związek pomiędzy samym rozumieniem Kościoła i wyznawaną w takiej perspektywie teologią wspólnoty eucharystycznej. (...) Z drugiej strony również Kościół protestancki oczekuje od strony katolickiej rzeczywistego docenienia porozumień osiągniętych po wielu latach wytężonej pracy nad teologiczną treścią sprawowania Eucharystii i Wieczerzy Pańskiej".

Z teologicznej analizy „Oceny" wynika, że jest ona raczej protokołem rozbieżności i powrotem do punktu wyjścia. Niezrozumiałe, w kontekście wcześniejszych deklaracji, jest zachowanie biskupów Bätzinga i Gerharda Feige (przewodniczącego komisji ekumenicznej DBK), którzy sygnowali ten dokument. Rozczarowanie po obu stronach ekumenicznego dialogu jest ogromne, a strona protestancka woła o uszanowanie osiągniętych już uzgodnień.

Oczekiwanie na jedność sprawioną nadprzyrodzoną interwencją Pana Boga, do której tak często odwołują się katoliccy hierarchowie, wydaje się pomijać oczywisty fakt, że żadnej cudownej interwencji w tej materii nie będzie, a normalnym działaniem Boga są ludzie zatroskani o Jezusowe pragnienie jedności. Takimi impulsami Boga są, w moim najgłębszym przekonaniu, niemieccy biskupi w swej większości, niemieccy teologowie obu chrześcijańskich wyznań, a w końcu – lud Boży kroczący Drogą Synodalną, domagający się wspólnoty sakramentalnej, zwłaszcza w rodzinach konfesyjnie podzielonych.

Mając na uwadze znaczenie, a jednocześnie ciężar problemu interkomunii, trudno nie sparafrazować bp. Bätzinga (tego z 2019 r.) i zawołać: jeśli nie tak, to jak? Jeśli nie teraz, to kiedy? I głośno odpowiedzieć: właśnie tak, i właśnie teraz!

Ekumeniczny Frankfurt 2021 już niebawem. © KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

pomóż → PMM.ORG.PL

Polska Misja Medyczna

130 mln osób
na świecie jest zagrożonych niedożywieniem.

COVID-19

REKLAMA

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	**69 zł**	

+ PREZENT!

* ważny do 1 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Już teraz zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj prezent

„Ks. Adam Boniecki. Ćwiczenia z optymizmu. Książka do pisania” – to wyjątkowy notes z fragmentami wypowiedzi księdza Bonieckiego ilustrowany zdjęciami autorstwa Grażyny Makary i z prywatnego archiwum bohatera książki.

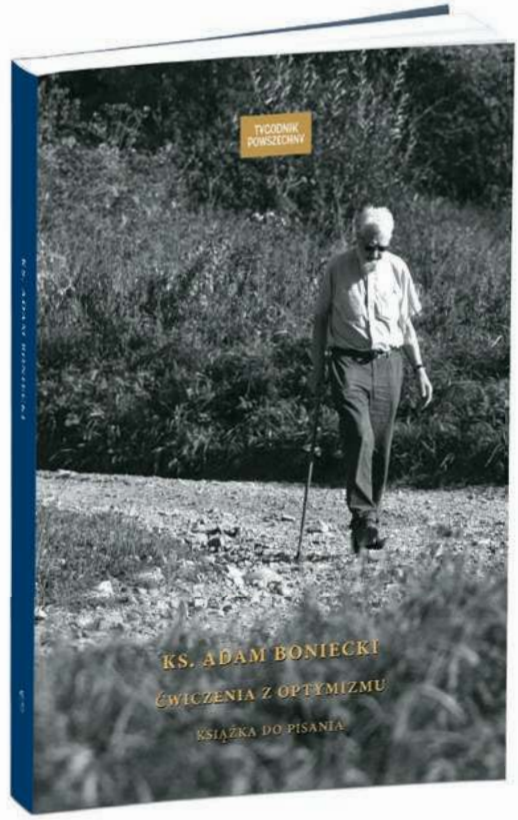

1. **Już dziś** zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate** lub wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. Jeśli wykupisz lub odnowisz prenumeratę do 1 grudnia br., „Książkę do pisania” otrzymasz jeszcze przed świętami – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 1 grudnia 2020 będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.

Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych.
Jak zachować optymizm i pogodę ducha?
Jak nie poddać się zwątpieniu?
Czy Bóg ma poczucie humoru?
Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadł redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA W TLE GRAŻYNA MAKARA DLA „TP”

ŚWIAT

48 GODZIN

Mało kto się spodziewał, że trzymający w napięciu spektakl zacznie się długo po wyborach: zliczanie ostatnich głosów w kilku zaledwie stanach.

MARTA ZDZIEBORSKA
Z NOWEGO JORKU

Gdy zamykaliśmy ten numer „Tygodnika", nie było jeszcze wiadomo, kto został prezydentem USA. Z komisji, które w paru stanach liczyły jeszcze głosy nadesłane pocztą, można było usłyszeć, że wiążące wyniki będą znane za kilka, może nawet kilkanaście dni. (Na bieżąco o wyborach piszemy w naszym serwisie specjalnym na powszech.net/usa2020).

Oto portret Ameryki z pierwszych 48 godzin po zamknięciu lokali.

Przebudzenie

Środa, 4 listopada. Od wczesnych godzin rannych nowojorczycy są przyklejeni do smartfonów: na bieżąco śledzą serwisy informacyjne. Od polityki trudno uciec nawet w chińskim barze. Gdy czekam na zamówiony posiłek, młoda Afroamerykanka ogląda w komórce relację telewizji CNN. Chcąc nie chcąc, słuchają jej wszyscy. Znany dziennikarz Anderson Cooper raportuje wyniki z Pensylwanii i Michigan: dwóch stanów, które cztery lata temu zadecydowały o zwycięstwie Donalda Trumpa. Kobieta jest tak pochłonięta relacją, że przy odbiorze swojego zamówienia nie odlepia wzroku od komórki.

Podchodzę i zagaduję. Shannon pracuje w pobliskim salonie kosmetycznym. Na pytanie o wybory reaguje złością: jest wściekła, bo nocą oglądała wystąpienie Trumpa. Choć wciąż trwa zliczanie głosów, prezydent stwierdził, że właściwie to już wygrał. Bez żadnych podstaw powiedział też, że doszło do oszustw, i straszył, że pójdzie do Sądu Najwyższego.

– To nie do pomyślenia, żeby prezydent Stanów Zjednoczonych mówił takie rzeczy! – krzyczy Shannon. – Boję się, że Trump wygra drugą kadencję. Jeśli tak się stanie, wyjdę na ulicę!

Niektórzy nie zwlekali z wyrażeniem swego gniewu. W reakcji na bezpodstawne oskarżenia Trumpa mieszkańcy m.in. Portland, Minneapolis i Chicago na ulicach domagali się zliczenia wszystkich głosów, aż do ostatniego. Protestowali też mieszkańcy Nowego Jorku. Obyło się bez rozruchów.

Żegnaj, prezydencie

Napięcie czuć także na Manhattanie, w okolicy słynnego wieżowca Trump Tower. Wzdłuż Piątej Alei ustawiono barierki, wszędzie krążą patrole policji. Funkcjonariusze co chwila zatrzymują zdezorientowanych przechodniów, którzy chcą przedostać się na drugą stronę Piątej Alei. Ze względów bezpieczeństwa zamknięto chodnik przy Trump Tower. Tam, gdzie jedni napotykają utrudnienia, inni upatrują swojej szansy. Paul Rossen, który od czterech lat sprzedaje antytrumpowskie gadżety, ustawił tutaj stragan. Przygotowany jest na ewentualne zwycięstwo Joego Bidena: na przypinkach, po pięć dolarów sztuka, oglądam wize-

EVAN VUCCI / AP / EAST NEWS

Prezydent Donald Trump po przemówieniu w Białym Domu, 5 listopada 2020 r.

runek kandydata Demokratów w przeciwsłonecznych okularach, które Biden chętnie zakładał podczas wieców wyborczych. Można też kupić przypinkę z kandydatką na wiceprezydenta Kamalą Harris i jakże aktualnym hasłem „Real Democracies Count Every Vote" (Prawdziwe demokracje zliczają każdy głos).

Paul Rossen ma też w ofercie czerwone czapki z napisem „Adios" (Żegnaj), nie bez powodu w języku hiszpańskim. Nawołując do budowy muru na granicy z Meksykiem, Trump często wyzywał nielegalnych meksykańskich imigrantów od morderców i gwałcicieli. Rossen chwali się, że sprzedał już wiele „pożegnalnych" czapek. – On już nie ma szans! – przekonuje i żywiołowo komentuje doniesienia na temat Wisconsin. Tuż przed naszą rozmową Biden wygrał w tym stanie.

Paul zdobywa się na szczerość i mówi, że najchętniej widziałby w Białym Domu socjalistę Berniego Sandersa. Senator z Vermont startował w prawyborach Partii Demokratycznej, ale przegrał wyścig o nominację z Bidenem.

– Rozumiem, że Ameryka nie jest przygotowana na takie zmiany, jak postulowana przez Sandersa powszechna opieka zdrowotna albo bezpłatne publiczne uczelnie – mówi Paul. – Dlatego dobrze, że to Biden stanął do walki z Trumpem. To przyzwoity polityk o centrowych poglądach, miał większą szansę przyciągnąć bardziej umiarkowany elektorat. Zresztą powiem ci jedno: każdy będzie lepszy od tego socjopaty! – odwraca się i pokazuje na Trump Tower.

Paul patrzy z ukosa na grupkę zwolenników urzędującego prezydenta: – Powiedz im, że nie znają się na matematyce. Biden ma już tak dużą przewagę, że szybciej zbierze 270 głosów elektorskich!

To minimum, by wygrać wyścig o Biały Dom: w USA obowiązuje zasada, że zwycięzca głosowania w danym stanie zgarnia całą pulę głosów elektorskich z tego stanu.

Transkobieta kocha Trumpa

Za namową Paula podchodzę do tlenionej blondynki w czerwonej bluzie z napisem „Uczyńmy Amerykę na powrót wielką". Juliet ma 39 lat i mówi, że kocha Trumpa.

Tak jak on uważa, że głosowanie korespondencyjne, za którego sprawą ostateczne wyniki tak długo nie są znane, prowadzi do nadużyć. Trump celowo budował taką narrację, bo w czasie pandemii to zwolennicy Demokratów częściej niż sympatycy Republikanów oddawali głos drogą pocztową, a nie osobiście w lokalu wyborczym.

Doprowadziło to do zaskakujących zwrotów akcji podczas zliczania głosów. Np. na początku wydawało się, że to Trump prowadzi, a gdy zaczęto liczyć głosy korespondencyjne, szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na korzyść Bidena. Niekiedy dochodziło do sytuacji odwrotnej i po zliczeniu kolejnej puli głosów oddanych w lokalu to Trump wysuwał się na prowadzenie.

– Demokraci na pewno chcą nas oszukać! – twierdzi Juliet, która odgraża się, że w razie przegranej Trumpa szykuje się na „wojnę".

– Mam pozwolenie na broń. Będę walczyć za prezydenta! – obiecuje. – Jeszcze cztery lata temu głosowałam na Hillary Clinton, ale zrozumiałam, że Demokraci chcą zrobić z Ameryki drugą Europę. A ja nie chcę, żeby w naszym kraju rozpanoszyli się islamiści! Trump dobrze zrobił, że wprowadził zakaz wjazdu dla muzułmanów – dodaje Juliet, która tłumaczy, że jest osobą transpłciową i najwyraźniej obawia się muzułmańskich radykałów.

– Za rządów Donalda Trumpa czuję się bezpieczna – deklaruje. – Tylko jemu zależy na ochronie interesów Ameryki. Zamiast gadać jak Biden o pandemii, on chce odbudować naszą gospodarkę. To się teraz liczy! Niedawno zrobiłam sobie test na obecność przeciwciał i okazało się, że miałam już koronawirusa. Bez żadnych objawów! To wszystko jakaś ściema!

Dojrzały człowiek

Detroit w Michigan. Tłum zwolenników Trumpa zbiera się pod komisją wyborczą i próbuje wymusić zaprzestanie dalszego liczenia głosów. Protestujący kipią gniewem, bo jeszcze do południa w stanie tym prowadził Trump. Dopiero w trakcie liczenia kolejnych głosów przewagę uzyskał Biden.

Dzień po wyborach nerwowo jest też pod komisją w Phoenix w stanie Arizona, gdzie grupka uzbrojonych fanów prezydenta domaga się dalszego liczenia głosów. Tu prowadzi Biden, ale oni mają nadzieję, że Trump wysunie się na prowadzenie.

Dzwonię do Jerry'ego Stepanovicha z Grand Rapids w Michigan. Pytam, czy pochwala protesty pod komisjami. – Ludzie mają rację! – krzyczy Jerry, ale za chwilę się mityguje. – Nie zrozum mnie źle, nie pochwalam prób wtargnięcia na teren komisji. Uważam jednak, że zarówno ludzie z kampanii Trumpa, jak i Bidena powinni być obecni przy liczeniu głosów.

Jerry popiera działania sztabu prezydenta, który złożył już kilka pozwów. Powołując się na rzekome ryzyko nadużyć, prawnicy Trumpa żądali, by sądy nakazały tymczasowe wstrzymanie liczenia głosów w Michigan, Pensylwanii i Georgii.

Jerry kibicuje Trumpowi. Ale deklaruje, że jeśli zwycięży Biden, to on zaakceptuje wynik i nie będzie się pieklił, jak niektórzy zwolennicy prezydenta. – Jestem na tyle dojrzały, żeby rozumieć, na czym polega demokracja – mówi Jerry. ↦

– Ale nie zmienia to faktu, że boję się ewentualnej prezydentury Bidena. Boję się, że on jeszcze bardziej pogrąży gospodarkę. Choć nie podnieśliśmy się z kryzysu wywołanego przez pandemię, Demokraci najchętniej wydawaliby pieniądze na prawo i lewo.

– Słyszałem w Fox News, że oni chcą zapewnić nielegalnym imigrantom bezpłatną opiekę zdrowotną – mówi Jerry, powołując się na popularną telewizję sprzyjającą Trumpowi. – Z jakiej racji mamy wspierać tych darmozjadów?! Mnie nikt nie pomagał. Od lat uczciwie płacę podatki, opłacam ubezpieczenie zdrowotne i odkładam na starość. Jeszcze tego brakowało, żeby przez nielegalnych Meksykańców obniżyli mi kiedyś emeryturę! Moi dziadkowie pochodzili z Litwy i dotarli do Stanów z poszanowaniem prawa. Nie wyciągali ręki po wsparcie!

Filadelfia protestuje

Czwartek, 5 listopada, wczesne popołudnie.

Liberalna Ameryka najchętniej otworzyłaby już szampana. Według dotychczasowych wyników Biden uzbierał już 253 głosy elektorskie i do zwycięstwa brakuje mu tylko 17 głosów. Demokraci z coraz większą nadzieją spoglądają na Pensylwanię (do wzięcia jest tam 20 głosów), gdzie do zliczenia zostały głównie głosy z hrabstw położonych wokół Filadelfii i uznawanych za bastion liberałów.

Nic dziwnego, że na ulicach Filadelfii emocje sięgają zenitu. Protesty mają tu trojaki charakter. Jedni domagają się uczciwego zliczenia głosów, inni wspierają Trumpa, a jeszcze inni demonstrują przeciw brutalności policjantów, którzy zastrzelili czarnoskórego 27-latka Waltera Wallace'a. Sytuację zaogniło ujawnione tuż po wyborach nagranie z policyjnej interwencji.

– Nawet nie chcę myśleć, co będzie się tu działo, jeśli Trump przegra – mówi 56-letnia Helen, która mieszka na przedmieściach Filadelfii. – Przecież jego zwolennicy są nieobliczalni! Ostatnio przez Trumpa straciłam przyjaciółkę. Wiesz, co mi powiedziała? Że prezydent jest bardziej moralnym człowiekiem ode mnie, bo on wspiera ruch pro-life, a ja opowiadam się za prawem do aborcji!

– I nieważne, że Trump ma za sobą serię seksskandali oraz lekceważył zagrożenie związane z pandemią – irytuje się Helen. – Czy do niego i ludzi takich jak moja przyjaciółka nie dociera, że ten wirus zabija? Mój 83-letni ojciec zmarł na koronawirusa! Lekarze nie wiedzieli, jak go leczyć, bo choroba zaatakowała mózg, a nie płuca. Tata zmarł kilka dni po powrocie ze szpitala. Nie wybaczę prezydentowi, że w czasie pandemii nie potrafił zachować się jak mąż stanu. On musi przegrać! Tylko czekam, aż Biden go pokona.

MARTA ZDZIEBORSKA

Paul Rossen

MARTA ZDZIEBORSKA

Juliet

ARCHIWUM PRYWATNE

Jerry Stepanovich

MARTA ZDZIEBORSKA

Steve Millies

Nie odpuszczę

Mija już druga doba od zamknięcia lokali wyborczych, ale Ameryka wciąż nie zna zwycięzcy. Wszystkie oczy zwrócone są na pięć stanów: Pensylwanię, Newadę, Karolinę Północną, Arizonę i Georgię, gdzie komisje dalej liczą głosy.

Biden wydaje się pewny wygranej, ale nawołuje Amerykanów do cierpliwego oczekiwania. Trump składa kolejne pozwy i daje do zrozumienia, że w przypadku niewielkiej przewagi rywala tak łatwo nie odpuści. Przekonuje, że „nie można dopuścić, by ukradziono zwycięstwo prezydentowi USA", i nawołuje, aby zaprzestać zliczania „nielegalnych", jak twierdzi, głosów – czyli takich, które dotarły do komisji pocztą już po 3 listopada.

Ze względu na pandemię i spodziewaną rekordową liczbę głosów oddanych drogą korespondencyjną, niektóre stany wydłużyły termin przyjmowania pakietów wyborczych. Stąd tak powolne teraz zliczanie głosów.

W głęboko podzielonej Ameryce wielu obawia się nie tylko nieobliczalnego Trumpa, lecz także powtórki z 2000 r., gdy powyborcza batalia sądowa między George'em W. Bushem a Alem Gore'em trwała aż 35 dni. Ostatecznie decyzja Sądu Najwyższego o zakończeniu ponownego liczenia głosów na Florydzie przesądziła o zwycięstwie Republikanina.

Tamten spór wspomina dziś Steve Millies, emerytowany kolejarz, którego zagaduję podczas antytrumpowskiej demonstracji w nowojorskim Central Parku.

– Wtedy, w 2000 r., nie protestowałem przeciw wyrokowi Sądu Najwyższego, ale tym razem, jeśli będzie trzeba, nie odpuszczę – deklaruje Steve. – Gdyby 20 lat temu wygrał Gore, być może nie byłoby inwazji na Irak i Afganistan. Przecież świat wyglądałby teraz inaczej – przekonuje.

A jak zmieni Amerykę i świat zwycięzca tegorocznych wyborów prezydenckich?

Na początek, przydałoby się go poznać.

© MARTA ZDZIEBORSKA

DAVID W. CERNY / REUTERS / FORUM

Protest przeciwko ograniczeniom praw obywatelskich wprowadzonym przez czeski rząd z powodu pandemii. Praga, 28 października 2020 r.

Pandemiczne zmęczenie

ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI

Czechy przodują w covidowych antyrankingach. Jednak życie toczy się dalej. „Bo ile można?" – mówią ludzie.

Witam! Pani na trening? – instruktorka wyciąga rękę na powitanie. Bez rękawiczek i maseczki. Jeszcze bez.

Na Anetę czeka pięć osób. We wtorek, 20 października, spotkania w wąskim gronie są jeszcze dozwolone. Fitness kluby wprawdzie już zamknięto, ale niektóre przestawiły się na zajęcia na wolnym powietrzu. – Mamy szczęście, dziś można jeszcze bez maseczek na zewnątrz. Mają wejść od jutra – rzuca Aneta, gdy truchtamy w kierunku parku na praskim Karlinie. – Ale sportowców to i tak pewnie nie będzie dotyczyć, tak jak wiosną.

Szczęście to nie plan

W tamten wtorek w Czechach pada rekord: oficjalnie przybywa niemal 12 tys. zakażonych, aż o 4 tys. więcej niż dzień wcześniej. I to w kraju, który zamieszkuje cztery razy mniej ludzi niż Polskę. Tydzień później słupek pokaże już ponad 15 tys. nowych przypadków. Potem liczba zakażonych nieznacznie spada – do ponad 13 tys. w ostatni piątek października. W niedzielę 1 listopada odnotowano 6,5 tys. zakażonych, prawie 2 tys. mniej niż tydzień wcześniej.

„Wiosną mieliśmy fart. Ale szczęście to nie plan. Dlatego wyszliśmy na tym źle. Bo wielkie problemy trzeba brać na poważnie" – pisze Eryk Tabery, redaktor naczelny tygodnika „Respekt". Istotnie, podczas wiosennej fali czeski rząd szybko wprowadził restrykcje, ale nigdy nie przedstawił konkretnej strategii – choć od 2006 r. posiada „Plan pandemiczny" (określa on, kto, kiedy i jakie kroki miałby podejmować). Premier Andrej Babiš działał na własną rękę, byle zachować wizerunek przywódcy zdecydowanego i skutecznego.

Przez całe lato Czesi słyszeli, że władze są przygotowane na jesienną falę. Okazało się, że nie na taką. „Naprawdę zbliżamy się do krawędzi – mówił rzecznik szpitala w Przybramie pod koniec października. – Jeśli sytuacja się nie zmieni, w przyszłym tygodniu osiągniemy limity". Również minister zdrowia (teraz już były) Roman Prymula ostrzegał, że kraj zbliża się do „poziomu zagrażającego wydolności systemu opieki zdrowotnej". Pod koniec października w Pradze zajętych było 81 proc. covidowych łóżek szpitalnych.

Prymula przeprosił, że zawiódł obywateli: że w trakcie wakacji nie naciskał na wprowadzenie surowszych restrykcji i nie apelował o większą ostrożność. Ministrem był zresztą tylko przez miesiąc: stracił stanowisko, gdy fotoreporter uwiecznił go na spotkaniu w oficjalnie zamkniętej restauracji i w drodze do auta bez maseczki (już po wprowadzeniu nakazu ich noszenia na zewnątrz).

Nowy minister, hematolog dziecięcy Jan Blatný, zasłynął wiosną stwierdzeniem, że COVID-19 to „trochę poważniejsza grypa, którą da się zwalczać podstawowymi środkami: po prostu trzeba opanować rozprzestrzenianie się wirusa". Teraz wzywa Czechów do noszenia masek i ograniczenia kontaktów społecznych.

Obywatel ma dość

Niepokojące prognozy o jesiennej fali miały leżeć na stołach polityków już w sierpniu. Na początku września odsetek pozytywnych przypadków wśród testowanych przekroczył 5 proc., co według WHO oznacza moment, gdy epidemia wymyka się spod kontroli. Statystyka z 1 września pokazała 500 nowych zakażeń w całym kraju. Dziś to nie robi wrażenia, ale wtedy zrobiło: było to o 120 więcej niż podczas wiosennego apogeum. Wróciły maseczki: usta i nos należało zakrywać w komunikacji miejskiej, w placówkach medycznych czy podczas wydarzeń z udziałem ponad 100 osób.

Aż do wyborów do sejmików wojewódzkich i wyborów uzupełniających ↦

↦ do Senatu, które odbyły się na początku października, nie było jednak mowy o nowych restrykcjach, które mogłyby rozgniewać Czechów, jak wszyscy w Europie zmęczonych już epidemią. Tylko Roman Prymula – wtedy szef sztabu kryzysowego – powtarzał, że aby utrzymać wirusa w ryzach, należy drastycznie ograniczać spotkania z innymi ludźmi.

Choć potem zakażonych przybywało, Czesi nie zamierzali zbytnio się izolować. Badania socjologiczne pokazują, że we wrześniu i pierwszej połowie października skala kontaktów była podobna jak w sierpniu: przeciętny Czech spotykał się tygodniowo z ok. 20 osobami (w sierpniu – z 23). Restauracje i gospody zamknięto dopiero 13 października.

Wielu wciąż nie uważa, że należy się odpowiednio zabezpieczać; nie zasłaniają nosa albo trzymają maskę na brodzie. – Głupota, mam tego dosyć, ile można z tymi maseczkami – piekli się drobna blondynka na dworcu autobusowym w Brnie.

Jest sobota, 17 października, 9 tys. odnotowanych zakażeń. Blondynka pracuje jako ankieterka: pyta pasażerów zmierzających do Pragi, czy byliby zainteresowani skorzystaniem z szybkiego połączenia kolejowego między Brnem a stolicą. Wypełniając kwestionariusz stwierdza, że nawet jak będzie szczepionka, to się na nią nie zdecyduje („Za stara jestem na takie rzeczy").

Chce tylko, żeby już było po wszystkim: – Bo jak tak dalej pójdzie, to będą protesty. Albo ludzie zaczną się włamywać do sklepów i wszystko rozkradać.

Nadmierna pewność siebie

Na protesty nie trzeba długo czekać. W niedzielę 18 października na praskim Starym Mieście zgromadziło się kilka tysięcy kibiców i „antymaseczkowców". Skończyło się na starciach z policją.

Miroslav Mareš, ekspert ds. prawicowego ekstremizmu, obawia się, że „wśród osób niezadowolonych z rządowych obostrzeń wyłania się nowy ruch". Jednak politolożka Lenka Hrbková nie widzi powodu do takich obaw. – Gwałtowny konflikt z policją to efekt zakazu imprez sportowych i innych zgromadzeń publicznych. Ludzie nie mają się gdzie wyżyć – sądzi Hrbková. – W istocie, jak pokazują badania, tylko niewielka część Czechów aktywnie sprzeciwia się restrykcjom. Podobne protesty są w różnych krajach, od Niemiec, przez Włochy i Izrael, po USA i Wielką Brytanię. Ludzie są sfrustrowani ograniczeniami. One mają negatywny wpływ na zdrowie psychiczne, na sytuację ekonomiczną i ogólną jakość życia.

ULA IDZIKOWSKA x2

Richard Smejkal

Tereza Vohryzková

Czesi coraz mniej wierzą w skuteczność restrykcji. W czerwcu ich sens widziało 86 proc. pytanych, teraz mniej niż połowa: tak podaje czeskie Centrum Badań Opinii Publicznej.

Hrbkovą to nie dziwi: – Wiosną zagrożenie było nowe, wszyscy byli ostrożniejsi. I rząd, który wcześnie zdecydował się na całkowity lockdown, i opinia publiczna, która podążała za obostrzeniami. Niestety późną wiosną i latem, gdy wyglądało na to, że kryzys minął, wszyscy zaczęli być zbyt pewni siebie. Babiš mówił, że pokonaliśmy pandemię, możemy wracać do normalności i nie ma potrzeby wprowadzania środków ostrożności, dopóki nie uderzy nowa fala. Ludzie uwierzyli i odetchnęli z ulgą. Nic dziwnego, że zaufanie spadło z chwilą, gdy rząd przyznał się do błędu i ogłosił powrót do wcześniejszych restrykcji.

Kłopoty komunikacyjne

I to ogłosił w podobnie chaotyczny sposób jak wiosną. W efekcie nawet politycy miewają problem ze zrozumieniem niektórych restrykcji.

Tak było w przypadku posła Dominika Feriego. „Po marcowej konferencji [rządu] byłem lekko zdezorientowany. Sięgnąłem więc po treść obostrzeń. Już wiedziałem, że będzie problem z komunikacją" – wspominał Feri w wywiadzie dla portalu iDnes. W połowie marca poseł stworzył na Instagramie pierwszą grafikę pt. „Kwarantanna" (z wyjaśnieniem, na czym ona polega). Post polubiło 35 tys. osób. W czerwcu profil Feriego (pod nazwą Choco_afro) śledziło 300 tys. osób, dziś jest ich 750 tys.

24-letni Feri, z rodziny czesko-etiopskiej, to najmłodszy poseł w historii Czech i jedyny, który ma tylu fanów na Instagramie. Dla wielu młodych ludzi jego posty to główne źródło informacji.

Pod koniec października Feri przekonał premiera, że należy w końcu stworzyć covidowy serwis informacyjny. Babiš przyznał, że komunikacja nie jest najmocniejszą stroną rządu. Strona internetowa będzie oparta na konkretnych sytuacjach życiowych: co zrobić, gdy zachoruje ktoś z domowników, jak szukać pomocy psychologa, jak starać się o zapomogę. Feri obiecuje informować w przystępny sposób: „Porzucamy język urzędowy".

W zamrożeniu

– Przeżyłam szok. Byłam przekonana, że nas nie zamkną. A tu taka nieprzyjemna niespodzianka! – opowiada znajoma praska masażystka. Stałych klientów przyjmuje teraz w prywatnym mieszkaniu. – Nie jest ich dużo. Zapraszam tylko takich, którym ufam i wiem, że mnie nigdzie nie zgłoszą.

Rząd długo zarzekał się, że zamrożenie gospodarki to ostateczność. I że jeśli miałoby to nastąpić, poinformuje na czas. Tymczasem decyzja o zamrożeniu usług, które nie są niezbędne, dotarła do masażystki w środowe południe. W czwartek nie mogła już pracować. – Przysługuje nam zapomoga w wysokości 500 koron dziennie [ok. 84 zł – red.], więc nie jestem zupełnie na lodzie. Ale wciąż muszę opłacać lokal, więc zostaje mi tylko na jedzenie. Stan wyjątkowy potrwa jeszcze do 20 listopada.

W gorszej sytuacji są samotni rodzice, głównie kobiety – to one najbardziej ucierpiały z powodu pandemii. Część straciła pracę, część musiała sama zre-

zygnować z posady, by opiekować się dziećmi. Organizacje pomocowe przestrzegały już latem, że sytuacja samotnych matek może ulec dalszemu pogorszeniu.

– W końcu zaczęło być głośno o problemach, z którymi borykają się samotni rodzice. To chyba jedyny plus pandemii – uważa Tereza Vohryzková, która siedem lat temu została sama z dwójką małych dzieci. – W społeczeństwie panuje przekonanie, że zasiłki pobierają przede wszystkim ludzie, którzy nie potrafią sobie poradzić w życiu. Miałam przez to problemy z samooceną. Do tego doszło poczucie, że zawiodłam dzieci, bo popadłam w depresję.

Vohryzková ma nowego partnera, ale pamięta trudy samotnego macierzyństwa. Dlatego wiosną zebrała ponad setkę laptopów i przez Klub Samotnych Matek przekazała je potrzebującym dzieciom, by mogły brać udział w zdalnym nauczaniu. – Teraz mamy powtórkę z rozrywki, bo szkoły znów są zamknięte. Ale już nie mam siły na kolejną akcję. Wiosną spędzałam po sześć godzin dziennie przed komputerem, żeby to ogarnąć. Zrobiłam, co mogłam. Teraz Klub i organizacja rządowa Digitální Česko wspomagają kobiety. Więc mogę zająć się sobą. Brakuje mi energii, tak jak wszystkim dookoła.

Vohryzková uważa, że sporo osób chciałoby pomóc innym, ale nie wiedzą, jak: – Wiosną to było jasne. Brakowało masek, więc ludzie je szyli. Teraz służba zdrowia potrzebuje głównie ludzi. Rozważałam przez chwilę, żeby zgłosić się jako wolontariuszka, ale obawiam się, że to zbyt ryzykowne dla mojej rodziny.

Odciążyć system

Richard Smejkal, szef centralnego zespołu kryzysowego Czerwonego Krzyża, jest spokojny: – Ochotników nie brakuje. Na kursach pielęgniarstwa, które organizujemy od początku września, wszystkie miejsca są zawsze zajęte. Czas nagli, więc intensyfikujemy szkolenia. Przeszkoleni przez nas pielęgniarze-ochotnicy już pracują w szpitalach i domach opieki.

Chętni, którzy w tygodniu pracują, zapisują się na sobotnie sesje. Jak w ten weekend, gdy dziesiątka młodych prażan stawia się w szpitalu na Strahovie. Najpierw czeka ich teoria, po południu będą trenować przewracanie pacjentów na bok czy zakładanie pieluch.

– Puk, puk. Dzień dobry, pani Nováková! Jak się pani czuje? Zabiorę panią na prześwietlenie – młoda kursantka parkuje wózek koło łóżka i sięga po kolegę, który udaje pacjenta.

– Hamulce! Nie zapomnij o hamulcach, bo ci odjedzie! – przypomina instruktor. Dziewczyna łapie się za głowę. – Nic się nie dzieje, uczymy się! – uspokaja trener.

Pozostali obserwują w skupieniu. – Kiedy patrzysz z boku, wydaje się to proste. Ale jak przychodzi co do czego, zaczynasz się plątać – komentuje młody mężczyzna.

Szpitalna psycholożka tłumaczy, jak ważna jest komunikacja z pacjentem: – Postawcie się w sytuacji osoby, która jest uzależniona od czyjejś pomocy. Nie wszyscy czują się z tym komfortowo. Dlatego przećwiczcie sobie wszystkie zwroty, których użyjecie. Żebyście się nie zacięli w kluczowym momencie, gdy np. zmieniacie komuś pieluchę.

Dlaczego ci młodzi ludzie biorą udział w kursie pielęgniarstwa? Powody się powtarzają: chcą jakoś pomóc, wesprzeć seniorów w rodzinie. – Nie wiadomo, kiedy się to przyda. Wolę być przygotowana. A w Polsce nie macie czegoś podobnego? – pyta po polsku jedna z Czeszek.

– Odciążenie systemu to główny cel naszych szkoleń – mówi Richard Smejkal. – Każda *babička*, której nie trzeba wieźć karetką do szpitala, bo zajmą się nią najbliżsi, to dodatkowe łóżko w szpitalu. Nie chodzi o zastępowanie personelu, tylko o wspieranie go. Wolontariusze mogą wykonać podstawowe czynności, aby doświadczeni pielęgniarze mogli zająć się pacjentami w gorszym stanie. A taka podstawowa opieka jest niezwykle ważna, weźmy np. przekładanie pacjenta z boku na bok, żeby uniknąć odleżyn.

Ostatniej nocy Smejkal spał tylko parę godzin. Do pierwszej sprawdzał, czego potrzebują pracujący już wolontariusze, organizował dostawę sprzętu ochronnego: – Działamy na pełnych obrotach, nie mamy wyjścia. Jesteśmy zmęczeni, *pandemic fatigue*, zmęczenie pandemiczne, dopadło już wszystkich. Stan pełnej gotowości trwa za długo. Na szczęście ludzie wciąż okazują solidarność. Mimo braku energii, frustracji i strachu, chcą pomagać.

© ULA IDZIKOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Epidemia przemytników

ALEXIO RASHIRAI Z HARARE (ZIMBABWE), WOJCIECH JAGIELSKI

Gdy Południowa Afryka wprowadziła rygorystyczne restrykcje sanitarne – w tym zakaz sprzedaży papierosów – szmuglerzy z sąsiedniego Zimbabwe nie mogli uwierzyć w swoje szczęście.

Ten krótki film stał się w Zimbabwe przebojem. Na amatorskim nagraniu, które opublikowano w internecie, młody chłopak ściska w garści grube pliki banknotów, południowoafrykańskich randów. „Rok temu byłem nikim, a dziś, patrzcie tylko, jestem milionerem – mówi. – A wszystko zawdzięczam wirusowi!".

Chłopak mówi, że ma 24 lata i co najmniej cztery miliony. Oraz że kupił właśnie żonie nowiuśki samochód, prawdziwe cacko. Cztery miliony randów to mniej więcej 400 tys. dolarów! A jeszcze rok temu sprzedawał mydło i powidło na ulicznym straganie w Harare, stolicy Zimbabwe. „Epidemia, kwarantanna, kontrabanda... – powtarza jak czarodziejskie zaklęcia. – To całe unieruchomienie gospodarki uczyniło mnie bogaczem".

Bez cienia zakłopotania, a nawet z dumą w głosie wyznaje, że doszedł do majątku przemycając papierosy przez graniczną rzekę Limpopo, z Zimbabwe do Republiki Południowej Afryki, najbogatszego kraju na całym kontynencie. W marcu (na południu Afryki jest to początek jesieni) władze RPA wprowadziły najbardziej rygorystyczne na świecie środki bezpieczeństwa, włącznie z prohibicją i zakazem sprzedaży papierosów. Przemytnicy z Zimbabwe nie mogli uwierzyć w szczęście, jakie ich spotkało.

Szmuglerski interes

Przemyt papierosów do RPA trwa od dekad. Tytoń z plantacji w Zimbabwe, a wcześniej w Rodezji (obecną nazwę kraj przyjął w 1979 r.), zawsze cieszył się doskonałą opinią, podobnie jak wyrabiane tu papierosy. Są dobre, a przede wszystkim tanie, podczas gdy w Południowej Afryce kosztują krocie. Już samo to nakręcało kontrabandę, która przybierała na sile, odkąd w RPA zlikwidowano w 1994 r. apartheid i zastąpiono go przepisami prawnymi wzorowanymi na zachodnich. Zakładały one także walkę ze szkodliwym dla zdrowia nałogiem tytoniowym. Papierosy obłożono podatkami, co sprawiało, że kosztowały coraz więcej i więcej. Początkowo odnosiło to nawet skutek: oszacowano, że w pierwszej dekadzie po upadku apartheidu liczba palaczy w RPA zmalała o jedną trzecią.

Jednak ciągły wzrost cen papierosów – ich producenci w ten sposób próbowali powetować sobie mniejszą sprzedaż – coraz bardziej kusił przemytników. W Zimbabwe paczka papierosów nie kosztuje nawet dolara, gdy w RPA półtora dolara trzeba zapłacić nawet za te najtańsze. Te lepsze i najlepsze, jak najpopularniejsze stuyvesanty, właśnie znowu zdrożały i kosztują już prawie trzy dolary. Za paczkę papierosów marki Marlboro, Dunhill czy Camel trzeba zapłacić już ponad trzy.

Dekadę temu jedna dziesiąta papierosów w Południowej Afryce pochodziła ze szmuglu, głównie z Zimbabwe. Ostatnio z przemytu pochodził już co trzeci papieros wypalany w Kapsztadzie, Johannesburgu czy Durbanie.

Jak to się robi?

Pomniejsi przemytnicy przekradają się przez granicę pieszo, kartony papierosów przenosząc na własnym grzbiecie. To drobnica. Królowie tego interesu przewożą kontrabandę ciężarówkami, w hurtowych ilościach.

Karawany zatrzymują się w miasteczku Beitbridge na brzegu rzeki Limpopo, wyznaczającej tu granicę między Zimbabwe i RPA. Niektórzy kończą tu wyprawę i za opłatą przekazują papierosy pośrednikom, którzy specjalizują się w przerzucaniu towarów przez granicę do Musiny, najbliższego większego miasta na południowoafrykańskim brzegu Limpopo. W Beitbridge pośrednicy wynajmują przewodników, którzy za sowitą opłatą przeprowadzają ich przez zieloną granicę, przez znane sobie bezpieczne przeprawy, gdzie nie grożą ani patrole, ani krokodyle czy słonie.

Nielegalnych przepraw przez Limpopo jest ze dwieście, a przewodnicy znają nie tylko każdy szlak, ale także trasy i terminarze granicznych patroli, zarówno po zimbabweńskiej, jak też po południowoafrykańskiej stronie granicy. Znają też strażników i celników. Wiedzą, kogo można i trzeba przekupić, by nie robił trudności, gdy karawana przekracza granicę, a w razie wpadki pomógł – znów za opłatą – odzyskać i wolność, i towar.

Przemytnicy wiedzą, że jeśli nie zna się, kogo trzeba, i nie wręczy odpowiedniej łapówki, wówczas ciężarówki ze szmuglowanymi papierosami mogą albo utknąć na przejściu granicznym w Beitbridge, albo zostaną dokładnie przeszukane. Kto wie, komu wręczyć kilka tysięcy randów (200-300 dolarów), ten przejedzie granicę bez zwłoki i zbędnych ceregieli, a na koniec zarobi tyle, że inwestycja w łapówkę wyda się drobnym wydatkiem.

Po przekroczeniu granicy karawany z papierosową kontrabandą wjeżdżają więc do Musiny, gdzie czekają miejscowi kupcy i kolejni pośrednicy. Odkupiwszy od przemytników towar, powiozą go do Johannesburga i sprzedadzą z jeszcze większym zyskiem. Tylko nieliczni przemytnicy z Zimbabwe podejmują ryzyko i jadą dalej, aby bez pośredników zgarnąć samemu cały zysk. Bo żeby dotrzeć do odległego o 500 km Johannesburga, trzeba przedzierać się przez policyjne patrole, które – nierzadko w zmowie z lokalnymi gangami – zedrą z nich ostatnią skórę. Straż graniczna, celnicy i policjanci z RPA stali się tak chciwi i namolni, że kierowcy ciężarówek zamiast kursu do Johannesburga wolą nawet kurs do Konga, od lat uchodzącego za kraj łapówkarzy, bałaganu i wojny.

Przemyt w czasach biedy...

Zimbabwe, pół wieku temu będące spichlerzem południa Afryki, już po raz drugi w tym stuleciu przeżywa gospodarczą zapaść. Nie działa nic, brakuje wszystkiego, nawet czystej wody i gotówki w bankomatach, szaleją za to inflacja (zbliża się do 1000 proc.), bezrobocie i korupcja. Organizacje dobroczynne uważają, że prawie połowa z 15 mln

JEROME DELAY / AP / EAST NEWS

Mieszkańcy pogranicza przechodzą przez wyschniętą rzekę Limpopo do RPA w okolicy miasta Musina, czerwiec 2020 r.

mieszkańców Zimbabwe potrzebuje pomocy żywnościowej.

Większość ludzi nie ma pracy i żeby związać koniec z końcem, musi zajmować się drobnym pokątnym handlem lub kontrabandą. Jedna trzecia ludności szuka chleba za granicą. Pół miliona szczęściarzy zahaczyło się w Wielkiej Brytanii, dawnej metropolii kolonialnej. 2-3 miliony w poszukiwaniu zarobku wybrały się do RPA, wciąż uchodzącej na Czarnym Lądzie za gospodarczą potęgę. Najmują się, zwykle nielegalnie, do pracy na białych farmach, budowach czy w firmach transportowych jako kierowcy.

Podejmują zresztą każdą pracę. Wiele dziewcząt wyruszało do Południowej Afryki, by zarabiać jako prostytutki. Miejscowi z kolei nie cierpią przybyszów, bo zwykle są lepiej od nich wykwalifikowani (wciąż, choć dobre szkoły tak naprawdę działały do lat 90. XX w., potem upadły wraz z całą gospodarką), a w dodatku gotowi są pracować za pół darmo. Mieszkańcy RPA oskarżają ich, że psują rynek pracy i odbierają im chleb; nierzadko urządzają pogromy cudzoziemców, rabują i palą ich sklepy, kramy i domy.

Poza ludźmi i papierosami przez Limpopo przerzuca się wszelkie możliwe towary, a głównie żywność. Biedacy przekradają się do Musiny, by w tamtejszych sklepach kupić cokolwiek do zjedzenia, bogaci i bardziej przedsiębiorczy – na zakupy hurtowe, które jeszcze tego samego dnia odsprzedają z zyskiem w Zimbabwe (w czasach kryzysu za mąkę kukurydzianą, olej czy cukier trzeba tu płacić więcej niż w RPA). Jedni i drudzy wynajmują południowoafrykańskie półciężarówki (kilkaset dolarów za kurs) i wiozą zakupy nad granicę, nad rzekę, gdzie przerzuca się je na północy brzeg Limpopo. A tam już od rana ustawiają się inne półciężarówki, by odebrać towar i rozwieźć go dalej po kraju. Szefowie przemytniczych gangów wstawiają kontrabandę do sklepów, szaraki sprzedają ją na ulicach, prosto z bagażników.

Zdarza się, że przez rzekę szmugluje się zmarłych na obczyźnie Zimbabweńczyków. Legalne sprowadzenie zwłok pociąga wielkie koszty, więc nieboszczyków ukrywa się pod skrzynkami owoców czy warzyw i tak wiezie do kraju.

...i czasach zarazy

Ze wszystkich krajów kontynentu pandemia COVID-19 najboleśniej dotknęła Południową Afrykę, liczącą 58 mln mieszkańców: do połowy października odnotowano tam ponad 700 tys. zakażeń, a prawie 20 tys. osób zmarło (w Zimbabwe oficjalnie doliczono się ponad 8 tys. zarażonych i 231 zmarłych).

Wspomniany już, wprowadzony w marcu przez władze RPA zakaz sprzedaży papierosów, a także zamknięcie granic kraju stały się dla przemytników znad Limpopo zarówno wyzwaniem, jak też okazją do pomnożenia zysków. W Zimbabwe, odciętym teraz od sklepów w Musinie, natychmiast podrożała żywność, a z kolei w RPA, odciętej od papierosów, poszybowały w niebo ceny tytoniu, także tego szmuglowanego z Zimbabwe.

Aby przeciąć drogi przemytnikom, a także wziąć pod kontrolę ruch ludności w nadgranicznych rejonach, południowoafrykańskie władze za 2 mln dolarów wybudowały w okolicy Musiny graniczny płot, wysoki na prawie dwa metry i długi na ponad 40 km. Miał przegrodzić drogę przemytnikom, a także wirusowi, którego przenosiliby przekradający się przez granicę przekupnie.

Płot stanął w kwietniu, ale już w maju był podziurawiony na całej długości przez przemytników, którzy bez skrupułów i większego wysiłku przecinali siatkę i do woli wędrowali przez granicę jak dawniej. Nie musieli nawet uważać na wojskowe patrole, bo uznawszy, że płot załatwił ↦

↦ wszystko, władze kazały im pilnować granicy gdzie indziej – tam, gdzie granica RPA biegnie lądem, w buszu i sawannie. Dopiero gdy przekonały się, z jaką łatwością przemytnicy pokonują przeszkodę, strażników nie tylko zawrócono, ale wyposażono ich dodatkowo w motocykle.

Uzależnieni od kontrabandy

W sierpniu, z końcem zimy, ku radości południowoafrykańskich palaczy i miejscowych wytwórni papierosów – oraz ku rozpaczy przemytników – rząd RPA zniósł zakaz sprzedaży papierosów. Otwarto też granice, co dodatkowo uderzyło po kieszeniach szefów przemytniczych gangów. Zyski spadły tak bardzo, że kontrabandowej drobnicy w ogóle przestało się opłacać podejmować ryzykowne i kosztowne wyprawy na południowoafrykańską stronę granicy.

Po zniesieniu zakazu południowoafrykańscy palacze rzucili się do sklepów. Kupowali tytoń kartonami, żeby ponownie nie dać się zaskoczyć. Obawiają się, że gdy jesienią (czyli europejską wiosną) epidemia znów zaatakuje, władze ponownie wprowadzą prohibicyjne rygory.

Przemytnicy nie złożyli jednak broni. Pogodzili się z mniejszymi zyskami, ale nie zrezygnowali z papierosowej kontrabandy, a nawet przedstawili klientom własną ofertę, korzystną dla obu stron. Trwająca prawie pół roku tytoniowa prohibicja sprawiła, że palacze musieli przerzucić się na dostawy od nielegalnych zaopatrzeniowców. Kiedy władze zniosły zakaz sprzedaży papierosów, przemytnicy zaoferowali swoim najlepszym, stałym klientom specjalne zniżki na tytoń z kontrabandy i dostawę pod drzwi. Zadanie ułatwiły im działające w Południowej Afryce koncerny tytoniowe, które – żeby odbić sobie straty poniesione podczas prawie półrocznej prohibicji – zaczęły podnosić ceny legalnych papierosów.

Rachując straty spowodowane epidemią, południowoafrykańscy urzędnicy podatkowi narzekają teraz, że wiele wody upłynie w Limpopo, zanim uczciwi palacze przestaną korzystać z usług przemytników.

©℗ ALEXIO RASHIRAI, WOJCIECH JAGIELSKI

Operacja COVID

INGA ROGG Z HAJFY (IZRAEL)

W wielu krajach żołnierze uczestniczą w walce z pandemią, ale nigdzie współpraca armii z instytucjami cywilnymi nie idzie tak daleko jak w Izraelu.

Dryblasowaty, niezgrabny i nieśmiały: Ori Levi nie wygląda na wojownika. – Ale tak normalnie, to jestem żołnierzem – zapewnia 19-letni kapral armii izraelskiej. Ponieważ czasy nie są normalne, Levi nie służy dziś z bronią w ręku, lecz stawia czoło wrogowi, którego nie widać ani nie słychać. „Wojna", którą prowadzi kapral Levi, toczona jest z koronawirusem. Dlatego on oraz jego koleżanki i koledzy z oddziału zamienili karabiny na pomarańczowe kamizelki.

W ten jesienny dzień, jeszcze słoneczny i ciepły, jednostka Lewiego operuje na przedmieściach Hajfy, niespełna 300-tysięcznego portowego miasta nad Morzem Śródziemnym. Jej zadanie to przetestować możliwie jak najwięcej mieszkańców. Przed dzielnicowym domem kultury żołnierze ustawili białe plastikowe krzesła, w odległości co najmniej półtora metra jedno od drugiego, jak należy w dzisiejszych czasach.

Choć drzwi są jeszcze zamknięte, na pobranie wymazu czeka już około dwudziestu osób. Starsza pani, poruszająca się z pomocą chodzika, prosi o pomoc oficera. Dwóch żołnierzy pilnuje przy wejściu, aby nie było tłoku. Żołnierka maluje jeszcze w pośpiechu plakat z instrukcjami. Same testy przeprowadza Magen David Adom (Czerwona Tarcza Dawida – izraelski odpowiednik Czerwonego Krzyża). Wojskowi sanitariusze spisują dane personalne i kontaktowe, następnie osoba testowana ma przejść za zasłonę, gdzie będzie pobrany wymaz. Cała procedura potrwa nie dłużej niż kwadrans.

Na froncie krajowym

Dovev Viess, podpułkownik rezerwy, jest zadowolony. Testy, testy i jeszcze raz testy: tak brzmi jego dewiza. Fachowo tłumaczy, na czym polega współczynnik reprodukcji wirusa i jakie skutki może mieć jego wykładnicze rozprzestrzenianie się dla systemu ochrony zdrowia. W swoim cywilnym życiu Viess jest menedżerem: kieruje pionem infrastruktury i logistyki w koncernie zbrojeniowym. Trzy miesiące temu został powołany z powrotem do czynnej służby i teraz jest zastępcą dowódcy jednostki należącej do Pikud HaOref, która odpowiada za region Hajfy.

Pikud HaOref, Dowództwo Frontu Krajowego, to jedno z czterech regionalnych dowództw w izraelskich siłach zbrojnych. Utworzono je na początku 1992 r., wkrótce po wojnie w Zatoce Perskiej, podczas której iracki dyktator Saddam Husajn ostrzelał Izrael rakietami balistycznymi typu Scud. Powołując Dowództwo Frontu Krajowego skupiono w jednej strukturze służby odpowiedzialne za obronę cywilną i ratownictwo w czasie katastrof, aby w sytuacji kryzysowej można było reagować lepiej i szybciej.

Za granicą Pikud HaOref jest znane głównie z akcji ratunkowych po trzęsieniach ziemi i innych katastrofach naturalnych. Jednak Dovev Viess uważa, że w porównaniu z pandemią tamte akcje były proste. – Tam przychodzisz i widzisz dokładnie, co trzeba robić. Sytuacja nie zmienia się nieustająco, a tak jest w przypadku epidemii – mówi podpułkownik.

„My tylko pomagamy"

Dziś żołnierze wkraczają do akcji wszędzie tam, gdzie instytucje cywilne docierają do granic swojej wydolności: zajmują się ustalaniem łańcuchów zakażeń, pomagają w laboratoriach, prowadzą izolatoria, wykonują pracę edukacyjną, rozdzielają żywność, a jeśli trzeba, pomagają chorym, starszym i przebywającym na kwarantannie, robiąc dla nich zakupy czy wyrzucając śmieci.

W wielu krajach Europy mogłoby to zapewne wywołać kontrowersje – tak wszechstronne, tak daleko idące włączenie armii do zadań cywilnych. Ale nie w Izraelu. Przeciwnie: tu premier

JACK GUEZ / AFP / EAST NEWS

Lekarze wojskowi skierowani do pracy na oddziale covidowym szpitala Rambam Health Care Campus. Hajfa, 11 października 2020 r.

Beniamin Netanjahu był krytykowany za to, że już wcześniej nie sięgnął po wielki rezerwuar i możliwości Dowództwa Frontu Krajowego. Krytycy zarzucali mu, że ociągał się z tym, gdyż nie chciał, by polityczne profity z możliwego sukcesu spłynęły na jego koalicjanta (i zarazem rywala), ministra obrony Benny'ego Gantza.

Niemniej Dovev Viess nie omieszka co chwila podkreślać, że armia pełni tylko rolę służebną, wspierając instytucje cywilne. – To tutejsi obywatele wybrali panią burmistrz Hajfy. My nie jesteśmy tutaj po to, aby ją zastąpić – zaznacza.

Podobnie jak on, wielu oficerów rezerwy powołanych teraz do służby to menedżerowie z doświadczeniem w prywatnych firmach. Okazuje się, że to pomaga. Menedżer wychodzi z podpułkownika Viessa, gdy mówi o „adekwatnych założeniach" operacji. Np. jego żołnierze stwierdzili, że wielu ludzi nie chce poddać się testom, gdyż boją się zakażenia w tłumie oczekujących albo ponieważ droga jest zbyt odległa. Jego jednostka rozwiązała problem, zwiększając liczbę punktów testowania w poszczególnych dzielnicach. Tu nie potrzeba również skierowania od lekarza rodzinnego.

Spod domu kultury idziemy pod galerię handlową w dzielnicy portowej. Rebecca Sasson, żołnierka w stopniu kaprala, rozdaje tu razem z trzema kolegami broszurkę z informacjami o wirusie i zasadach postępowania. Pilnują też, by każdy nosił maseczkę; w Izraelu jest to od wielu miesięcy obowiązkowe. Czy to skuteczne? – Myślę, że tak – mówi Sasson. – Za każdym razem, gdy ludzie nas widzą, przypomina im to, że muszą nosić maskę.

Praca ta nie jest specjalnie ekscytująca. Ale Sasson pociesza się, że to, co robi, jest ważne. – Ludzie stopniowo rozumieją, jak groźny jest ten wirus – mówi młoda Amerykanka, która służbę wojskową w Izraelu odbywa jako ochotniczka (w ramach programu „Samotny Żołnierz" w izraelskiej armii służy co roku wielu obywateli innych krajów).

W galerii handlowej otwarte są też sklepy, które właściwie powinny być zamknięte. Ale, jak mówi Viess, to nie kompetencja jego żołnierzy; wymuszanie respektowania przepisów o lockdownie to sprawa policji. W dzielnicy portowej mieszkają głównie żydowscy imigranci z Rosji i Etiopii, wielu nie ma co do garnka włożyć. – Ale trzymają się zasad. Każdy nosi maseczkę, w sklepach nie ma tłoku, wszystko pod kontrolą – zapewnia Viess. – To jest dokładnie to, co chcemy osiągnąć.

W podziemnym bunkrze

Operacja w Hajfie się opłaciła: udało się tutaj przerwać transmisję wirusa szybciej niż w innych dużych miastach. Mimo to w Rambam Health Care Campus – największym szpitalu w północnym Izraelu – pułkownik doktor Erez Karp przygotowuje się na możliwą trzecią falę pandemii. Niedawno utworzono tu dodatkowy polowy szpital epidemiczny na kilkaset łóżek – w podziemnym bunkrze, który w czasach pokoju służy jako garaż. Doktor Karp, internista i naczelny chirurg północnego dowództwa armii, wzmocnił personel szpitala dodatkowymi lekarzami, pielęgniarkami, sanitariuszami i logistykami, łącznie w liczbie 140 osób.

– Mamy doświadczenie z operacji humanitarnych za granicą – mówi Karp. On sam brał udział w akcji ratowniczej na Haiti, gdy 10 lat temu wyspę zniszczyło trzęsienie ziemi. – Ale to jest pierwszy raz, gdy pracujemy ramię w ramię z naszymi kolegami-cywilami.

Podczas intensywnego kursu lekarze wojskowi musieli uczyć się leczenia ciężko chorych pacjentów z koronawirusem i funkcjonowania w pełnych kombinezonach ochronnych. – Nie jest to łatwe zadanie – mówi Karp. – Ale jesteśmy z tego dumni. A jeśli mamy pytania, nasi koledzy-cywile są obok.

Współpraca z armią układa się dobrze, potwierdza doktor Khatem Hussein, szefowa oddziału epidemicznego dla chorych na COVID-19.

Nagroda dla żołnierza

Aby łóżka w podziemiach Rambam Health Care Campus pozostały jak najdłużej wolne, Dovev Viess i jego żołnierze będą w następnych tygodniach kontynuować swoją misję na powierzchni.

Ori Levi przyznaje, że wcześniej nie przyszło mu na myśl, że jako żołnierz będzie robić zakupy czy wynosić śmieci. – Czasem dzwonią do nas ludzie, bo nie mają nic do jedzenia – mówi młody kapral, który w międzyczasie pozbył się nieśmiałości wobec reporterki. Levi mówi, że takie telefony go przygnębiają. Za to wdzięczność ludzi, gdy przynosi im jedzenie, jest potem najlepszą nagrodą: – Wtedy wiem, że robimy to, co trzeba.

Tymczasem wskaźniki epidemiczne w Izraelu stopniowo opadają. Wraz z nimi spada też gotowość Izraelczyków do poddawania się testom. Aby kraj osiągnął pożądaną liczbę 50 tys. testów dziennie, żołnierki i żołnierze z Dowództwa Frontu Krajowego będą musieli wykonać jeszcze sporą pracę edukacyjną. ©

Przełożył WP

Autorka jest korespondentką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung" na Bliskim Wschodzie, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Pustynny robak wychodzi z cienia

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Rosyjscy hakerzy z zespołu Sandworm to specjaliści od ataków na krytyczną infrastrukturę. Właśnie poznaliśmy ich twarze.

Proroctwa wieszczące zagładę spełniły się 27 czerwca 2017 r. Nagle zamarły fabryki, szpitale przestały przyjmować chorych, a tysiące ciężarówek, należących do giganta spedycyjnego Maersk i wiozących towary do portów, zablokowały miasta, gdyż na miejscu zastały zamknięte bramy. Jakaś niewidzialna zaraza sprawiła, że dziesiątki tysięcy komputerów na całym świecie odmówiły wykonywania poleceń. Padły sieci korporacji i małych klinik od Tasmanii po Kopenhagę. W kilka godzin, jak pożar lasu, fala komputerowej destrukcji obiegła planetę, wyrządzając straty szacowane na 10 mld dolarów.

„To był najszybciej rozchodzący się wirus, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia – mówił potem Craig Williams z firmy Talos (jednej z pierwszych, która przeanalizowała nowe zagrożenie) na łamach pisma „Wired". – Gdy go zauważyłeś, twoje centrum danych już nie istniało".

Wirus ten, znany jako NotPyetya, udawał złośliwe oprogramowanie wymuszające haracz za odblokowanie komputera. Ale tak naprawdę jego celem był chaos i zniszczenie. A jego „odpalenie" mogło być pierwszym tak niszczycielskim i tak totalnym aktem cyberwojny.

Niedawno amerykańscy prokuratorzy wskazali winnych. Departament Sprawiedliwości wystosował akt oskarżenia przeciw sześciu żołnierzom z rosyjskiej jednostki nr 74455, podlegającej wywiadowi wojskowemu GRU. Wymienieni z nazwiska 20-, 30-latkowie, których młode twarze spoglądają ze zdjęć dołączonych do pozwu, mają tworzyć hakerski oddział szturmowy rosyjskiej cyberarmii. Na świecie znany – dzięki używanym w kodzie wirusa terminom z powieści „Diuna" Franka Herberta – jako zespół Sandworm, czyli Czerw Pustynny.

W służbie geopolityki

Amerykanie twierdzą, że ta szóstka odpowiada za serię najbardziej destrukcyjnych cyberataków w historii. „Żaden kraj nie zmilitaryzował swoich cybermożliwości w sposób tak niebezpieczny i nieodpowiedzialny jak Rosja, po wielokroć wywołując bezprecedensowe zniszczenia podczas prób osiągnięcia niewielkich taktycznych zysków czy zaspokojenia złości" – mówił na konferencji zastępca Prokuratora Generalnego USA John Demers.

Cyberuderzenia były zawsze powiązane z geopolitycznymi priorytetami Moskwy. W 2016 r. Sandworm miał współuczestniczyć w – towarzyszących wyborom prezydenckim w USA – atakach na Partię Demokratyczną. Współdziałając z innym hakerskim zespołem GRU, jednostką nr 26165 (na Zachodzie znaną jako Fancy Bear), grupa miała stworzyć fałszywą stronę DCLeaks, z pomocą której publikowano wykradzione maile. W 2018 r. Sandworm wziął na cel firmę informatyczną tworzącą system zarządzający zimową olimpiadą w Korei Południowej, próbując sparaliżować imprezę, na której Międzynarodowy Komitet Olimpijski nie pozwolił Rosjanom startować pod własną flagą (z powodu dopingu). Celem grupy była też kampania wyborcza Emmanuela Macrona w 2017 r. i przygotowania do igrzysk w Tokio.

Specjalnością zespołu Sandworm są jednak uderzenia, które wykraczają ze świata wirtualnego i wyrządzają zniszczenia w świecie fizycznym. Ci hakerzy to specjaliści od ataków na krytyczną infrastrukturę. Jednym z pierwszych zidentyfikowanych celów grupy była polska firma z branży energetycznej (niewymieniona z nazwy w amerykańskich dokumentach). Ale największą skalę przybierały takie ataki wymierzone w Ukrainę. W ciągu ostatnich pięciu lat ich ofiarami padały tamtejsze koleje, urzędy skarbowe, stacje TV, ministerstwa, sieci energetyczne. Dwukrotnie, w odstępie roku, hakerzy wyłączyli prąd na dużych obszarach kraju. Każda kolejna akcja była bardziej zaawansowana, trudniejsza do wykrycia i obrony.

Ukraina jest dla nich celem wygodnym z wielu względów. Każdy udany atak potęguje wrażenie, że Kijów nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa własnym obywatelom. Po drugie, Ukraina jest dobrym poligonem, na którym można na żywo testować destrukcyjne narzędzia. W czasie pokoju hakerzy penetrują krytyczną infrastrukturę przeciwnika i namierzają luki w systemach. W czasie konfliktu kilka kliknięć może sparaliżować gospodarkę czy życie społeczne, wyłączając wodę, prąd, światła uliczne, odłączając telefony służb ratowniczych. Państwo może zostać powalone, zanim padnie choćby jeden strzał.

Oblicza cyberwojny

Rosyjska cyberarmia sięga swoją historią lat 80. XX w. W 1986 r. CIA i policja RFN unieszkodliwiły zachodnioniemiecką grupę hakerów-najemników, która na zlecenie enerdowskiej Stasi próbowała penetrować komputery amerykańskiego wojska, NASA i CIA. To był początek, ale już 10 lat później włamania do sieci wojskowych i uczelnianych stały się plagą. W latach 1996-99 rosyjscy hakerzy mieli wykraść tyle tajnych akt, że po wydrukowaniu tworzyłyby stertę dorównującą 169-metrowemu obeliskowi Waszyngtona. W tym samym czasie Rosjanie zaczęli też pierwsze akcje dezinformacyjne w internecie: rosyjski rezydent wywiadu w Waszyngtonie osobiście rozsyłał z komputera w bibliotece publicznej anonimowe maile zawierające propagandę dotyczącą wojny w Czeczenii.

Początkowo wydawało się, że właśnie tak będzie wyglądać konflikt mocarstw w internecie: szpiegostwo, propaganda, czasem irytujące ataki blokujące dostęp do stron internetowych – jak te, które w 2007 r. dotknęły Estonię, a w 2008 r. Gruzję. To była jednak tylko przygrywka.

WANTED BY THE FBI

GRU HACKERS' DESTRUCTIVE MALWARE AND INTERNATIONAL CYBER ATTACKS

Conspiracy to Commit an Offense Against the United States; False Registration of a Domain Name; Conspiracy to Commit Wire Fraud; Wire Fraud; Intentional Damage to Protected Computers; Aggravated Identity Theft

Yuriy Sergeyevich Andrienko
Sergey Vladimirovich Detistov
Pavel Valeryevich Frolov
Anatoliy Sergeyevich Kovalev
Artem Valeryevich Ochichenko
Petr Nikolayevich Pliskin

REMARKS

On October 15, 2020, a federal grand jury sitting in the Western District of Pennsylvania returned an indictment against six Russian military intelligence officers for their alleged roles in targeting and compromising computer systems worldwide, including those relating to critical infrastructure in Ukraine, a political campaign in France, and the country of Georgia; international victims of the "NotPetya" malware attacks (including critical infrastructure providers); and international victims associated with the 2018 Winter Olympic Games and investigations of nerve agent attacks that have been publicly attributed to the Russian government. The indictment charges the defendants, Yuriy Sergeyevich Andrienko, Sergey Vladimirovich Detistov, Pavel Valeryevich Frolov, Anatoliy Sergeyevich Kovalev, Artem Valeryevich Ochichenko, and Petr Nikolayevich Pliskin, with a computer hacking conspiracy intended to deploy destructive malware and take other disruptive actions, for the strategic benefit of Russia, through unauthorized access to victims' computers. The indictment also charges these defendants with false registration of a domain name, conspiracy to commit wire fraud, wire fraud, intentional damage to protected computers, aggravated identity theft, and aiding and abetting those crimes. The United States District Court for the Western District of Pennsylvania issued a federal arrest warrant for each of these defendants upon the grand jury's return of the indictment.

SHOULD BE CONSIDERED ARMED AND DANGEROUS, AN INTERNATIONAL FLIGHT RISK, AND AN ESCAPE RISK

If you have any information concerning these individuals, please contact your local FBI office, or the nearest American Embassy or Consulate.

www.fbi.gov

FBI

Komunikat Departamentu Sprawiedliwości o ściganiu grupy rosyjskich hakerów, październik 2020 r.

W 2007 r. Mike Assante, badacz z Idaho National Laboratory, pokazał wąskiemu gronu specjalistów rezultaty swego eksperymentu „Aurora". Jego zespół kupił używany 27-tonowy generator. Na oczach wszystkich uruchomił go i wysłał serię komend do sterujących nim bezpieczników. Wystarczyło 140 kilobajtów danych, by machina skonała w męczarniach, wyrzucając obłoki dymu i strzelając częściami. Po raz pierwszy udowodniono, że 21 linijek kodu może wyrządzić bardzo realne zniszczenia.

Wcześniej tylko nieliczni wierzyli, że taki atak jest możliwy. Wkrótce dowiedział się o tym cały świat, bo równolegle, w tym samym laboratorium, prowadzono inny tajny eksperyment: sprawdzano, jak zdalnie zniszczyć urządzenia przemysłowe. Konkretnie: wirówki do wzbogacania uranu. Takie jak te, z których korzystał irański program atomowy.

Stuxnet uderza w Natanz

Był to element przygotowań do operacji „Igrzyska Olimpijskie": wspólnej akcji amerykańsko-izraelskiej, która miała zatrzymać postępy Irańczyków w pracach nad bronią atomową bez konieczności bombardowania ich instalacji. Izraelska hakerska jednostka 8200 i należący do amerykańskiej National Security Agency ofensywny zespół hakerski Tailored Access Operations opracowały nowy rodzaj cyberbroni: wirus Stuxnet. Przemycono go do irańskiego ośrodka nuklearnego Natanz, gdzie odniósł spektakularny sukces: działając tak dyskretnie, że pozostał niewykryty przez co najmniej kilkanaście miesięcy (było to w latach 2009-10), doprowadził do samozniszczenia jednej czwartej z 8700 tamtejszych wirówek.

W ten sposób przekroczono Rubikon. Ktoś, kto jest w stanie kierować zdalnie wirówkami w centrum wzbogacania uranu, może równie dobrze doprowadzić do zniszczenia rafinerii, gazociągów, fabryk, może wyłączyć prąd, wodę czy sygnalizację uliczną. Były dyrektor CIA i NSA Michael Hayden podsumował to potem, mówiąc: „Poczuliśmy zapach sierpnia 1945 r. Ktoś użył nowej broni i nie da się jej już schować z powrotem do pudełka".

I tak jak w przypadku broni jądrowej, inni szybko poszli w ślady Amerykanów. Korea Północna stworzyła hakerską armię wyspecjalizowaną w kradzieżach, zasilających budżet kraju w cenne waluty. Iran nęka przemysł naftowy regionalnych rywali: w 2012 r. za pomocą wirusa zniszczył 35 tys. komputerów saudyjskiego koncernu Aramco.

Odstraszanie i propaganda

Ale najpilniejszymi uczniami okazali się Chińczycy i Rosjanie, którzy, jak się wydaje, szybko dobili do poziomu amerykańskich rywali. Pierwsze ataki, które specjaliści od cyberbezpieczeństwa mogą z dużą dozą pewności przypisać grupie Sandworm, datują się na lata 2009-10. Jest jednak zasadnicza różnica w sposobie prowadzenia cyberwojny przez Rosję i USA. Amerykanie wykorzystują swoich hakerów jako precyzyjne chirurgiczne narzędzie. Nie jest przypadkiem, że poza Stuxnetem nie są znane żadne inne ofensywne operacje CIA czy NSA. Natomiast dla Rosjan działalność grup takich jak Sandworm jest także elementem odstraszania i propagandy.

Odstraszania, gdyż kopiąc leżącego, wyłączając raz za razem różne kluczowe systemy na Ukrainie, wysyła innym rywalom wiadomość: „Wam możemy zrobić to samo". A propagandy, bo celem padają ci, którzy w jakiś sposób narazili się Rosji, jak międzynarodowe organizacje antydopingowe, Organizacja ds. Zakazu Broni Chemicznej czy śledczy badający zatrucia nowiczokiem. Celem jest nie tyle uniemożliwienie im pracy, co publiczne upokorzenie i pokazanie, że nikt nie jest nietykalny. Wbrew hakerskim zwyczajom, tutaj celem jest rozgłos.

OBECNIE SANDWORM, podobnie jak inne państwowe grupy hakerskie z Rosji, Chin, Iranu czy Korei Północnej, dostał nowe zadanie, na miarę niezwykłych czasów. Już w lipcu Amerykanie i Brytyjczycy oskarżyli Rosję o próby kradzieży danych firm opracowujących leki i szczepionki przeciw COVID-19. Miesiąc później Hiszpanie o podobne nieczyste zagrania oskarżyli Chińczyków. Irańczycy zaś mieli próbować pozyskiwać dane ze skrzynek mailowych pracowników WHO.

Najwyraźniej w trudnych czasach hakerzy stali się narzędziem pierwszego wyboru dla zdesperowanych despotów. Także w walce z pandemią. ©

HISTORIA

LUDOWCY NA SZANIEC

75 lat temu PSL Mikołajczyka wychodzi z gorsetu partii chłopskiej, staje się siłą ogólnonarodową i podejmuje walkę o niepodległość. Aż do gorzkiego końca.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Jest 27 czerwca 1945 roku, gdy na warszawskim lotnisku Okęcie ląduje samolot z Berlina. Wychodzi z niego łysawy 44-letni mężczyzna. W krótkim przemówieniu zapowiada budowę suwerennej Polski. W kolejnych dniach Stanisław Mikołajczyk, bo o nim mowa, odwiedzi kolejne miasta. Wszędzie będzie entuzjastycznie witany przez tłumy.

Były premier rządu polskiego (tego legalnego, z siedzibą w Londynie) niemal od razu wyrośnie na bohatera narodowego. To w kierowanym przez niego Polskim Stronnictwie Ludowym – partii legalnej i opozycyjnej wobec komunistów – ludzie masowo pokładają nadzieję na przeciwstawienie się systemowi, który w pojałtańskiej Polsce narzuca Moskwa.

Jak do tego doszło? Zacznijmy od początku.

Mandat do władzy

Ludowcy mają tytuł do walki o rząd dusz, a niedawna historia ich ruchu bardzo utrudnia komunistom zwalczanie PSL – przynajmniej na polu otwartej walki politycznej.

Powstałe jeszcze w 1895 r., Stronnictwo Ludowe jest jedną z najstarszych partii na ziemiach polskich. Zarówno ono, jak też utworzone później inne ugrupowania chłopskie, działają głównie na wsi. Przed 1918 r. ludowcy akcentują sprawę odzyskania niepodległości, potem domagają się reform społecznych i politycznych, opowiadają się za demokracją. Ich przesłanie ideowe – agraryzm – podkreśla znaczenie warstwy chłopskiej.

Ludowcy zapisują bogatą kartę w walce o Niepodległą. Ich liderzy, na czele z Wincentym Witosem (przywódcą PSL „Piast"), budują fundamenty polityczne, społeczne i gospodarcze II Rzeczypospolitej. Po przewrocie majowym 1926 r. ruch ludowy, szykanowany przez sanację, zaczyna się integrować. W 1931 r. PSL „Piast", PSL „Wyzwolenie" i Stronnictwo Chłopskie tworzą Stronnictwo Ludowe (SL). Do wybuchu II wojny światowej jest ono największą siłą opozycyjną w kraju.

Po 1939 r. na bazie SL powstaje konspiracyjne SL „Roch", które współtworzy Polskie Państwo Podziemne. Jego siła zbrojna – Bataliony Chłopskie, liczące prawie 160 tys. zaprzysiężonych żołnierzy – są drugą co do wielkości organizacją zbrojną w okupowanym kraju po Armii Krajowej (z którą scalają się w 1944 r.).

Politycy SL zasiadają też w rządach na emigracji. To właśnie ich lider Stanisław Mikołajczyk jest premierem od lipca 1943 do listopada 1944 r. Przy poparciu aliantów, zwłaszcza Brytyjczyków, szuka dialogu ze Związkiem Sowieckim w sprawie polskiej i jest gotowy na kompromisy. Dopiero po roku, w październiku 1944 r., poznaje decyzje konferencji w Teheranie; dotyczą m.in. przesunięcia granic. Mikołajczyk uznaje decyzję Stalina, Churchilla i Roosevelta. Napotyka jednak sprzeciw większości własnego rządu, co zmusza go do dymisji.

Alianci składają interes Polski na ołtarzu swoich relacji ze Stalinem. Na konferencji w Jałcie w lutym 1945 r. Wielka Trójka arbitralnie decyduje o utracie Kresów i utworzeniu nowego rządu dla Polski – pod nazwą Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (TRJN) – poprzez poszerzenie o polityków emigracyjnych tzw. Rządu Tymczasowego (uzurpatorskiego, bo mianowanego odgórnie przez Stalina, a nazywanego „lubelskim").

Warunek jest taki, że w Polsce odbędą się wolne wybory.

Polskie Stronnictwo Leśne

Powstanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej zostaje przypieczętowane na konferencji w Moskwie w czerwcu 1945 r. – z udziałem przedstawicieli rządu „lubelskiego" i działaczy emigracyjnych z Mikołajczykiem na czele. Ten nowy gabinet ma działać do wyborów. Władze RP w Londynie nie uznają tego planu, ale z ich głosem nikt z ważnych już się nie liczy. Zwolennicy porozumienia wierzą, że alianci zapewnią wolność głosowania, a TRJN odbierze komunistom monopol. Mikołajczyk zgadza się wejść do tego rządu, jako wicepremier i minister rolnictwa.

Lider ludowców wraca więc do kraju – i staje się ikoną nadziei na wolną Polskę. Ma atuty: stoją za nim alianci (przynajmniej deklaratywnie) i popiera go znakomita część społeczeństwa, Kościół, a także część zbrojnego podziemia. Wprawdzie Mikołajczyk unika jak ognia łączenia PSL-u z tym ostatnim, zwłaszcza z Narodowymi Siłami Zbrojnymi, ale w praktyce, w terenie, współpraca ludowców z podziemiem rozwija się jako coś naturalnego. W roku 1945 i 1946 wśród partyzantów częste jest przekonanie, że gdy ludowcy wygrają wybory, wyjdą z lasu i staną się siłą zbrojną wolnej Polski.

Przywódca komunistów Władysław Gomułka rozwija skrót PSL jako „Polskie Stronnictwo Leśne". Nienawidzi ludowców – z wzajemnością.

Milion członków

W lipcu 1945 r. działacze chłopscy postanawiają ujawnić swoje podziemne struktury polityczne – i powołują Tymczasowy Komitet Wykonawczy SL na czele z Witosem. Mierzą się z komunistami i wspieranym przez nich tzw. lubelskim SL (do 1949 r. komuniści sprzyjają też innym grupom rozbijackim: PSL „Nowe Wyzwolenie" i PSL-Lewica). W sierpniu Stronnictwo Ludowe wydaje komunikat o reaktywowaniu jawnej działalności. Odrzuca pokusę współpracy ze swoim prokomunistycznym imiennikiem. Aby uniknąć nieporozumień w nazewnictwie, powołuje do życia PSL. Formalnie rządzi nim Witos (do śmierci w październiku 1945 r.), a *de facto* Mikołajczyk.

Stronnictwo wyrasta na najsilniejszą jawną strukturę opozycyjną: w apogeum działalności liczy około miliona członków (po wojennych stratach Polska ma wtedy blisko 24 mln mieszkańców, z czego 16 mln żyje na wsi). PSL ma rozbudowaną siatkę terenową, pisma, organizację młodzieżową. Jest zagrożeniem dla komunistów, którzy podejmując z nim walkę, szczególnie bezlitosną w terenie, w kolejnych miesiącach zamordują co najmniej 140 ludowców – działaczy legalnego ugrupowania.

Kongres PSL w Warszawie, w styczniu 1946 r., to manifestacja siły niepodległościowego nurtu ruchu ludowego. Wybiera Mikołajczyka na prezesa Naczelnego Komitetu Wykonawczego i przyjmuje program oparty na agraryzmie. O losie państwa – demokratycznej Polski Ludowej z obowiązującą przejściowo konstytucją z 1921 r. – mają decydować szerokie warstwy społeczne. Ludowcy negują komunizm i krytykują dyktaturę monopartii. Za sojuszników uznają mocarstwa zachodnie i Związek Sowiecki. Ale trwałość aliansu z Moskwą uzależniają od „uczciwego rozwiązania sporów z przeszłości". Zgodnie z tradycją przedwojennego ruchu ludowego deklarują przywiązanie do katolicyzmu, lecz krytykują klerykalizm. ↦

3 maja 1946 r. w wielu miejscach w Polsce odbyły się demonstracje zwolenników PSL. Na zdjęciu: wiec w Szczecinku na Pomorzu Zachodnim.

KRZYSZTOF CHOJNACKI / EAST NEWS

Warszawa na ludowo

↦ Formalnie chłopskie, PSL staje się partią ponadklasową: swoimi wpływami obejmuje też miasta, które wcześniej nie były domeną ludowców. Dobrze widać to na przykładzie stolicy.

Warszawa staje się najsilniejszym miejskim bastionem PSL; swoją siedzibę mają tu także jego władze naczelne i wojewódzkie (przy Al. Jerozolimskich 85). Na czele Zarządu Stołecznego stoi Stefan Korboński, który podczas okupacji pełnił funkcję Delegata Rządu na Kraj (tj. najważniejszego przedstawiciela rządu emigracyjnego). Ludowcy dzielą miasto na powiaty grodzkie (zwane też dzielnicami), w których działa kilkadziesiąt kół terenowych i zakładowych (te ostatnie wynikają z miejskiej specyfiki). W chwili największego rozkwitu, w połowie 1946 r., PSL liczy tu 5 tys. członków (akurat w stolicy komunistyczna PPR ma ich dużo więcej, ale w skali całego kraju – kilka razy mniej niż PSL).

Choć Zarząd Stołeczny odżegnuje się od „elementów skrajnych" i boi się prowokacji, PSL staje się tu zapleczem dla kontestatorów komunizmu. W 1947 r. Urząd Bezpieczeństwa będzie wskazywać „na szczególne zaśmiecenie [język oryginalny – red.] warszawskiej organizacji Polskiego Stronnictwa Ludowego elementami reakcyjnymi, związanymi z podziemiem, wykorzystującymi przywileje legalnego stronnictwa dla wrogiej państwu roboty". Według UB w stolicy ma być zaledwie 5 proc. „oryginalnych ludowców".

Redaktor „Gazety Ludowej" (organu prasowego PSL) Zygmunt Augustyński zanotuje: „Inteligenci, mieszczanie, rzemieślnicy, kupcy i robotnicy zgłaszali się na członków PSL, widząc w nim stronnictwo społecznie umiarkowane, politycznie trzeźwe, patriotyczne, dalekie od marksizmu i komunistycznych eksperymentów. Toteż po miastach, także i w Warszawie, powstawały koła PSL".

Chłopi z Marszałkowskiej

Stołeczni działacze PSL są świadomi, w jakich warunkach funkcjonują. Spotkania kół mają nieraz charakter półjawny i są zwoływane np. pod pozorem zebrań dla rodziców w szkołach. Działacze z Pragi-Południa spotykają się w podziemiach kościoła, aż po najściu UB księża odmówią im użyczania sali z obawy przed re-

KEYSTONE / HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGESS

Stanisław Mikołajczyk na statku SS „Queen Elizabeth", Southampton, 23 czerwca 1948 r.

presjami. A te obejmują aresztowania, przesłuchania, rewizje.

Mimo wszystko stołeczne PSL działa. Kładzie nacisk na pracę wychowawczo-ideową. Prowadzi szkolenia, propaguje czytelnictwo. Ludzie PSL zasiadają w instytucjach stolicy, odbudowują miasto. Jedna z pierwszych takich akcji ma miejsce we wrześniu 1945 r. Gdy rok później członkowie stołecznego PSL i chłopi odgruzowują wspólnie stolicę, spontanicznie dołączają do nich mieszkańcy. To wszystko nie w smak komunistom, którzy warszawskich działaczy PSL określają mianem „chłopów z Marszałkowskiej".

Do najaktywniejszych należą struktury PSL w Śródmieściu, na Pradze-Południe i Pradze-Północ. Prężnie działa np. Koło Michałów, które w kwietniu 1946 r. tworzy były akowiec Henryk Małowidzki: większość członków tego koła to jego niedawni podkomendni. Aresztowany przez UB, Małowidzki zezna potem, że „byli członkowie AK wstąpili do PSL na skutek mojego przykładu, na skutek utrzymywania stosunków towarzyskich, a również na skutek niezadowolenia ze złego traktowania byłych członków AK [przez władze]".

Ludzie z „Michałowa" podejmują działania kontestujące system, np. uroczystości upamiętniające powstanie warszawskie. Wśród byłych akowców i członków PSL zbierają pieniądze, książki i odzież dla dzieci ze wsi Wiersze, gdzie w 1944 r. stacjonował ich akowski batalion.

Zderzenie z rzeczywistością

Referendum z 30 czerwca 1946 i wybory do Sejmu z 19 stycznia 1947 r. to cezura w historii PSL, także w Warszawie.

W tym pierwszym Polacy odpowiadają kolejno na pytania o zniesienie Senatu, reformę rolną i prawa do ziem poniemieckich. PSL zaleca głosować „nie" na pierwsze z nich – nie dlatego, aby ludowcy byli szczególnie przywiązani do instytucji Senatu, lecz aby odróżnić się od komunistów, którzy traktują referendum jako narzędzie do legitymizacji swej władzy.

Także w stolicy ludowcy organizują grupy, które mają kontrolować przebieg referendum. Ale nie są w stanie zapobiec fałszerstwom – i sami narażają się na terror. Tylko w Warszawie UB aresztuje 43 ludowców. Mimo wszystko PSL udaje się ustalić, że w stolicy oddano na pierwsze pytanie więcej głosów na „nie" niż na „tak" – co stoi w sprzeczności z danymi oficjalnymi. To zresztą tendencja ogólnopolska.

Fakt, że komunistom udało się sfałszować referendum, osłabia morale działaczy PSL. Zaczynają tracić wiarę w uczciwy przebieg wyborów do Sejmu – i w konsekwencji w zwycięstwo. Represje UB i PPR potęgują takie nastroje. Ponieważ jednak styczniowe głosowanie to dla ludowców być albo nie być, podejmują ostatni wysiłek. Również Zarząd Stołeczny wzywa do udziału w kampanii na rzecz wyboru listy PSL nr 4. Na fundusz wyborczy wpływają „cegiełki". Sympatyzującą z PSL młodzież wzywa się, aby była w pogotowiu, bo czeka ją „ciężka praca".

Styczniowy cios

Coraz powszechniejsze jest jednak przekonanie, że także wybory „będą zrobione", czyli sfałszowane. Z obawy przed represjami na zebrania stołecznych kół przychodzi mniej niż połowa członków. Liderzy próbują zapobiegać defetyzmowi, za którym – jak sądzą – stoi UB i jego agentura. Dziś wiemy, że stołeczne struktury PSL inwigilowało co najmniej 73 konfidentów.

Kampania wyborcza ludowców w stolicy nie jest efektywna. Podczas spotkania w styczniu 1947 r., tuż przed wyborami, Korboński oswaja zwolenników PSL z możliwością przegranej. „Na zebraniu panował nastrój przygnębiony. Nieliczni podtrzymywali ducha" – notuje UB.

Próby ożywienia kampanii torpeduje UB i PPR. Przykładowo, uzbrojone bojówki biją i rozpędzają ludowców, którzy 31 grudnia 1946 r. rozlepiają plakaty. Dzięki agenturze bezpieka poznaje szczegóły akcji PSL zaplanowanej

na 12 stycznia 1947 r. i zapewnia „spokój na ulicach". „Nieznani sprawcy" kradną ludowcom materiały wyborcze i rozbijają ich zebrania. Niepokój generują tzw. komitety obywatelskie, które zbierają od warszawiaków deklaracje jawnego głosowania na prokomunistyczny Blok Stronnictw Demokratycznych. Zdarza się, że podpisują je zwolennicy PSL – zastraszeni lub niewierzący już w zwycięstwo. Dochodzi do napaści na lokale ludowców. Wywiera się na nich presję, by występowali z partii i zamykali koła. W okresie wyborczym UB aresztuje w Warszawie 27 działaczy PSL. W dniu głosowania mężom zaufania ze Stronnictwa uniemożliwia się pracę.

Podobnie jak w całym kraju, także w stolicy komuniści fałszują wybory. Ludzie PSL ustalają, że 87 proc. głosów w Warszawie pada na ich partię. To oznacza, że powinni otrzymać w Sejmie osiem-dziewięć miejsc. Dostają dwa.

Podcięte skrzydła

Po wyborach konfident o pseudonimie „Pracowity" donosi UB: „Obecnie życie w PSL zupełnie zamarło. Wszyscy chodzą jak struci. Widocznym jest, że jeżeli ze strony PSL nie będzie bardziej pokrzepiającej propagandy, to działalność i wiara w PSL upadnie zupełnie".

Tak się dzieje. Po ciosie, jakim było sfałszowanie wyborów – i brak reakcji aliantów – następuje dekompozycja struktur i odpływ ludzi z PSL. W szeregi wkrada się panika. Regres pogłębia powstanie wiosną 1947 r. frondy w Stronnictwie, pod postacią PSL-Lewicy.

Mimo to jeszcze w połowie tego roku stołeczne struktury liczą 2,3 tys. członków i wypadają najlepiej na tle innych miejskich organizacji PSL (druga po niej co do wielkości organizacja w Łodzi ma 800 członków). Kierownictwo partii próbuje jeszcze reanimować stołeczne PSL, chce wznowić aktywność kół po wakacjach. Bez powodzenia: zniechęcenie jest powszechne. Kryzys w mikołajczykowskim ruchu ludowym pogłębiają represje. Silne wrażenie robi krakowski proces członków Zrzeszenia WiN i PSL z sierpnia-września 1947 r.

Postępujący proces niszczenia agrarystów w Bułgarii i na Węgrzech to memento dla PSL. W październiku ucieczka z kraju na Zachód zagrożonego aresztowaniem Mikołajczyka i związanych z nim działaczy (m.in. Korbońskiego) podcina ludowcom skrzydła.

Wydarzenie to właściwie zamyka niezależną aktywność Stronnictwa. Także w Warszawie: prokomunistyczne PSL-Lewica powołuje tu jedno tylko Koło Grodzkie. Mają do niego trafić ludowcy aktywni w polityce przed wojną lub podczas niej, którzy – po weryfikacji – chcą działać w „odrodzonym", jak mówią władze, PSL. W sumie będzie ich zaledwie dwustu.

Ostatni etap

Po ucieczce Mikołajczyka nastroje niepewności i zastraszenia w warszawskim PSL potęgują aresztowania. Trwa masowy odpływ ludzi z partii. Przejmowany jest jej majątek. Siedziba w Al. Jerozolimskich zostaje zajęta siłą – heroicznie broni jej kilkudziesięciu młodych ludowców z Pragi-Północ i Żoliborza. Zostają aresztowani.

Potem jest już „posprzątane". W czerwcu 1948 r. zarząd organizacji stołecznej PSL formalnie nawiązuje kontakt z prokomunistycznym SL. Droga do unifikacji obu partii – już pod kontrolą komunistów – jest otwarta. W strukturach stołecznych nadal działają przeciwnicy systemu, ale to ich łabędzi śpiew. Na zebraniu 1 czerwca 1949 r. pada deklaracja, że PSL idzie w sojuszu z komunistami z PZPR (utworzonej przez przymusowe połączenie PPR z Polską Partią Socjalistyczną), „krocząc jasną drogą marksizmu-leninizmu do socjalizmu". Ostatecznie w listopadzie tego roku powstaje Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. W tym samym miesiącu specjalna komisja niszczy akta PSL, uznane za zbędne dla działalności ZSL. Przy okazji usuwa też materiały interesujące bezpiekę.

Jawna opozycja w postaci niezależnego ruchu ludowego ponosi w pojałtańskiej Polsce klęskę. To samo dotyczy również innej wolnościowej alternatywy, czyli zbrojnej konspiracji.

Pytanie, który wybór był wtedy „bardziej właściwy", chyba musi pozostać nierozstrzygnięte.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor jest historykiem, pracownikiem IPN w Warszawie. Autor szeregu książek o dziejach PRL. W tym roku ukazały się dwie jego monografie: „Antymilenium" oraz „Za klasztorną furtą". Stale współpracuje z „TP".

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

Polacy i Niemcy: protokół historycznych rozbieżności

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNERZY:

W listopadzie minie 55 lat od pamiętnego listu biskupów polskich do niemieckich, a w grudniu 50 lat od pokutnego gestu kanclerza Brandta w Warszawie. Chcemy potraktować te rocznice jako punkt wyjścia do dyskusji o wciąż otwartych między Polakami i Niemcami sprawach historycznych. To rzecz aktualna: kilka dni temu Bundestag podjął decyzję o zbudowaniu w Berlinie pomnika polskich ofiar II wojny światowej – dopiero teraz.

W dodatku:

- Dieter Bingen: jakie miejsce zajmuje Polska w niemieckiej kulturze pamięci i dlaczego w Berlinie potrzebny jest pomnik Polaków
- Łukasz Grajewski i Nancy Waldmann: czy relacje polsko-niemieckie wciąż mają charakter postkolonialny?
- Anna Przybyll: punkty sporne w dyskusji historycznej obu narodów
- Gerhard Gnauck: Ostpolitik kiedyś i dziś
- Wojciech Pięciak: czy niemiecko-izraelska współpraca wojskowa może być wzorem dla Berlina i Warszawy?

„Tygodnik" z dodatkiem w kioskach od środy 18 listopada

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

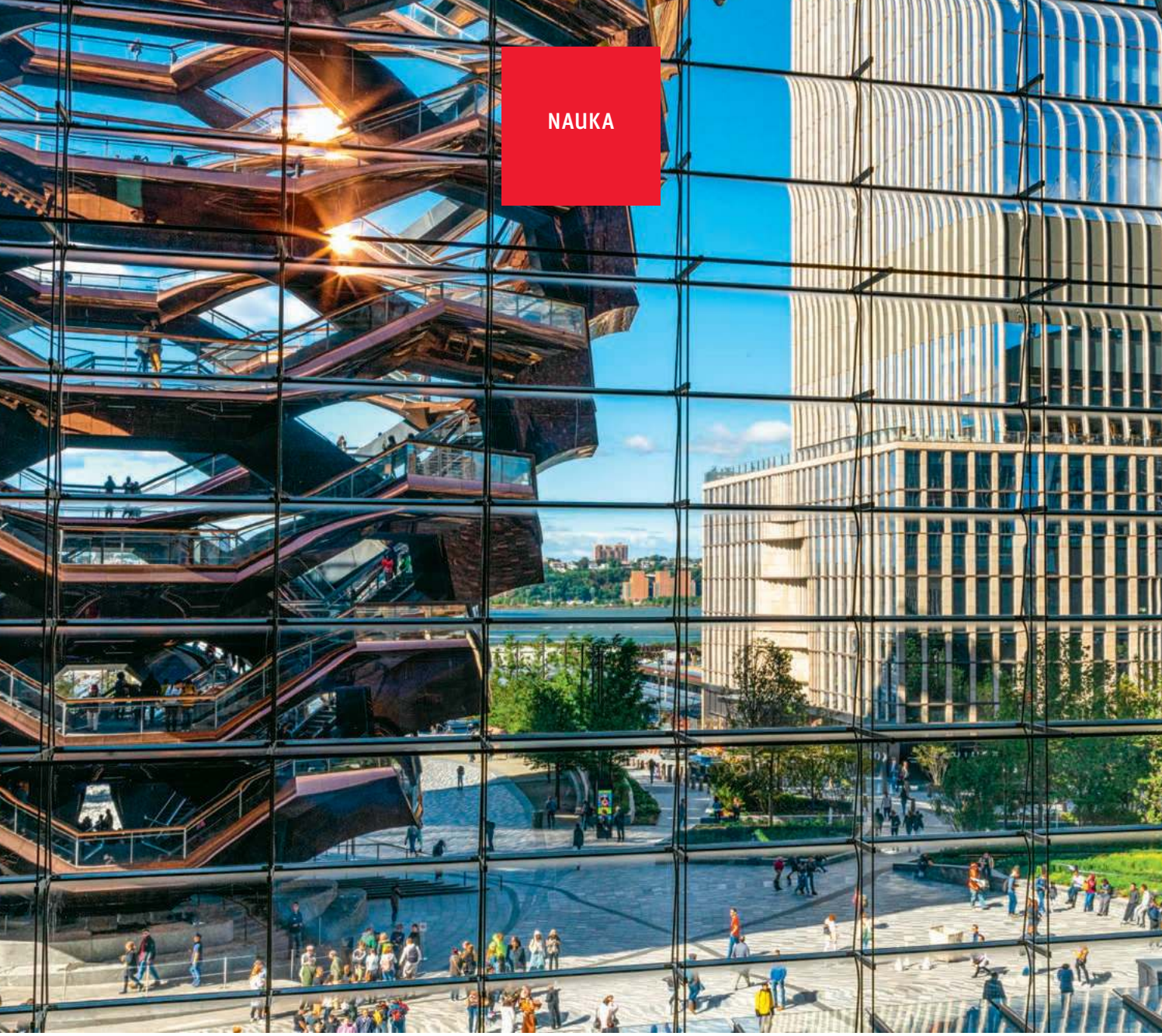

Kompleks biurowców Hudson Yards w Nowym Jorku, październik 2019 r.

WIRUS WISI W POWIETRZU

LIDIA MORAWSKA, FIZYCZKA ATMOSFERY:

Wiele miejsc użyteczności publicznej jest – od strony jakości powietrza – pomyślanych bezsensownie. Okna się nie otwierają, wentylacja tylko sztuczna i często nieefektywna. To sprzyja roznoszeniu się chorób.

C. TAYLOR CROTHERS / GETTY IMAGES

PIOTR STANKIEWICZ: Nagrodę Nobla dostali w tym roku Penrose, Genzel i Ghez. To co, w 2021 r. Lidia Morawska za walkę z koronawirusem? Bywa Pani wymieniana jako kandydatka.

LIDIA MORAWSKA: Ja na Nobla z fizyki na pewno nie zasługuję, bo – choć uważam, że zrobiłam wiele – to nie mam na koncie konkretnego odkrycia, które by się na Nobla nadawało. Natomiast faktycznie pojawiły się głosy, choć pewnie nie do końca poważne, że te nasze sprawy koronawirusowe zasługują na nominację do Pokojowej Nagrody Nobla. I tu oczywiście nie chodzi o mnie samą, tylko o całą naszą grupę.

Jeżeli pojawi się taka nominacja, to jest ona istotna o tyle, że Nobel popycha sprawy do przodu. Uświadamia ludziom, że temat wymieniany w jego kontekście jest autentycznie ważny.

Wgryźmy się w ten kontekst od podstaw. Co ma fizyk do powiedzenia o koronawirusie?

Od prawie dwudziestu lat zajmuję się naukowo analizą, dynamiką i propagacją drobin, które unoszą się w powietrzu i mogą zawierać czynniki chorobotwórcze. To jest fizyka: pyły, aerozole – jakie te drobiny są, jak się zachowują. A przenoszenie się koronawirusa w ten sposób jest kluczowe. Więc z chwilą wybuchu obecnej pandemii telefony zaczęły się urywać. Zresztą wie pan, że niełatwo się było ze mną umówić – bywa, że dostaję, bez żadnej przesady, dwieście maili jednego dnia.

To prawda.

Idźmy po kolei. Jestem dyrektorem International Laboratory for Air Quality and Health, które mieści się na uniwersytecie w Brisbane (Queensland University of Technology). Zajmujemy się tam masą rzeczy związanych z tematyką jakości powietrza, pyłów zawieszonych, cząstek ultramałych w powietrzu, tworzenia się aerozoli i ich zachowania. Jest to – bez fałszywej skromności – jedno z najważniejszych laboratoriów na świecie, które się tym zajmują.

W temacie przenoszenia się chorób siedzę tak naprawdę od 2003 r., czyli od epidemii SARS. Byłam wtedy zaproszona do zespołu, który miał zbadać ognisko SARS na osiedlu Amoy Gardens w Hongkongu. Jedna osoba chora odwiedziła tam brata na jedną noc, w wyniku czego zarażonych zostało aż 300 osób. Epidemiolodzy nie byli w stanie tego wytłumaczyć, bo między tymi wszystkimi ludźmi nie było bezpośrednich kontaktów. Więc WHO zaczęło kompletować zespół specjalistów od aerozoli, żeby to zbadać.

Z tych akurat badań nic nie wyszło, bo to ognisko przestało być aktywne, ale zaczęłam wchodzić w temat i zobaczyłam, że jest zaskakująco słabo opracowany naukowo. A jest ogromnie ważny dla ludzkości, bo choroby i infekcje układu oddechowego krążą przecież non stop: grypy, katary, wszystko. Tym się na ogół nie zarażamy na zewnątrz, tam gdzie jest naturalny przewiew i wszystkie cząstki w miarę szybko się rozpraszają, tylko w zamkniętych pomieszczeniach. I nagle się okazało, że jest tu mnóstwo do zbadania. Złożyliśmy więc podania o granty i zrobiliśmy badania, które teraz uchodzą za klasyczne.

Chodzi o badania nad tym, jakie dokładnie kropelki i drobiny człowiek wyrzuca w powietrze przy oddechu, i jak się one w powietrzu zachowują?

Tak. Natomiast problem polega na tym, że zwykłą grypą nikt się nie przejmuje w sensie politycznym i jeżeli nie ma pandemii koronawirusa, to trudno się w ogóle z tym tematem przebić. Spójrzmy na to w ten sposób: czy kiedykolwiek przed 2020 r. zastanawialiśmy się, jaka jest jakość powietrza w pomieszczeniach, w których się znajdujemy? Jak to powietrze jest tam dostarczane, czy i jaka jest wentylacja?

Na moich zajęciach toczy się co roku mała bitwa między studentami, czy otworzyć okno i siedzieć w zimnie i hałasie z Krakowskiego Przedmieścia, czy nie otwierać i siedzieć w zaduchu. To chyba tyle. W tym roku nawet tej bitwy nie będzie, bo zajęcia są zdalne.

No właśnie. A jakość powietrza, którym oddychamy, jest fundamentalnie ważna. I kwestia otwierania okien jest tutaj istotna. W Polsce to byłoby oczywiście trudne, bo taki klimat, ale tutaj, w Australii, moglibyśmy przecież siedzieć przy otwartych oknach właściwie cały rok. Ale, niestety, tak się nie dzieje. Ludzkość poszła w inną stronę. Nawet w moim gabinecie uchyla się tylko jedno małe okienko i to tylko dlatego, że to stary budynek. W wielu nowych wieżowcach czy hotelach okien nie da się otworzyć w ogóle. Polegamy tylko na klimatyzacji i sami sobie odbieramy możliwość wentylacji naturalnej.

Nawet w terminologii widać, że to zaniedbana tematyka. Gdy słyszymy o „projektowaniu wnętrz", myślimy o wystroju, estetyce i innym feng shui, a chodzi przecież o rzecz znacznie bardziej elementarną: o to, jak w ogóle pomieszczenia mieszkalne i użytkowe powinny być pomyślane.

To było zawsze dość ignorowane i dopiero obecna pandemia wydobyła te sprawy na wierzch. Problem jest trudny, bo jeżeli chcielibyśmy mieć budynki, ↦

↦ które mogłyby funkcjonować w oparciu o wentylację naturalną, to trzeba by je od początku tak projektować. To oznacza też koszty. A często jest tak, że pieniądze na budowę budynku płyną z jednej kieszeni, na jego eksploatację z innej, nie mówiąc już o tym, że zupełnie kto inny zapłaci w przyszłości za leczenie ludzi, którzy tam mieszkają czy pracują. I w perspektywie dekad trudno to skalkulować.

Czy to znaczy, że aby pozbyć się koronawirusa, mamy przeprojektować wszystkie budynki świata?

To istotny czynnik: wiele miejsc użyteczności publicznej jest – od strony jakości powietrza – pomyślanych dość bezsensownie. Okna się nie otwierają, wentylacja tylko sztuczna i często nieefektywna. To sprzyja roznoszeniu się chorób. Ale zmiana zajmie dziesięciolecia. W perspektywie walki z wirusem tu i teraz są inne środki, które można i należy natychmiastowo stosować. I często kosztują tyle, co nic.

Na przykład?

Często wystarczy otworzyć drzwi i okna, zrobić przeciąg po prostu, żeby jakość powietrza się ogromnie poprawiła. W ogóle o wietrzeniu pomieszczeń bardzo często zapominamy i rzadko się o tym mówi w związku z koronawirusem. A to jest bardzo ważne. Nie należy też tworzyć tłumu i ścisku, szczególnie w zamkniętych pomieszczeniach. Powinniśmy stosować oczyszczacze powierza. I oczywiście nie zapominać o maseczkach.

Koronawirus przenosi się w cząstkach, przeciwko którym zwykła maseczka stanowi ochronę. Nawet jeśli nie przylega idealnie. Grunt, żeby zakrywała w całości nos i usta.

Maseczki działają?

Oczywiście! Generalnie maseczki, które wszyscy dziś nosimy, mają mniejszą skuteczność dopiero przeciwko najmniejszym pyłom i zanieczyszczeniom – tym, które powstają np. w wyniku spalania. Tam, gdzie mówimy o rozmiarach tak małych i masie drobin tak niewielkiej, że przemieszczą się one z każdym prądem powietrza. Więc jeżeli maseczka nie przylega idealnie, to pyły trafią przez tę szczelinę.

Ale koronawirus przenosi się w cząstkach nieco większych, przeciwko którym zwykła maseczka stanowi już ochronę. Nawet jeśli nie przylega absolutnie idealnie. Grunt, żeby zakrywała w całości nos i usta.

Może to dobry moment, żeby trochę uporządkować: w przypadku koronawirusa wszystkie obostrzenia, o których ciągle słyszymy, mają zablokować kontakt z zakażonymi powierzchniami (stąd dezynfekcja wszystkiego i wezwania do mycia rąk) i drogą kropelkową (skąd maseczki i zachowywanie dystansu społecznego).

Tak. Droga kropelkowa, ściśle rzecz biorąc, dotyczy tych największych kropelek, które widać nawet gołym okiem, kiedy ktoś kicha albo po prostu mówi. One są największe, więc najszybciej opadają, stąd idea, że trzeba zachowywać dystans – jeśli stoję tak daleko, że kropelki nie dolecą (więcej niż 1,5–2 m), to już wystarczy. Natomiast to, czego w tych obostrzeniach ciągle na ogół brakuje, to przenoszenie się wirusa już nie w kropelkach, tylko przez aerozol, a więc w cząstkach tak drobnych, że nie opadają, tylko mogą unosić się w powietrzu na odległość metrów czy wręcz dziesiątków metrów. I na to właśnie staramy się zwrócić uwagę.

My, czyli kto?

Opowiem po kolei. Mieszkam w Australii, co roku jestem kilka razy w Europie – ostatni raz byłam tu w styczniu i wybierałam się stąd na narty do Japonii. I właśnie w drodze powrotnej, na lotnisku we Frankfurcie, dostałam mail od kolegi z Chin. Był sfrustrowany faktem, iż żadne chińskie regulacje nie biorą pod uwagę, że koronawirus może się tak dobrze przenosić przez powietrze. Powiedział mi, że coś trzeba z tym zrobić, napisać coś na ten temat. Odpowiedziałam, że bardzo chętnie, ale dopiero jak wrócę, bo teraz lecę na narty. Odpisał po trzech minutach, że to musi być teraz. Że to jest tak ważne. Więc poprosiłam, by przysłał, co ma, i że będę pracowała w samolocie. I z Dubaju mu odesłałam.

Tak powstał nasz tekst „Airborne transmission of SARS-CoV-2: The world should face the reality" („Przenoszenie się SARS-CoV-2 przez powietrze. Świat powinien spojrzeć prawdzie w oczy"). 10 kwietnia ukazał się on w „Environment International" i przez długi czas był najczęściej pobieranym tekstem ze strony tego czasopisma.

A potem napisaliście list otwarty do WHO.

Zastanawialiśmy się już w większej grupie, jak to ugryźć. Mieliśmy poczucie, że zagrożenie związane z przenoszeniem wirusa przez powietrze jest ciągle zanie-

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy,
że 24 października 2020 r., w wieku 85 lat zmarł

Ś.† P.

Piotr Zalewski

profesor, dwukrotny rektor Akademii Rolniczej.

Msza św. żałobna odprawiona zostanie 12 listopada 2020 r. o godz. 12.20
w kaplicy na cmentarzu Rakowickim w Krakowie,
po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłego do grobu rodzinnego.

Żona i dzieci z rodzinami

dbywane. I wiedzieliśmy, że kluczowa będzie opinia WHO. Ale jak się do nich przebić? Można było napisać zwykły list, ale wtedy mógłby zostać zignorowany. Można było pójść z tym do mediów, ale wtedy WHO odebrałoby to jako atak na siebie. Rozważaliśmy puszczenie artykułu do „New York Timesa", ale wtedy lekarze mogliby mieć opory przed podpisaniem się. Dużo było strategicznych podchodów.

Mówiąc krótko, nawet naukowcom światowej klasy nie jest łatwo zabrać głos tak, by zostać usłyszanym.

Ten list otwarty, podpisany przez ponad dwustu specjalistów, poszedł ostatecznie na początku lipca („It is time to address airborne transmission of coronavirus disease 2019" – „Czas skonfrontować się z tym, że COVID-19 roznosi się przez powietrze"). Zaadresowaliśmy go *urbi et orbi*, a konkretnie „do krajowych i międzynarodowych ciał decyzyjnych". A WHO wymieniliśmy na samym początku. Na tym etapie media zorientowały się już, że coś się dzieje, i gdy list się ukazał, miały w zasadzie gotowe artykuły na ten temat. W ten sposób udało się jakoś przebić z tematem.

I czy coś się zmieniło? Od razu powiem, że w Polsce niespecjalnie.

W Australii też akurat niewiele, bo żyjemy tu trochę jak w średniowieczu. Rząd nie przyjmuje faktów do wiadomości, podobnie jak choćby w sprawie transformacji energetycznej. Myślenie rządu australijskiego jest takie, że skoro mamy dużo węgla, to trzeba z niego korzystać. Z koronawirusem nie jest lepiej.

Natomiast patrząc globalnie, to owszem, ta wiedza stała się p owszechniejsza, choć wciąż jest to jeden krok naprzód, a potem jeden wstecz. Na przykład amerykański CDC (Centers for Disease Control and Prevention – Centra Kontroli i Prewencji Chorób) opublikował pewnego dnia nowe wytyczne, że przenoszenie się wirusa na aerozolach jest kluczowe... ale następnego dnia je zdjął.

Skąd bierze się ten opór?

W jakieś mierze stąd, że wynikałaby stąd konieczność znacznie głębszych zmian niż tylko maseczki, lockdowny i mycie rąk. Najłatwiej i najtaniej jest po prostu nie przyjmować do wiadomości.

ANTHONY WEATE / ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. LIDIA MORAWSKA pracuje na Queensland University of Technology w Brisbane w Australii. Specjalizuje się w fizyce atmosfery, bada rozprzestrzenianie się różnych cząstek, m.in. czynników chorobotwórczych, w powietrzu. Konsultantka Światowej Organizacji Zdrowia. Autorka lub współautorka ok. 900 publikacji naukowych, cytowanych łącznie ponad 87 tys. razy.

I jest jeszcze kwestia metodologii. WHO najbardziej by chciała zobaczyć wyniki oparte na randomizowanych, kontrolowanych badaniach klinicznych. Ale tego nie da się przecież w tym przypadku zrobić, bo to oznaczałoby, że trzeba zdrowych ludzi zarażać koronawirusem i badać, jak się on rozprzestrzenia. Ogniska koronawirusa badamy tylko wstecznie. Staramy się *post factum* dociec, kto od kogo się zaraził i jak ten wirus się przeniósł. A dane wsteczne są zawsze niekompletne, zawsze czegoś brakuje, nawet elementarnych rzeczy, kto się z kim widział i tak dalej. Trzeba też pamiętać, że bardzo dużo jest przypadków bezobjawowych, więc części ludzi w ogóle nie da się włączyć w model rozprzestrzeniania się wirusa, bo oni nawet nie wiedzą, że go mieli. Mówimy tu więc o składaniu w całość różnego typu danych. Wiemy, że ten wirus jest wykrywany w powietrzu, wiemy, że przenosi się nawet tam, gdzie ludzie ograniczają bezpośrednie kontakty. I wzięte razem dane dają naprawdę mocny przekaz – że tak, koronawirus przenosi się przez powietrze na odległości znacznie większe niż półtora metra.

Kiedy opowiada Pani o Waszych próbach zainteresowania decydentów tą sprawą, mam wrażenie, jakby mówiła Pani o przebijaniu się przez mur z waty. A chyba nie tak to powinno wyglądać, kiedy naukowiec chce dotrzeć do władz z ważną informacją. Jak zatem powinno być? W jednym z Waszych artykułów jest mowa, że „politycy powinni podejmować decyzje na podstawie najnowszych danych naukowych". Brzmi dobrze. Ale jak do tego doprowadzić?

W idealnym społeczeństwie władza powinna być otwarta na – używając dużego słowa – prawdę. Władza polityczna powinna mieć ciała doradcze, które składają się z naukowców z różnych dziedzin, przedstawiających dane i dowody. I oczywiście, z jednej strony jest nauka, ale z drugiej strony jest rzeczywistość społeczna i wiadomo, że nie da się wszystkiego naraz zmienić. Jest więc kwestia wyboru priorytetów. I dlatego – w idealnej sytuacji – politycy i naukowcy powinni pracować razem. Powinno być tak, że kładziemy na stół wszystkie opcje, zagrożenia i możliwości, jakie mamy, a następnie staramy się zdecydować, co jest najważniejsze na ten moment i dalej, jak to wdrożyć. Tylko że nigdzie na świecie tak nie jest...

Oczywiście.

Każdy rząd na świecie jest poddany wpływom i naciskom z wielu stron. I nauka wcale nie jest najważniejszym czynnikiem. Skrajnym przykładem są oczywiście Stany Zjednoczone, gdzie dzisiaj władza po prostu nie przyjmuje doniesień naukowych do wiadomości. Mówiliśmy o Polsce czy Australii – te kraje są przykładem działania lobby węglowego, którego wpływ jest tak silny, że władza nie jest w stanie się zdecydować na transformację energetyczną. Priorytetem dla każdego rządu jest przecież wygrać następne wybory, więc podjęcie jakichkolwiek niepopularnych decyzji zawsze jest bardzo trudne.

Natomiast ja jestem z natury optymistką. Ludzkość niejeden kryzys już przetrwała. Odporność społeczeństw czy systemów politycznych na wiedzę naukową też nie jest problemem wyłącznie naszego pokolenia. Podobnie albo jeszcze gorzej było za czasów Kopernika czy Galileusza. Ale ostatecznie wiedza naukowa zawsze sobie torowała drogę. Ufam, że tak będzie i tym razem.

© Rozmawiał PIOTR STANKIEWICZ

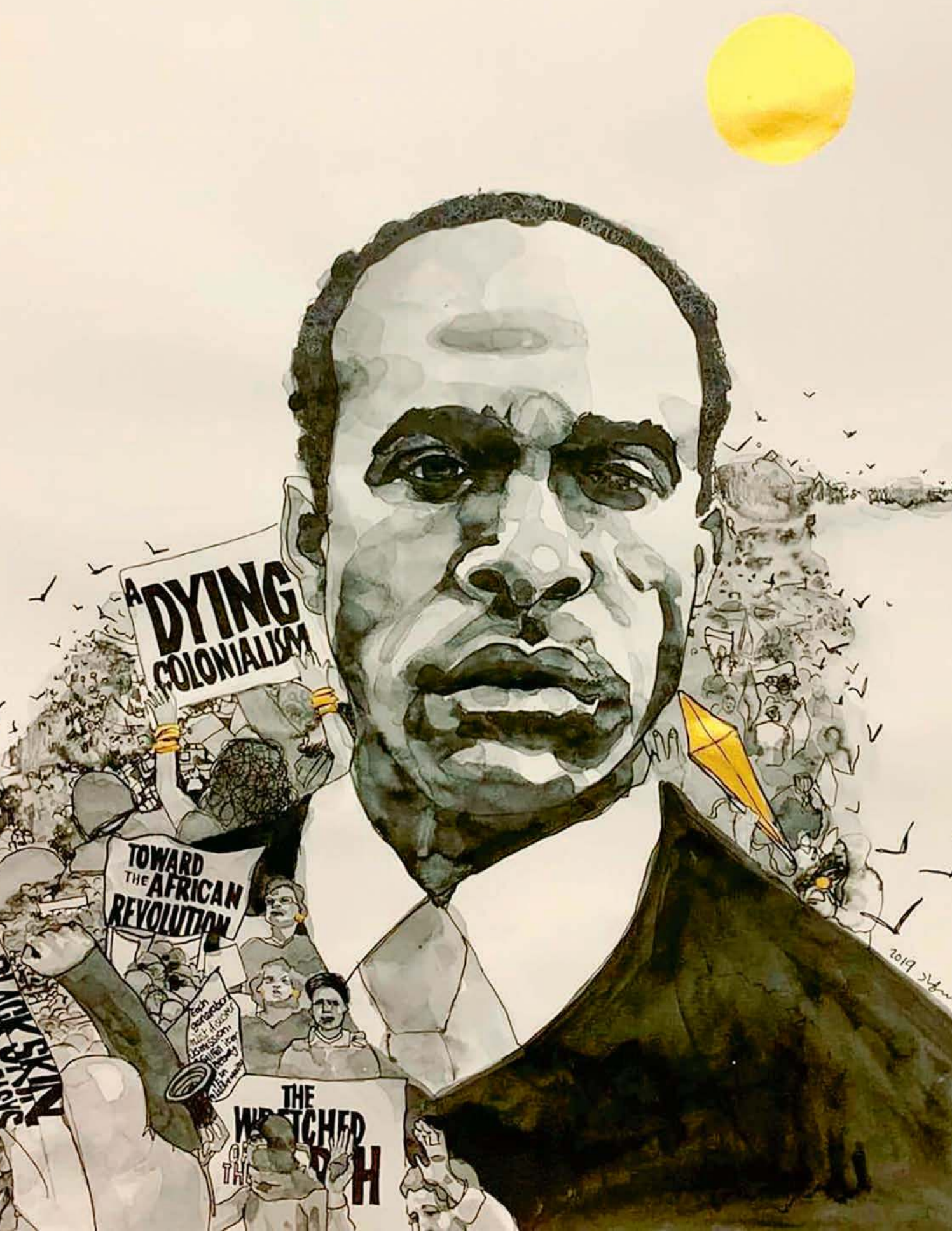
A DYING COLONIALISM
TOWARD THE AFRICAN REVOLUTION
THE WRETCHED OF THE EARTH
2019

KULTURA

LUDZIE WYKLĘCI

Ponad pół wieku na półce z literaturą walczącą czekało puste miejsce. Oto książka pisana z żarliwością, która do dziś parzy.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Nie, nie wyprowadził ludzi na ulice. Jednak dzieło „Czarna skóra, białe maski" Frantza Fanona, opublikowane w 1952 r., drążyło skałę i stało się tekstem formacyjnym dla pokolenia, które własnymi rękoma wykuwało świat bez kolonii, oraz dla następnej generacji, która demaskowała fasadowość dekolonizacji. Takiej żarliwości, z jaką Fanon, młody psychiatra, stara się wyciąć ze skóry piętno rasy, wielu nigdy nie doświadczy, a nawet ci, których poniesie imperatyw buntu, nie ocalą tej gorączki na długie lata. Ten żar albo się wystudza, albo przeradza w skoncentrowany na własnych celach radykalizm. Ta druga ścieżka stała się wyborem Frantza Fanona w ostatniej dekadzie jego życia.

Rodzi się w Fort-de-France na Martynice w 1925 r. Imię Frantz zawdzięcza matce, o alzackich korzeniach. Jego mieszczańska rodzina jest mu w stanie zapewnić edukację na wysokim poziomie, łącznie ze studiami medycznymi w Lyonie, ale jeszcze jego dziadek był niewolnikiem. Fanon ma szczęście do nauczycieli, w antylskim liceum uczy go wybitny przedstawiciel ruchu négritude, poeta Aimé Césaire, na studiach uczęszcza na wykłady fenomenologa Maurice'a Merleau-Ponty'ego.

Jego debiut, choć oddaje swoim mistrzom hołd, stanowi bezkompromisową polemikę i z ruchem négritude, i z zachodnią myślą fenomenologiczną. „Czarna skóra, białe maski" to portret rewolucjonisty z czasów młodości. Z jednej strony Fanon odkrywa zasłonę obłudy, która spowija cały jego świat. Z drugiej – czuje, że jeszcze wszystko może się wydarzyć. Później już „nigdy nie będzie takiego lata", takiego upału w głowie. To ma być praca doktorska z psychologii, ale nie zostaje dopuszczona do obrony. Pozbawiona klarownej metody i akademickiego reżimu słowa, bardziej przypomina poezję, która używa metafory, by obalić mit, który ją zrodził. Fanon zanim stanie się rewolucjonistą, jest filozofem języka.

Suhad Khatib „Frantz Fanon", akwarela, 2019 r.

SUHAD KHATIB / WWW.SUHADKHATIB.COM

Język miłości

Rozpoczyna od uderzenia czytelników obuchem w głowę: „Choćbym miał narazić się na oburzenie moich kolorowych braci, powiem, że Czarny nie jest człowiekiem".

Czasy niewolnictwa się skończyły, ale czarni, zawieszeni między piekłem przeszłości i niebem obietnic składanych im bez pokrycia, są skazani na biały los. Wieczne aspirowanie, nieustanną mimikrę, a w najlepszym przypadku na egzystencję kameleona. W momencie, kiedy czytelnicy spodziewają się peanów na cześć prawdziwej czarnej tożsamości, która ma zastąpić udawanie białych, Fanon znowu zaskakuje. Chce „uwolnić kolorowego człowieka od niego samego", a wielbicieli czarnej skóry od negrofilii, która jest dla niego tylko inną formą rasizmu. W swoim debiucie młody lekarz jest wyjątkowo hojny, zwraca się z propozycją terapii nie tylko do Antylczyków i innych rdzennych mieszkańców zamorskich kolonii Francji, ale także do kolonizatorów: „Naprawdę chcę skłonić mojego brata – czarnego czy białego – by energicznym ruchem zrzucił z siebie żałosny kostium stworzony przez wieki niezrozumienia".

Język odgrywa tutaj rolę podwójnego agenta. Choć Fanon wie, że kod językowy będzie zawsze należeć do białych, czarnym zostaje zadanie napełnienia go własnym sensem. Innym niż ten wynikający z fałszywej alternatywy „wybielić się lub zniknąć".

„Gdy w szkole zdarza się [Antylczykowi] czytać w białych książkach historie o dzikusach, myśli zawsze o Senegalczykach. Jako uczeń mogłem godzinami dyskutować o rzekomych zwyczajach senegalskich dzikich. (...) Subiektywnie, intelektualnie Antylczyk zachowuje się jak Biały. A przecież jest Murzynem. Zauważy to dopiero w Europie i będzie wiedział, że gdy mówi się o Murzynach, chodzi zarówno o niego, jak i o Senegalczyków". Fanonowi chodzi więc o wynalezienie nowej metafizyki, która zakwestionuje figurę dzikusa, nie zastępując jej żadną odwrotnością ani karykaturą wzajemnej czarno-białej tolerancji.

Czy zniewalającą mowę kultury można zwalczyć niemym językiem miłości cielesnej? Nie, Fanon tu też nie pozostawia złudzeń. W rozdziałach zatytułowanych „Kolorowa kobieta a Biały" oraz „Kolorowy mężczyzna a Biała" pokazuje, że w warunkach społecznych, jakie zna zarówno z Martyniki, jak i z Francji, autentyczna miłość między osobami o różnym kolorze skóry jest niemożliwa.

Z zapalczywością cytuje obszerne fragmenty wydanej w 1948 r. powieści Mayotte Capécii „Je suis martiniquaise" ↦

↦ („Jestem Martynikanką"), która opowiada nieszczęśliwe dzieje romansu ciemnoskórej bohaterki z białym mężczyzną. Dla Fanona narracja pisarki jest tylko emanacją poddańczej fascynacji i uległości, jaką czarne kobiety mają wobec kolonizatorów, uważając za dar tę mikrą namiastkę uczucia, którym byłyby darzone, gdyby miały jasny kolor skóry.

Nie daje także nadziei czarnemu na szczęście z białą, przekonując, że każdy z partnerów wchodzi w taki związek, opierając się na fałszywych przesłankach. Dla Antylczyka seks z białą kobietą, nawet płatny, jest inicjacją w „prawdziwą męskość". Dla Francuzki to realizacja podświadomego pragnienia, by zgwałcił ją Murzyn, czyli to prymitywne, seksualne monstrum, którego obrazami karmi ją kultura. Fanon wytacza przeciwko mieszanym związkom artylerię psychoanalizy, by udowodnić niemożliwość takiej miłości, która u mężczyzn ujawnia neurotyzm, a u kobiet zaburzone libido.

Szczerze powiedziawszy, w „Czarnej skórze, białych maskach" zestarzały się najmocniej fragmenty psychoanalityczne o kobiecej seksualności; z dzisiejszej perspektywy są po prostu mizogynicznie. Trzeba jednak oddać Fanonowi, że czynnie wspierał sprawę kobiet. W tomie „Algieria zrzuca zasłonę" (pol. wyd. 1962) wiele miejsca poświęca roli kobiet w walce wyzwoleńczej i ma nadzieję, że to im dekolonizacja przyniesie największe korzyści. Sam z kolei, na przekór tezom, które głosił, ożenił się z Francuzką, studentką sztuk wyzwolonych, Josie Dublé. Dzielił z nią, pierwszą czytelniczką i recenzentką jego tekstów, antykolonialną misję. Kontynuowała ją po jego śmierci jako dziennikarka algierskiej prasy. W 1988 r. popełniła samobójstwo.

Kim jest Tarzan?

Jako wytrawny polemista Fanon dużo wysiłku wkłada w spory z innymi intelektualistami, którzy podnoszą kwestię kolonialną. Z Octave'em Mannonim, autorem „Prospera i Kalibana. Psychologii kolonizacji" spiera się o to, czy rasizm można stopniować i usprawiedliwiać ekonomiczną i polityczną sytuacją tych, którzy czarnych nienawidzą. Dla Mannoniego rasizm ma odmienny ciężar zależnie od okoliczności, dla Fanona „utopią jest dociekanie, czym różni się jedno nieludzkie postępowanie od innego nieludzkiego postępowania". Idąc za głosem Karla Jaspersa z eseju „Problem winy", Fanon przypisuje sobie metafizyczną odpowiedzialność za to, że gdziekolwiek na świecie linczuje się czarnych, a on o tym wie i nadal żyje, wciąż oddycha tym samym powietrzem co oprawcy.

O takiej winie pisał Aimé Césaire, ubóstwiany nauczyciel Fanona, który w książce kilkakrotnie cytuje fragmenty jego poematu „Powrót do rodzinnego kraju". Stają się one jego nieoficjalnym mottem: „moja murzynność [tak polski tłumacz oddaje neologizm „*négritude*" – red.] to nie jest kamień nastający głucho na wołanie dnia / moja murzynność to nie jest wody śniętej katarakta na martwym oku ziemi / moja murzynność to nie wieża ani też katedra // ona się wdrąża w czerwone ciało ziemi / ona się wdrąża w żarliwe ciało nieba / dziurawi nieprzejrzysty ciężar swojej prawej cierpliwości" (przeł. Zbigniew Stolarek).

Jednak, inaczej niż Césaire, Fanon uważa, że zatracenie się w murzyńskości po to, by ją odzyskać dla świata, może być tylko jednym z etapów wyzwolenia czarnych, a nie celem samym w sobie. Nakaz, by czarni zrzucili białe maski, też jest przemocą, bo maski stały się cząstką ich tożsamości i umysłowości. Ale biała maska nie może stać się trucizną i mieczem, dzięki którym czarny „bezustannie zwalcza swój obraz".

Jeśli Césaire jest dla Fanona twarzą rodzinnej Martyniki, Francja, do której się przyznaje, ma oblicze Jeana-Paula Sartre'a. Pod wpływem jego „Rozważań o kwestii żydowskiej" kreśli analogię między losem Żydów i skolonizowanych ludów Afryki. Kiedy Sartre pisze o Żydach, że „pozwolili się zatruć przez wyobrażenie, jakie o nich mają inni, i żyją w strachu, aby ich czyny nie upodobniły się przypadkiem do tego wyobrażenia", oddaje doświadczenie Antylczyków. A jednak istnieje nieprzekraczalna różnica między Żydem a czarnym.

„Żyda nie lubi się od chwili, w której zostanie zdemaskowany. Lecz w moim przypadku wszystko nabiera nowego wyrazu. Nie jest mi dana żadna szansa. Jestem zewnętrznie zdeterminowany. Nie jestem niewolnikiem »idei«, jaką inni mają o mnie, lecz mojego wyglądu" – twierdzi Fanon i dodaje, że o ile dla antysemity Żyd jest zagrożeniem intelektualnym, to dla rasisty czarny oznacza widmo „podboju genitalnego". Tu autor „Czarnej skóry..." się myli, nie doceniając albo nie znając skali rasistowskiego prześladowania Żydów za „zły wygląd" i rzekomo wybujały seks.

Fanon dziękuje Sartre'owi, ale ma też do niego pretensje. „[W] każdej epoce okoliczności historyczne stwarzają sytuacje, które nie mogą być wyrażone ani przekroczone inaczej niż poprzez Poezję, i wyłaniają jakiś naród, rasę lub klasę, aby przejęła pochodnię" – przekonuje Sartre w przedmowie do tomu poezji z francuskich kolonii zatytułowanego „Czarny Orfeusz". Dla Fanona takie stawianie sprawy jest zdradą. „Jean-Paul Sartre zniszczył w swoim eseju czarny entuzjazm – grzmi. – Gęstość Historii nie determinuje żadnego z moich czynów. Jestem swoim własnym fundamentem".

Wątpiącym w to, że biała i czarna dialektyka nie idą w parze, zaleca seans filmu o Tarzanie w kinie antylskim i europejskim: „Na Antylach czarne dziecko utożsamia się *de facto* z Tarzanem, przeciwko Murzynom. W sali kinowej w Europie sprawa jest bardziej skomplikowana, gdyż biali widzowie automatycznie stawiają Tarzana po stronie filmowych dzikich (...) nie można być czarnym bezkarnie". Dopóki czarny będzie nienawidził zarówno koloru swojej skóry, jak i białego spojrzenia, dopóki nie będzie potrafił „wznieść się ponad ten absurdalny dramat" i odmawiać wybierania między hipokryzją bieli a piekłem czerni, dopóty nie będzie wolnym człowiekiem.

Niech zdycha Europa

„Ja chętnie dałbym się zatopić, porwać przez białą falę złożoną z ludzi takich jak Sartre czy Aragon, niczego innego sobie nie życzę" – pisze w „Czarnej skórze...". Kilka lat później wyprze się wielu tez swojego poruszającego debiutu.

Tuż po studiach pracuje w szpitalu psychiatrycznym w Normandii, gdzie naraża się tym, że nie traktuje pacjentów

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

jak więźniów. Niewygodnego reformatora pozbyto się, awansując go na dyrektora szpitala w algierskiej Blidzie. Tam związuje się z Frontem Wyzwolenia Narodowego. Czarę goryczy przelewa bitwa o Philippeville w 1955 r. między siłami Francji i algierskiej Narodowej Armii Wyzwoleńczej, zakończona masowymi mordami ludności muzułmańskiej z rąk *pied-noirs*, na które nie reagują francuscy żołnierze. Fanon zrywa z Francją i staje się *persona non grata* w Algierii, którą uznaje za nową ojczyznę. Misję polityczną kontynuuje w Tunisie, a w 1960 r. jako przedstawiciel tymczasowego rządu Algierii w Ghanie. Tam dowiaduje się, że ma białaczkę.

W gorączkowo pisanym w chorobie „Wyklętym ludzie ziemi" (pol. wyd. 1985) dokonuje rozliczenia z samym sobą sprzed dekady. Odrzuca to, co postulował w „Czarnej skórze...", twierdząc, że szukanie trzeciej drogi w uniwersalności ludzkiego bytu jest zamykaniem oczu na to, co realne. Jego zdaniem autorzy z kolonii przechodzą trzy fazy twórcze. Pierwszy etap to pilne i pełne zachwytu uczenie się kultury metropolii i próba pisania o kolonii wedle cudzych miar. Druga faza to odwoływanie się przez pisarza do wspomnień, aby opowiedzieć historię własnego świata językiem lokalnego doświadczenia, pozbawionym zapożyczeń. Ten język okazuje się ubogi w wyrazie i płaski w diagnozie, jaką stawia. Dlatego w trzecim kroku „intelektualista po próbie zagubienia się w ludzie, po próbie zginięcia wraz z ludem zaczyna się budzić do walki. Zamiast czuwać nad jego letargiem, zaczyna nim potrząsać. Powstaje literatura walki, narodowa literatura rewolucyjna".

W 1952 r. Fanon zamyka etap pierwszy i wchodzi w drugi. W 1961 r. jest już w fazie trzeciej i ostatnimi siłami próbuje stworzyć metodyczny program radykalnej dekolonizacji. Nie chodzi o zbratanie się dawnych panów i niewolników, ale o pełne samostanowienie Afryki, rozliczającej się z Europą bez sentymentów i bez znieczulenia. Ludzi skolonizowanych ma zastąpić lud nowy i nieoglądający się za siebie. Środkiem uświęconym przez ten cel będzie przemoc będąca wyrazem wolności walczących.

Psychiatra Fanon wie, że kult przemocy to pułapka zbiorowego myślenia, ale innej drogi dekolonizacji nie widzi. Oto jego dialektyka, jego odczytanie Hegla i Marksa. „Jedynie zorganizowana przemoc. Przemoc stosowana świadomie (...), pozwoli rozszyfrować otaczającą rzeczywistość społeczną i da do niej klucz. Bez tak pojętej walki, bez w pełni uświadomionego działania cały ruch jest tylko karnawałowym zrywem, zwykłą namiastką" – nawołuje.

> Obraz przemocy nie jest u Fanona jednoznaczny, lecz szalenie sugestywny. Upraszczając: **przemoc jest najgorszą formą walki o wolność,** nie licząc wszystkich innych.

W przeciwieństwie do „Czarnej skóry..." tym razem Fanon ostentacyjnie nie zwraca się do metropolii. „Europa może sobie zdechnąć albo nie, to go nie obchodzi. Dlatego ta książka jest potworna – zauważa Sartre w przedmowie. – Fanon niczego Wam nie »opowiada«; jego dzieło – palące dla innych – dla Was jest lodowate; o Was mówi się w nim często, do Was – nigdy. Skończyły się czarne Goncourty i żółte Noble".

Jedynym ustępstwem Fanona na rzecz Europy jest właśnie to, że sam prosi Sartre'a o napisanie tej przedmowy. Spotkają się kilkakrotnie w 1961 r. we Włoszech. Antylczyk o swojej sprawie może rozmawiać bez końca. „Kiedy ściskałam jego rozpaloną od gorączki dłoń, miałam wrażenie, że czuję w ręku ten żar wewnętrzny, który go spalał. Ten żar się udzielał; kiedy się było z nim razem, życie wydawało się tragiczną, często potworną, ale niewypowiedzianie cenną przygodą" – wspomina towarzysząca Sartre'owi w tych spotkaniach Simone de Beauvoir.

Ostatni raz widzą się przed odlotem Fanona na leczenie w Ameryce. Jest tak wycieńczony chorobą, że nic nie mówi. Ostatnie dni spędza w szpitalu pod Waszyngtonem z żoną i sześcioletnim synem, przerażonym transfuzjami krwi, jakim jest poddawany jego ojciec. Umiera wśród białych, majacząc o torturach, które mu zadają, w grudniu 1961 r. Ma trzydzieści sześć lat. Osiem miesięcy po jego śmierci Algieria ogłosi niepodległość.

Przemoc i niemoc

„Dzieło Fanona wpisuje się wprost w trzy spośród najważniejszych debat i sporów XX wieku – debatę o gatunkach ludzkich (rasizm); o podziale świata i warunkach globalnej dominacji (imperializm i prawo narodów do samostanowienia) i o statusie maszyny i przyszłości wojny (nasz stosunek do destrukcji i śmierci)" – pisze Achille Mbembe w „Polityce wrogości". Patrząc na nagłówki dzisiejszych gazet, donoszących o zabójstwach Michaela Browna, George'a Floyda, Breonny Taylor, i mając w pamięci to, jak Europa rozegrała kryzys migracyjny, trudno nie zamyślić się nad trafnością gorzkich sądów Fanona. Jednakże jego recepty od początku rodziły opór.

Hannah Arendt odrzucała jego „nieodpowiedzialne i pretensjonalne zdania" o twórczej sile przemocy. Niepokoił Martina Luthera Kinga. Z kolei dla Edwarda Saida był wzorem nowego typu intelektualisty, który walcząc o lokalną sprawę, nie zapomina o tym, by lekcję z niej wyciągnął cały świat, także ci, którzy dziś będąc ofiarami, jutro mogą stać się katami. I rzeczywiście obraz przemocy nie jest u Fanona jednoznaczny, lecz szalenie sugestywny. Upraszczając: przemoc jest najgorszą formą walki o wolność, nie licząc wszystkich innych.

Trudno tę myśl obronić, uważa Roman Chymkowski w niedawno wydanych „Nietożsamościach", wyłuskując zbieżności między tezami Fanona a dyskursem Osamy bin Ladena i przywódców ISIS, uzasadniających terror. „Wyklęty lud ziemi" broni się dzięki warstwie psychoanalitycznej, ale o tej więcej i głębiej pisze Fanon w „Czarnej skórze...". Dlatego warto do tej książki wracać, bo to na niej można dziś jeszcze coś zbudować, nawet jeśli miałyby to być jedynie szklane domy.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Frantz Fanon
CZARNA SKÓRA, BIAŁE MASKI
przeł. Urszula Kropiwiec, Karakter, Kraków 2020

MATERIAŁY PRASOWE

Sacha Baron Cohen w „Kolejnym filmie o Boracie", reż. Jason Woliner, USA, 2020 r.

Borat miał brata

ŁUKASZ MUNIOWSKI

Abbie Hoffman chciał wrzucać LSD do wodociągów, żeby obudzić Amerykanów. Sacha Baron Cohen chwyta się innych sposobów, ale chodzi mu o to samo.

W POPRZEDNIM MIESIĄCU ODBYŁY SIĘ premiery dwóch filmów z Sachą Baronem Cohenem w roli głównej: „Proces Siódemki z Chicago" (na Netfliksie) oraz „Kolejny film o Boracie" (na Amazon Prime). W pierwszym z nich aktor wciela się w Abbiego Hoffmana, legendę amerykańskiej kontrkultury, w drugim zaś gra dziennikarza z Kazachstanu, uosabiającego wszelkie amerykańskie stereotypy o przybyszu ze Wschodu. Obydwa filmy zapewniają kontekst niezbędny do zrozumienia, o co właściwie Cohenowi chodzi.

Nie taki głupi

Abbie Hoffman nazwał moment, w którym został skazany na pięć lat więzienia, najwspanialszą chwilą swojego życia. Wypowiedział te słowa zaraz po tym, jak dobiegł końca pokazowy proces kontrkulturowych działaczy złączonych jedynie nienawiścią do rządu. Konwencja Partii Demokratycznej w Chicago w 1968 r. stała się tłem, na którym manifestowali swój sprzeciw wobec udziału USA w konflikcie w Wietnamie. Przewodniczący Partii Czarnych Panter Bobby Seale, pacyfista Tom Hayden czy Jerry Rubin i właśnie Hoffman, założyciele Youth International Party, której członkowie znani byli jako *yippies*, zasiedli wspólnie na ławie oskarżonych, chociaż część z nich nigdy ze sobą nie rozmawiała. Według władzy to właśnie oni podżegali do zamieszek w mieście.

Jeden z najważniejszych procesów w historii współczesnej Ameryki przypomniany jest właśnie w najnowszym obrazie Aarona Sorkina. W „Procesie Siódemki z Chicago" doskonale widać, jak amerykański system sprawiedliwości kompromitował się, z każdym aktem instytucjonalnej przemocy wobec oskarżonych podważając swoją wiarygodność. Tego obrotu spraw spodziewali się Rubin i Hoffman, znani już wówczas krytycy władzy, którzy podczas owej konwencji zaprezentowali własnego kandydata na prezydenta – żywą świnkę, Pigasusa. Zwierzaka aresztowano wraz z organizatorami happeningu. Wiedząc, że ich proces ma niewiele wspólnego ze sprawiedliwością, również na sali sądowej Rubin i Hoffman wciąż uciekali się do żartów. Hoffman posyłał całusy zebranemu na sali tłumowi, do sędziego zwracał się po imieniu, a raz nawet zadeklarował, że chce zmienić imię na Fuck, które w połączeniu z jego nazwiskiem stało się niezbyt dyskretną inwektywą wobec sędziego, noszącego to samo nazwisko co oskarżony.

Nieprzypadkowo w dramacie sądowym Sorkina w Hoffmana wciela się Sacha Baron Cohen, znany przecież z kwestionowania społecznych norm i wywlekania na wierzch najgorszych cech oraz najbardziej wstydliwych uprzedzeń Zachodu. Zakładając różne przebrania i udając ignorantów, Cohen stawiał się w roli prowokatora, celowo spotykając się z osobami o poglądach, które dana postać będzie mogła kontestować. Niczym ikony dziennikarstwa uczestniczącego, Norman Mailer czy Hunter S. Thompson, Cohen rzuca się w wir wydarzeń, z tym że ukrywa swoją tożsamość, przywdziewając maskę nieszkodliwego idioty.

Prawdziwych Cohena i Hoffmana łączy humor i niesamowita pewność siebie. Podobnie jak Hoffman, Cohen postrzega świat jako wielki teatr absurdu i tak jak on, dzięki inteligencji i błyskotliwości, wchodzi z nim w interakcje stawiając siebie w roli błazna. Pozornie ma być obiektem szydery, ale w rzeczywistości staje się jej inicjatorem i katalizatorem.

Gdzie jednak prawdziwy Hoffman polegał na prasie jako medium przekazującym jego najróżniejsze wybryki, Cohen pozwala widzom swoich programów telewizyjnych i filmów doświadczyć ich na własne oczy. Oczywiście uprzednio zary-

sowuje cel tych żartów, przedstawiając przerysowane do granic możliwości postacie, w jakie się wciela, ale już sam ich rezultat wymaga oceny ze strony widza.

Teatr absurdu

Tak było już w *magnum opus* aktora, filmie „Borat" z 2006 r. Oto historia o dziennikarzu z Kazachstanu wyruszającym do USA, by poznać tamtejsze zwyczaje składa się z półfikcyjnych i bardzo realnych sytuacji, w jakich stworzona przez Cohena postać co rusz podważa kruche podstawy cywilizowanego *decorum*. Kazachstan jest bardziej stanem umysłu niż miejscem, w którym widz musi jakoś sobie umiejscowić Borata. To kraj pozbawiony dostępu do informacji, znajdujący się na skraju cywilizacji, gdzie kobiety mieszkają w klatkach i ciągają wozy, a mężczyźni wierzą w gusła.

Gdy przed zachodnimi rozmówcami staje uśmiechnięty przybysz w wyblakłym garniturze, ci zazwyczaj wybaczają mu seksistowskie i rasistowskie uwagi. Zrzucają je na karb nieszkodliwego i nieświadomego barbarzyństwa, jakie z góry przypisują pozbawionemu obycia dzikiemu. Entuzjazm Borata wydaje się autentyczny, on sam zaś zdaje się emanować niewinnością, gdy śpiewa o wrzucaniu Żydów do studni lub wyśmiewa „feministki sugerujące, że kobiety i mężczyźni mają tej samej wielkości mózgi". Oczywiście jego rozmówcy czasem nie wytrzymują, ale widz, wiedząc, że ma do czynienia jedynie z kreacją, może się spokojnie śmiać. Jego przekonań nikt nie będzie podważać, wartości, jakie próbuje wyznawać, pozostaną nienaruszone.

Prawdziwi ludzie nieświadomie uczestniczący w tych przedstawieniach ponoszą jednak prawdziwe konsekwencje. Wystarczy tu wspomnieć rumuńską wioskę Glod, udającą rodzinny Kluzcek Borata. Nieposiadający dostępu do prądu czy bieżącej wody mieszkańcy zostali przedstawieni jako banda gwałcicieli i prostytutek, a za udział w filmie każdy z nich dostał jedynie trzy funty, co przy wynoszącym 18 milionów dolarów budżecie „Borata" oraz niemal piętnastokrotnie większych zyskach może stanowić świadectwo hipokryzji aktora. Nikt się tym jednak specjalnie nie przejął, a film spotkał się z uznaniem krytyki i widzów, przyczyniając się do ogromnej popularności Borata, ale też samego Sachy Cohena.

Chociaż już w 2007 r. aktor podpisał umowę na *sequel*, ten wydawał się niemożliwy – stworzona przez niego postać była zbyt rozpoznawalna, by kontynuacja zachowała podobną formę, a przede wszystkim ową udawaną niewinność. Jednak Cohenowi znów się udało. Po mniej lub bardziej udanych filmach, jak „Bruno", „Dyktator" czy „Grimsby", oraz siedmioodcinkowym serialu „Who is America?" Cohen wrócił do postaci Borata w „Kolejnym filmie o Boracie". Tym razem w realizacji przedsięwzięcia pomaga aktorowi szereg nowych przebrań, dzięki którym Cohen nie udaje już cudzoziemca, ale cudzoziemca udającego Amerykanina. Za sukces filmu w równej mierze jest tu odpowiedzialna także 24-letnia bułgarska aktorka, Maria Bakalova, grająca 15-letnią córkę Borata, Tutar.

Godna następczyni

Ten pierwszy film nakręcony w Stanach Zjednoczonych po wybuchu pandemii COVID-19 jest polityczną satyrą wymierzoną w obecną administrację. Po 14 latach spędzonych w łagrze, gdzie trafił za całkowite skompromitowanie swojego kraju, filmowy Borat dostaje szansę na odkupienie win. Ma odnaleźć wiceprezydenta Mike'a Pence'a i wręczyć mu osobiście nietypowy upominek – szympansa piastującego urząd ministra kultury Kazachstanu. Gdy skrzynia, w której minister miał dotrzeć na miejsce, okazuje się zawierać Tutar i małpie zwłoki, Borat i premier kraju wpadają na pomysł, by zaoferować Pence'owi dziewczynę.

Podobnie jak Borat w poprzedniej części, Tutar wyrusza za ocean pchana chęcią zrealizowania amerykańskiego snu. Jeszcze niedawno była najstarszą panną w Kazachstanie, ale teraz, wpatrzona w, jak ją nazywa, księżniczkę Melanię Trump, której udało się „rozkochać" w sobie przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, ona również postanawia walczyć o szczęście. Pod okiem ojca przechodzi metamorfozę, słuchając wykładów o poddaństwie wobec starszych mężczyzn od obeznanej w temacie influencerki. Niejako przy okazji Tutar dowiaduje się jednak wiele o swoich prawach jako kobiety, także dotyczących własnego ciała. Prawach, które nie są czymś oczywistym w jej ojczyźnie, co brzmi znajomo w Polsce A.D. 2020.

Relacja córki z ojcem ewoluuje, od niechęci, przez bliskość, aż po miłość i dumę, co znów pozwala widzowi traktować bohatera Cohena z sympatią. Chociaż wychowano go, by wierzył w podrzędną rolę kobiet, Borat wewnętrznie czuje, że te nabyte przekonania są błędne. Pośród niezbyt wybrednych żartów o organach rozrodczych czy menstruacji Cohenowi udaje się przekazać coś ważnego o ludzkiej naturze – dobroć to coś, co mamy w sobie, a czego nie znajdujemy po drodze. Borat mówi okropne rzeczy, ale nie zdaje sobie sprawy z ich okropności. Jednocześnie kieruje nim chęć zrozumienia innych zwyczajów, co nigdy nie spycha go do roli ignoranta, przeświadczonego o własnej racji.

Swoje robi tu też Bakalova, równie odważnie co sam Cohen uczestnicząca w kolejnych scenach, dzielnie obnażając dwulicowość konserwatywnych środowisk, przed którymi udaje zagubioną dziewczynkę ze Wschodu. Niewinny wyraz twarzy i uśmiech pozwalają jej wypowiadać kwestie, które w innych okolicznościach mogłyby spotkać się z groźnymi konsekwencjami. W tym sensie Tutar jest nieodrodną córką swojego ojca, Bakalova natomiast odkryciem. Aktorka jest niebywale przekonująca w roli początkującej dziennikarki. Zaświadczyć o tym może sam Rudy Giuliani, były burmistrz Nowego Jorku, przyjaciel i adwokat Donalda Trumpa, którego należy zaliczyć do ofiar prowokacji Cohena.

Walka trwa

Pomimo bardzo trafnej puenty trudno oprzeć się wrażeniu, że „Kolejny film o Boracie" się dłuży. Dopiero pod koniec następuje wielkie bum! – sprowokowana przez Cohena i Bakalovą „seksafera" z przyjacielem i adwokatem Trumpa, właśnie Giulianim. Pił z wcielającą się w 15-letnią reporterkę Bakalovą whisky, kilkakrotnie dotykał ją w dwuznaczny sposób, a potem zaprosił do pokoju, gdzie rozłożył się na łóżku, nim wkroczył Cohen. Wszystko zarejestrowały ukryte kamery.

Trzeba jednak przyznać, że z osób, których nie bawił preferowany przez Cohena humor, „Kolejny film o Boracie" nie uczyni konwertytów. Uciekanie się do tych samych chwytów, mylnie traktowane jako wierność sobie, przywodzi na myśl kolejne podobieństwo między Cohenem i Hoffmanem. ↦

↦ Gdy *yippies* przeistoczyli się już w *yuppies*, czyli zaczęli swój „marsz przez instytucje", Hoffman wciąż kurczowo trzymał się przeszłości. U takiego Jerry'ego Rubina troska o świat ustąpiła trosce o własne ciało i hedonizmowi – może i świat był w rozsypce, ale dopóki można było zdrowo jeść, chodzić na siłownię i imprezować w weekend, nie było to takie straszne. W 1967 r. Hoffman wraz z grupą żartownisiów postanowili rozrzucić banknoty nad głowami pracowników Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych. Dziesięć lat później naśladowcy Rubina najpewniej by się po nie schylili.

Rubin prezentował ruch *yuppies* jako logiczną konsekwencję rewolucji, zmianę kraju od środka, przez bycie częścią systemu. Systemu, z którego Hoffman skutecznie się wyłączył. Brak zrozumienia dla jego radykalnych idei pchnął go w depresję, z której próbował wyjść za pomocą narkotyków. Skończyło się tragicznie – najpierw Hoffman zmuszony był przez lata ukrywać się przed wymiarem sprawiedliwości, po tym jak przyłapano go na przemycie kokainy, a 12 kwietnia 1989 r. popełnił samobójstwo.

Nieumiejętność pogodzenia się z przemijaniem, tęsknota za światem, który odszedł bezpowrotnie, ale też za tą energią i wiarą, że można, że się da, dosłownie zabiły Hoffmana. W chwili śmierci miał 52 lata, o trzy więcej, niż Cohen ma teraz. Chociaż działalność tego drugiego jest mniej wywrotowa – nie proponuje przecież, żeby wrzucać LSD do wodociągów, ani nie uczy, jak domowym sposobem robić bomby – nie sposób odmówić mu zaangażowania.

Powrót do Borata mógł stanowić zwrot ku znanym rozwiązaniom, poszukiwaniu dawnej popularności, a co za tym idzie, okazję do łatwego zarobku, zagrywkę bliższą *yuppies* niż *yippies*. Cohen tymczasem nie składa broni i bierze na cel mizoginię, mimo że ostrze jego satyry jest już trochę przytępione. Podobnie jak Hoffman oddaje całego siebie własnej rewolucji, ale też tak jak Jerry Rubin nie rezygnuje z doczesnych przyjemności. Działa wewnątrz systemu, lecz na własnych zasadach.

© ŁUKASZ MUNIOWSKI

Tęsknota za Kaszpirowskim

ANITA PIOTROWSKA

Czy tajemniczy masażysta ze Wschodu, mówiący językami, naznaczony rozlicznymi talentami, poskramiający złe psy samym spojrzeniem, poskromi też strachy polskich dusz?

Ten nasz obecny czas marny – nieskończenie przejściowy, bezsłoneczny, bezśnieżny – sprzyja wypatrywaniu uzdrowicieli i cudotwórców. Dopiero co nawiedził polskie ekrany czesko-słowacki „Szarlatan" Agnieszki Holland, a już stoi w kolejce następny „zbawca", tym razem przedstawiony w tonacji raczej *buffo*. Żenia z najnowszego filmu Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta zjawia się pewnego dnia na polskim osiedlu strzeżonym ze składanym łóżkiem pod pachą i w rytm walca Szostakowicza zaczyna wypełniać swoją sekretną misję. Czy rzeczywiście może nas uratować młody, silny, wrażliwy masażysta z Ukrainy?

Tytuł „Śniegu już nigdy nie będzie" brzmi niczym zaklęcie i memento, lecz posiada racjonalną wykładnię. Na rok 2025 przewidziano bowiem ostatnie opady śniegu – choć może coś jeszcze dałoby się zrobić, żeby zażegnać wyrok. W przeciwnym razie ten nieutulony kraj przez połowę roku będzie się pogrążał w brudnej, burej mierzwie, a dzieciaki już nigdy nie poczują magii świąt. Jednak wszyscy tu już dawno temu zapadli w zimowy sen i zastygli w przetrwalnikowych formach.

Osiedle pod miastem, złożone z dworkopodobnych willi, to zmaterializowana fantazja o życiowym sukcesie, a zarazem groteskowa symulacja życia, siedziba Simsów wchodzących ze sobą we wrogie, ubogie bądź pozorne interakcje – o ile w ogóle jakieś. Żenia (w tej roli Alec Utgoff, brytyjski aktor ukraińskiego pochodzenia) krąży więc od drzwi do drzwi, obdarzony nie tylko cudownie leczniczym dotykiem, ale i rodzajem przeczucia czy nadwiedzy, która pozwala mu przejrzeć na wskroś wszystkie te nieszczęsne „żyćka". Masując sfrustrowane panie domu, spiętych byłych żołnierzy, nieuleczalnie chorych czy niewierne żony, staje się ich powiernikiem i długo wyczekiwanym ratunkiem.

Przed czym? Tutaj każdy musi sam sobie uzupełnić frywolnie ażurowy scenariusz Szumowskiej i Englerta. Na pierwszy rzut oka oglądamy grubo tkaną satyrę na obyczaje i snobizmy rodzimej klasy średniej: mężczyźni w kieracie pracy i kredytów, kobiety zaabsorbowane głównie swoim wyglądem, rasowymi pieskami i ogólnym niespełnieniem, biedne bogate dzieci wysyłane do francuskich szkół... – kłaniają się karykaturalni „inni ludzie" z ostatniej powieści Doroty Masłowskiej. W poprzednim swoim filmie „Twarz" ci sami twórcy masakrowali oblicze Polski z wsi i małych miejscowości, portretując jej kulturowe zacofanie, ksenofobię, pustą, obrzędową religijność i genetyczne niejako okrucieństwo. Tym razem padło na mieszkańców nowobogackich domów, na ich słabości, uzależnienia, pragnienia – i dla nich znaleźli odrobinę więcej sympatii.

Żenia uosabia w filmie tęsknoty zarówno ziemskie, jak i te wyższe, duchowe. Wszystkie one zostały potraktowane w „Śniegu..." leciutko, acz nie do końca z przymrużeniem oka, podobnie jak cienka warstwa politycznej poprawności i powierzchownej modernizacji. Tajemniczy masażysta ze Wschodu, mówiący językami, naznaczony rozlicznymi talentami i poskramiający złe psy samym spojrzeniem, to krzyżówka fantazji i stereotypów. Jest jak współczesny Kaszpirowski: niesamowita słowiańszczyzna i mityczna ikona spod znaku *ex oriente lux* skupione w jednym mu-

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Śniegu już nigdy nie będzie”

skularnym ciele. Dlatego długo wyczekiwany cud może być równie dobrze apokaliptycznym opadem radioaktywnym – wszak bohater urodził się w okolicach Czarnobyla siedem lat przed awarią reaktora.

Pojawia się także jawny trop rodem z kultury popularnej, czyli Żenia jako napromieniowany superbohater, oraz sugestia, że mamy do czynienia z kolejnym wcieleniem trickstera, który na początku filmu wyłania się z głębi lasu, z mgły, z natury czy z tego, co wyparte, by namieszać, nabroić, może coś przy okazji naprawić – odpowiedź może być dowolna. O samym bohaterze dowiadujemy się akurat tyle, ile trzeba, by wypełnić go pożądanym znaczeniem. Że nocuje w brzydkim mieszkaniu gdzieś na postkomunistycznym blokowisku i ktoś depcze mu po piętach, że przekroczywszy szlaban zamkniętego osiedla, najlepiej czuje się popijając ze strażnikiem w jego budce, że wcale nie jest aniołem bezcielesnym. Wreszcie: że zostawił na dalekiej Ukrainie wspomnienia tyleż piękne, co traumatyczne.

Szumowska powraca do metody zastosowanej już w „Body/Ciało” (2015), gdzie bez pretensji do późnej „kieślowszczyzny”, z cierpkim, choć jednocześnie ciepłym humorem poszukiwała kontaktu z duchami zmarłych. Tak jak ukraiński masażysta wyczuwa pod palcami wewnętrzną drżączkę, tak samo daje się wyczuć dyskretna metafizyczna podszewka, jaką podbity został ten krotochwilny film. Żenia staje się dla bohaterów, a zwłaszcza dla smutnej Wery (w tej roli przekonująca Weronika Rosati, w retrospekcjach grająca także matkę bohatera), źródłem przede wszystkim czysto ludzkiej empatii i bliskości. Albowiem jedyną prawdziwą twarzą, pozbawioną codziennej maski, wydaje się ta naga, bezbronna, wetknięta w otwór łóżka do masażu i filmowana od dołu w zabawnych ujęciach. Pojawiający się w filmie pierwszoligowi aktorzy i aktorki: Maja Ostaszewska, Agata Kulesza, Łukasz Simlat, Andrzej Chyra czy Katarzyna Figura, nawet kiedy czasem szarżują, zdają się wyczuwać ową tragikomiczną podwójność swoich ról.

Opowieść o masującym hipnotyzerze zza wschodniej miedzy i o jego nieszczęśliwych polskich klientach skupia się także na samym akcie patrzenia, na tym, jak widzą siebie nawzajem oni i on. Zdjęcia Englerta też mają chwilami moc hipnotyczną, odrealniają filmowaną przestrzeń na modłę bajki czy sennego koszmaru. Nasz tegoroczny kandydat do nominacji oscarowych opowiada zresztą niekoniecznie o Polsce, jakkolwiek figura obcego, który staje się tutaj jedną wielką projekcją, indywidualną i zbiorową, została wpisana w bardzo znajome pejzaże, również mentalne. ©

ŚNIEGU JUŻ NIGDY NIE BĘDZIE – *reż. Małgorzata Szumowska, Michał Englert. Prod. Polska/Niemcy 2020. Dystryb. Kino Świat. Film ma polską premierę w konkursie festiwalu Camerimage (14 – 21 XI), także w wersji online.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Jak Bóg szukał Karela

Dokumentalny, reż. Vít Klusák, Filip Remunda, Słowacja/Czechy/Polska 2020, Canal+ Dokument, 11 XI, 20.30, 14 XI, 12.40

Czescy dokumentaliści, którzy zasłynęli eksperymentem społeczno-filmowym „Czeski sen” (2004), tym razem udali się z kamerą do Polski, by przyjrzeć się tutejszej religijności. A może przy okazji, w wymiarze czysto prywatnym, odnaleźć Boga...? Są przy tym tendencyjni i prowokacyjni, ale efekt chwilami bardziej przytłacza, niż śmieszy. I jakże ironiczny to prezent na Święto Niepodległości.

2. The Domain

Dramat, reż. Tiago Guedes, Portugalia/Francja 2019, Arte po polsku, do 30 XI

Filmem tego miesiąca w bezpłatnej ofercie platformy jest epicka opowieść o losach portugalskich potentatów, rozpięta na kilka dekad tamtejszej historii, od lat 40. XX wieku do współczesności. Tłem dla rodzinnej sagi staje się także historia żelaznego patriarchatu, zmuszonego do konfrontacji z rzeczywistością i własną siłą odśrodkową.

3. Gambit królowej

Miniserial, reż. Scott Frank, USA 2020, Netflix

To nie pierwszy raz, kiedy pojedynek szachowy okazuje się tak ekscytujący na ekranie. Adaptacja powieści Waltera Tevisa stawia w centrum uwagi genialną dziewczynę z domu dziecka, której droga do mistrzostwa to walka z zewnętrznymi uprzedzeniami i własnymi uzależnieniami. W tle zmieniająca się Ameryka lat. 50. i 60., a do tego niezwykle elegancka robota filmowa.

4. Od nowa

Miniserial, reż. Susanne Bier, USA 2020, HBO GO

Duńska reżyserka („Tuż po weselu”, „W lepszym świecie”) opowiada o wyższej klasie średniej z Nowego Jorku. Zabójstwo młodej kobiety rzuca się cieniem na życiu doskonałej na pozór pary, granej przez Nicole Kidman i Hugh Granta. Podobnie jak w serialu „Wielkie kłamstewka”, który miał tego samego producenta, rzeczywistość za fasadą okazuje się dużo bardziej skomplikowana.

PRZEMYSŁAW JENDROSKA / TEATR ŚLĄSKI IM. S. WYSPIAŃSKIEGO

Kamil Suszczyk w „Potopie", adaptacja i reżyseria Jakub Roszkowski

Czuła narratorka i lista przebojów

DARIUSZ KOSIŃSKI

Nie ma powodów, żeby kokietować publiczność starą listą przebojów. Choć czasem tylko nam się wydaje, że znanych. I wtedy warto posłuchać.

Teatr współczesny podchodząc do dawnej powieści wydaje się myśleć raczej: „co mogę z tobą zrobić?" niż: „co ty możesz mi powiedzieć?". Nowe inscenizacje „Potopu" Henryka Sienkiewicza i „Nad Niemnem" Elizy Orzeszkowej dobrze pokazują różnice między tymi postawami.

Obie są – każda na swój sposób – ofiarami pandemii. Premiera „Nad Niemnem" w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie odbyła się tuż przed pierwszym lockdownem, więc mało kto przedstawienie wówczas zobaczył. Kolejne pokazy miały miejsce właściwie już podczas wakacji, a tytuł powrócił na afisz dopiero we wrześniu. Nie wiadomo, czy wobec drugiego lockdownu spektakl w ogóle będzie w najbliższych miesiącach pokazywany. Nie wiadomo, czy będzie mógł wyjechać choćby na najważniejsze krajowe festiwale, gdzie powinna go zobaczyć jak największa liczba widzów. Zamiast stać się wielkim i głośnym wydarzeniem, na co z pewnością zasługuje, pojawia się okazjonalnie we wciąż trudno dostępnym komunikacyjnie mieście, a los jego jest niepewny.

Zderzenie „Potopu" w Teatrze Śląskim w Katowicach z pandemią było jeszcze bardziej dramatyczne: dzień po trzecim pokazie, w środę, 20 września, teatr zamknięto, ponieważ u dwóch jego pracowników wykryto zakażenie COVID-19. Wkrótce okazało się, że zakażony był też jeden z aktorów biorących udział w przedstawieniu. Słynne zdanie Tadeusza Kantora, że nie wchodzi się do teatru bezkarnie, nabrało nagle nowego, bardzo konkretnego znaczenia.

Potop żywych trupów

Gdyby nie to, że pandemia jest sprawą poważną, można by żartować, że reżyser Jakub Roszkowski sam trochę tę sytuację sprowokował, przemieniając bohaterów „Potopu" w zombie, które – jak wiadomo choćby z „The Walking Dead" – są ofiarami tajemniczej epidemii. Reżyser nie ukrywa, a nawet podkreśla, że podstawą jego inscenizacji jest uznanie Sienkiewicza za twórcę tekstów kultury popularnej na równi ze scenarzystami uwielbianych masowo seriali telewizyjnych (obok „Żywych trupów" w opisie spektaklu na stronie Teatru przywołana jest jeszcze „Gra o tron" i – coś dla przyciągnięcia starszych – „Niewolnica Isaura"). Pozwala mu to na traktowanie „Potopu" bez nadmiernej rewerencji i na graniu nim zgodnie z regułami swobodnego użycia dominującymi właśnie w kulturze popularnej.

Roszkowski wykorzystuje powieść Sienkiewicza jako zestaw gotowych „ścieżek", świetnie wszystkim znanych tematów i motywów, które miksuje z innymi równie dobrze znanymi ścieżkami, tym razem już konkretnie i dosłownie – muzycznymi. „Hity" Sienkiewicza („kończ waść – wstydu oszczędź", „jam nie Ba-bi-ni-cz, jam Kmi-cic", „ran twoich nie godnam całować") łączy z hitami polskiej muzyki rozrywkowej ostatnich dekad XX wieku. Czasem zestawienia serwowane przez DJ-a Roszkowskiego wspomaganego przez kompozytora Dominika Strycharskiego są do bólu banalne (Skaldowie w czasie kuligu, „W stepie szerokim..." na przywitanie Wołodyjowskiego), czasem niezbyt udane („Noś długie włosy" jako charakterystyka Bogusława Radziwiłła), czasem przeciwnie – w trafnym skrócie chwytają sytuację postaci („Biała flaga" Republiki jako wyznanie Janusza Radziwiłła). Niektóre są też zabawne, jak „Dancing Queen" w wykonaniu Klary Brody i Anny Kadulskiej, czyli najazd szwedzki rozegrany jako parodia słynnego koncertu zespołu ABBA w Studio 2 w 1976 r. Niemal wszystkie trwają za długo, co w przedstawieniu streszczającym trzytomową powieść w 90 minut jest doprawdy zarzutem poważnym.

Na szczęście w drugiej części przedstawienia Roszkowski przełamuje nieco ten nużący już wzór. Pod koniec sceny na Jasnej Górze przeor Kordecki (Marcin Gaweł) intonuje „Barkę". W kontekście roku papieskiego i lekko prześmiewczego tonu spektaklu ta kościelna

pieśń pobrzmiewa nawet profanacją. Po chwili zostaje jednak przejęta przez aktorów tworzących orszak Jana Kazimierza (Anna Kadulska – świetna w każdej z wielu postaci, które gra), a ta zmiana sytuacji bardzo zręcznie zmienia sens pieśni. W powietrzu zostaje jakieś serio wprowadzone przez to połączenie ołtarza i tronu.

Powraca ono w scenie niemal finałowego występu Kmicica (bardzo dobra rola bardzo trafnie obsadzonego Michała Rolnickiego), który opowiada o – zapominanej nadspodziewanie często, bo i nieopowiedzianej przez Sienkiewicza w szczegółach – historii rzezi i gwałtów, jakich pan Andrzej dokonywał z oddanymi mu pod komendę Tatarami. W tej opowieści nagle pojawiają się wersy z „Jestem Bogiem" Magika i Paktofoniki, które właśnie w Katowicach brzmią szczególnie mocno, akcentując coś, co mogło być celem ataku przypuszczonego przez spektakl na swoiście polską wersję teologii politycznej (tydzień później wymowa tych scen mogłaby ulec dalszemu wzmocnieniu).

Gdyby rozbawiając publiczność reżyser doprowadził w finale do tego, że śmiech zamarłby na ustach i odwrócił się przeciwko śmiejącym, katowicki „Potop" mógłby być czymś więcej niż zręcznym i atrakcyjnym brykiem z lektury. Zamiast ciąć mocnym sztychem, Roszkowski pomachał udawaną szabelką w powietrzu, wyczerpując całą energię na wynajdywanie „pomysłów", które może uatrakcyjnią widzom (zwłaszcza szkolnym) wycieczkę do teatru, ale niczego nowego z Sienkiewicza nie wydobyły. I to jest pierwszy sposób.

Nad wodą wielką i czystą

Jestem miłośnikiem „Nad Niemnem" i boli mnie, że tę znakomitą powieść zabija jej szkolna analiza. Z drugiej strony – sam przeczytałem ją po raz pierwszy tylko dlatego, że była lekturą obowiązkową. Sięgałem po ten standardowy przykład nudnej piły (przez kilka stron nic się nie dzieje – same opisy!) z niechęcią, by już po kilku stronach dać się pochłonąć. Pamiętam tamto zdziwienie: że oto dzieje się coś, co nie miało prawa się zdarzyć. Mały cud.

To wspomnienie powróciło do mnie z niezwykłą mocą już w pierwszych minutach lubelskiego spektaklu reżysera Jędrzeja Piaskowskiego i dramaturga Huberta Sulimy. Słowa wypowiedziane spokojnie i w ściszeniu przez stojące przed zapuszczoną kurtyną Justynę (Justyna Janowska) i Martę (Marta Ledwoń) unieważniły zmęczenie całodzienną podróżą i strach wywołany najnowszymi wiadomościami o kolejnym pandemicznym rekordzie. Gdy kurtyna idzie w górę, ukazując płytką scenę zamkniętą ścianą salonu pani Emilii, i zaczyna się opowiadanie o ludziach tu zgromadzonych, wraca do mnie ta fala zdumienia sposobem, w jaki Orzeszkowa, nie upiększając swoich bohaterek i bohaterów, potrafi mówić o nich z miłością. Czuły narrator – zbanalizowana nadużyciami formuła z wykładu noblowskiego Olgi Tokarczuk okazuje się tu niezwykle trafna. Orzeszkowa jest czułą narratorką opowiadającą o świecie i ludziach bez złudzeń, ale zarazem otwartą na niego i na nich z troską i uważnością.

Znalazła też równie czułych inscenizatorów. Już od pierwszych scen jest jasne, że słuchają pani Elizy z uwagą i właśnie troską, że uwierzyli jej i temu, co i jak ma do powiedzenia. Ich praca z „Nad Niemnem" jest całkowicie odmienna ↦

Jolanta Rychłowska i Daniel Salman w „Nad Niemnem", reżyseria Jędrzej Piaskowski

NATALIA KABANOW / TEATR IM. JULIUSZA OSTERWY W LUBLINIE

↦ od pracy Roszkowskiego. Tamten odpala hałaśliwą setlistę i znad teatralnej konsolety woła: „Znacie? To posłuchajcie!”. Ci zdają się raczej przeprowadzać nas przez proces własnego odkrywania pisarki.

Scenografia Anny Met jest rzeczywiście piękna, ale jej sednem nie jest budowanie malowniczych obrazów. Działa tu raczej dramaturgia przestrzeni, która od pierwszych sekwencji jest konkretnie wykorzystywana, byśmy mogli doświadczyć procesu wnikania w świat przedstawienia i powieści.

Jeszcze mocniej doświadczenie czułego czytania i zachwytu nad tym, co się odkrywa w powieści, wybrzmiewa (dosłownie) w fonosferze przedstawienia. Lubelskie „Nad Niemnem” jest otulone w spokojne, ściszone, bardzo uważne mówienie, które estetycznie nie ma nic wspólnego z teatrem „żywego słowa” i pięknej deklamacji, choć słowo jest tu żywe, a samo słuchanie tego, jak lubelskie aktorki mówią opisy Orzeszkowej, to wielka przyjemność. Bodaj jeszcze nigdy użycie mikroportów nie wydawało mi się tak uzasadnione – bez tego technicznego wspomagania niemożliwe byłoby doświadczenie niemal intymnego słuchania. Trzy godziny wyciszenia emocji związanych z zabieganiem o siebie i skupienia na tym, co mówią inni, było w ten pandemiczny czwartek (w niemal pustym z konieczności teatrze) prawdziwą ulgą.

O nadziei

Ale czułość ma w tym „Nad Niemnem” znaczenie nie tylko estetyczne i performatywne, lecz także interpretacyjne i ideowe. Dobrze to widać w szczególnych momentach przedstawienia precyzyjnie wydobytych z jego przebiegu.

Wewnętrzny monolog Justyny wypowiadany nad wspólnym grobem powstańców styczniowych to jedna z tych sekwencji powieści Orzeszkowej, których potrzebę może i uznajemy, ale która w swojej oczywistości i deklaratywności wydaje się odstawać od całości. Jest rezonerska, a już w teatrze XIX-wiecznym role rezonerów uważano za jedne z najtrudniejszych. Justyna Janowska, która swoją imienniczkę obdarzyła energią współczesnej młodej kobiety, realizującej z uporem politykę stawania się w codziennym życiu zmianą, której chce dokonać w świecie, mówi ten fragment tak, jakby wraz z równie młodymi dramaturgiem i reżyserem odkrywała właśnie w powieści sprzed stu kilkudziesięciu lat własne myśli i słowa.

Reżyser katowickiego „Potopu” odpala setlistę i znad teatralnej konsolety woła: „Znacie? To posłuchajcie!”. Twórcy lubelskiego „Nad Niemnem” zdają się raczej przeprowadzać nas przez proces własnego odkrywania Orzeszkowej.

Fragment o zadziwieniu wolnością, jaką daje poświęcenie dla idei niemającej nic wspólnego z troską o własne ego i jego zadowolenie, brzmi trochę tak, jakby współczesna hipsterka wyzwalała się z zajmowania swoimi „traumami”, odkrywając, że może być coś od nich ważniejszego. To pewnie krzywdzące uproszczenie, ale niech ten skrót zostanie dla podkreślenia różnicy między tym, co wydarza się w życiu duchowym i umysłowym Justyny nad mogiłą, a tym, co za ważne uczą nas wszystkich uznawać poradniki samorealizacji naszego wieku narcyzmu.

Nie oznacza to jednak, że indywidualne, najbardziej prywatne szczęście jest w tym przedstawieniu lekceważone. Przejmujący finał pierwszego aktu stanowi opowieść o niespełnionym rodzinnym szczęściu Marty Korczyńskiej, którą Sulima z Piaskowskim uczynili drugą obok Justyny główną bohaterką przedstawienia. Przemianę Orzelskiej równoważy i dopełnia smutek wypełniający opowieść o klęsce ciotki, która nie miała odwagi pójść za tym, w co wierzyła. Jej przegrana zostaje zestawiona z klęską powstania, z tą superpolską zbiorową mogiłą w lesie. I to jej dany jest finał aktu. To nad żałobą po jej osobistym szczęściu powoli, jak kir, zapada kurtyna.

Inscenizacja powieści Orzeszkowej to także mocny, nawet jeśli ściszony, komentarz do współczesnej sytuacji społecznej i politycznej. Słychać go wyraźnie w rozegranej w zaskakujący sposób scenie wesela w Bohatyrowiczach, która stanowi rodzaj przerwy wypełnionej śpiewanymi przez aktorów wprost do widzów pieśniami. W spektaklu śpiewa się już wcześniej, ale tamte piosenki brzmią słabo, zdarzają się nawet lekkie fałsze. Ale pieśni o lesie i tęczy zaśpiewane czysto, pełnymi głosami, mają moc niosącą taką przeciwtradycję, która pozwala budować więź między dawnymi laty a współczesnymi bojami o ekologię i równość. W ich kontekście bezwstydnie wzruszające „Ty pójdziesz górą...” („moja ulubiona piosenka z filmu »Nad Niemnem«” – mówi jedna z aktorek) brzmi jak *song* komentujący rozpad, ciążący niezabliźnioną raną nad scenicznym i pozascenicznym światem.

Do tego rozpadu wydają się odnosić też ostatnie w przedstawieniu słowa i ostatnie milczenie należące do młodych. Finał „Nad Niemnem”, ów marzony przez wszystkich i wyczekiwany w teatrze *happy end*, zostaje w przedstawieniu lubelskim niedokonany, zawieszony w czasie przyszłym. Ci, na których Orzeszkowa projektowała swoją trudną nadzieję, opisują scenę pojednania w Bohatyrowiczach stojąc na proscenium. W rytm ich słów kurtyna (specjalny bohater tego spektaklu) powoli opada po raz ostatni, oddzielając ich i nas od świata, który pokonał swoje rany, wypowiedział źródła konfliktów i przewalczył antagonizmy. Teatralna utopia znika, a właściwie – nigdy się nie realizuje. Zostajemy w ciemności, wraca lęk przed końcem świata, jaki znamy.

Na sali jest nas mało, więc będziemy mieli wrażenie, że aktorki i aktorzy patrzą nam w oczy, że powstaje jakaś więź uśmiechów, wdzięczności, zrozumienia. Potem wyjdziemy na ulicę. Za spuszczoną kurtyną robotnicy powoli zaczną rozbierać Bohatyrowicze. Dokładnie tydzień później cyniczna gra i fundamentalistyczna ślepota sprawią, że głównym hasłem stanie się słowo na „W”, a głównym uczuciem – gniew. Justyna w masce z czerwoną błyskawicą ruszy pod kościół, którego strzec będzie Andrzej.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Eliza Orzeszkowa **NAD NIEMNEM**, *dramaturgia Hubert Sulima, reżyseria Jędrzej Piaskowski, Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie*

Henryk Sienkiewicz **POTOP**, *adaptacja i reżyseria Jakub Roszkowski, Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach*

REKLAMA

Poruszająca opowieść Reginy Brett o miłości do swojej mamy, która nie potrafiła kochać własnej córki. Przejmujące wspomnienia pisarki z dzieciństwa, ale i z dorosłości, kiedy podjęła próbę prawdziwego poznania i pokochania chorej na alzheimera matki. W mocnych słowach Regina Brett portretuje trudną relację rodzic–dziecko. Sięga zarówno do pięknych, jak i trudnych chwil, kreśląc niezapomnianą historię bólu, przebaczenia, a wreszcie – miłości.

Swoją książkę dedykuje wszystkim czytelnikom, zwracając się do nich z przesłaniem, aby zawsze starali się kochać tkwiące w nich dziecko.

To ja mam być dla siebie dobrą mamą. To ja mam kochać siebie bezwarunkowo, zarówno zranioną, jak i szczęśliwą czy poszukującą swojej drogi. Nie muszę niczego w sobie zmieniać. Wystarczy, że pokocham siebie taką, jaką jestem. Mocniej, niż kochała mnie mama.

Regina Brett

insignis

NOWOŚĆ! Polska strona Reginy Brett: reginabrett.pl
Blog, podcasty, album rodzinny, książki i nie tylko

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

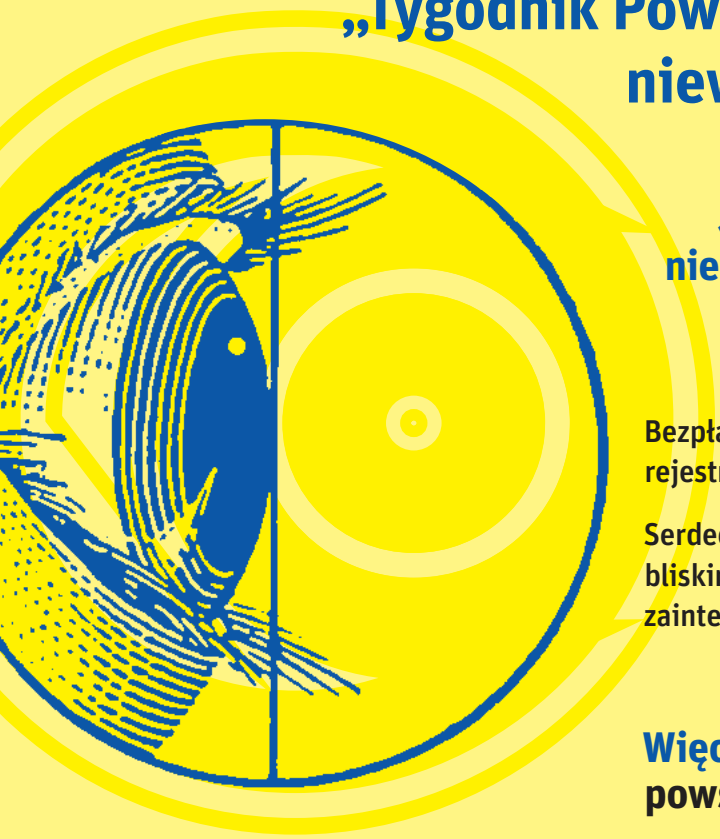

Już ponad 1200 osób z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wady wzroku czyta regularnie „Tygodnik"!

Bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" umożliwia im rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto".

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

DE STOWARZYSZENIE FACTO

TYGODNIK POWSZECHNY

JAN

Klata:
Komedia narodowa

Oblężony obóz władzy. Ma strategię, narodową strategię walki z wirusem, wirusa zwalczania, strategię na kilku stronach A4, i nie zawaha się jej użyć na ludzie ziem polskich. Czyli na nas. A zatem nie mogliśmy lepiej trafić, Polki i Polacy, w sumie wirus jawi się zasłoną dymną wyższych władzy celów: władzy utrwalenia. Wiosną pocztowa sasinada, jesienią też będą atrakcje, prezes tysiąclecia coś wymyśli, lubi wymyślać, a nie ma dużo czasu.

„Kreatywna" księgowość liczenia rozmiarów pandemii w naszym kraju staje się sekretem poliszynela, co wskazywałoby na akcenty komediowe, tylko że w przypadku PiS nieśmieszne, bo PiS nie umie grać w dell'arte. Premier Morawiecki jako twarz walki z koronawirusem jest niewiarygodnie wiarygodny, zwłaszcza w maseczce, zachowujący przepisowy dystans społeczny wobec staruszki, której dowiózł pizzę. Z czasem domyślimy się, dlaczego pan premier dowozi pizzę w mundurze, ale już teraz możemy pospekulować, że zapewne chodzi o mobilizację w walce o seniorów, którzy już nie muszą się tego wirusa tak bardzo obawiać i mogą do urn bez kolejki, a nawet na pocztę, chyba że akurat zastuka Sasin z awizem. Dlaczego na mundurze premiera dowożącego pizzę była polska flaga, nie musimy się domyślać – miała być flaga Monako, ale Sasin przyszył odwrotnie. Może przypadkiem, może w ramach dell'arte: tajemnica poliszynela jest tajemnicą państwową. Za ujawnienie tajemnicy poliszynela grozi kara pozbawienia wolności w ramach narodowego lockdownu.

Gdzie jest Duda – i nie chodzi o szachistę-arcymistrza. Panie prezydencie, proszę nie chować głowy w piasek, larum grają, a pan jeszcze najwyraźniej w autoizolacji nad Gopłem, w „Balladynie" zaczytany... Dobrze, że opiekuje się nami Przewodniczący Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa, sam wicepremier Kaczyński. On sprawi, że będziemy bezpieczni od powietrza, głodu, ognia i wojny, a zwłaszcza od samych siebie. Setki radiowozów na Żoliborzu nie mogą się mylić.

Na horyzoncie Narodowy Lockdown. Zamknijmy się wszyscy, nie przeszkadzajmy władzy. ©

Lektor:
Pisarz, świadek

▪ *Józef Hen*
BEZ STRACHU. DZIENNIK WSPÓŁCZESNY
Wydawnictwo MG, Warszawa 2020, ss. 312

8 listopada skończył 97 lat – i ukazała się jego nowa książka. Towarzysząca wydarzeniom naszego czasu aż do pandemii i wyborów prezydenckich z lipca 2020, żywa i świetnie napisana. Jej pierwsze zdanie? „STAROŚĆ. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy". Ale jakaż to wyjątkowa starość, która nie odbiera ani ciekawości świata, ani słuchu na rzeczywistość i trzeźwości w jej ocenie, ani pamięci pozwalającej skonfrontować to, co dzieje się teraz, z lustrem przeszłości. „Bez strachu" to kontynuacja dziennikowych zapisów, które – widać to coraz lepiej – będą zarówno świadectwem polskiego powojnia, zwłaszcza lat przed i po przełomie roku 1989, jak i autoportretem pisarza. Jest tu polityka z pasją komentowana, życie towarzyskie i uczuciowe, perypetie z cenzurą i wydawcami (później już tylko z tymi drugimi), drobiazgi codzienne, a także notowane bez fałszywego wstydu zarówno reakcje czytelników, jak i sądy krytyków (lub ich brak). Bo też Józef Hen należy do autorów niedocenionych. Już jedna książka – arcydzielne „Nowolipie", z precyzyjną czułością wskrzeszające zamordowaną żydowską Warszawę – zapewniłaby mu trwałe miejsce w literaturze, a przecież jego dorobek jest ogromny. Dłuuuga półka, na której stoi szereg powieści („Nikt nie woła"!), tomy opowiadań z okołomarcowym „Okiem Dajana" zawierającym teksty drukowane u Giedroycia, biografie Montaigne'a, Stanisława Augusta i Boya-Żeleńskiego. A jeszcze scenariusze filmowe („Krzyż Walecznych", „Kwiecień", „Don Gabriel") i telewizyjne („Królewskie sny" czy „Życie Kamila Kuranta"). Historia, psychologia, erotyka, humor, liryzm – no, sporo tego... W „Bez strachu" teraźniejszość miesza się z przeszłością (zapiski z podróży do Włoch w latach 60. zderzone z obrazem Florencji czasu pandemii) i powrotami do dawnych lektur, jak „Dzienniki czasu wojny" Nałkowskiej. Jest i brawurowa obrona Sienkiewicza (przed Miłoszem) – a obok całkiem aktualna pochwała prawnuka autora „Potopu". Pożegnanie Jerzego Pilcha. I jeszcze jeden kamyk z tej mozaiki wybieram. Opublikowany w „Magazynie Książki" poemat Jacka Podsiadły „Słup ze słów", głos o Zagładzie autorstwa młodszego o cztery dekady poety, „mocny w treści – i niezwykły w formie", bardzo Hena poruszył. Cytuje potem wypowiedzi Podsiadły bez komentarza – wyczuwam jednak w tym fragmencie wzruszenie: bo oto pamięć przetrwała i przekazywana jest dalej. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Koniec przerwy

Piętnaście milionów. Co najmniej tyle norek w duńskich fermach zostanie zaraz zabitych na polecenie rządu. Cała tamtejsza populacja nieszczęsnych, Bogu ducha winnych zwierząt straci życie w związku z koronawirusowym zagrożeniem. Dania była dotąd największym producentem ich futer na świecie. Polska – gdzie właśnie tzw. piątka dla zwierząt poszła do kosza w ramach ogólnego rozprzężenia w monopartii – wychodzi na czoło tego wstydliwego rankingu. A duńskie władze praktycznie uwięziły w domach ok. 300 tys. ludzi żyjących w sąsiedztwie ferm, których właściciele otrzymają pełne odszkodowanie.

Przesłanki tak radykalnej decyzji muszą być poważne i budzą wystarczające obawy u polityków, którzy nigdy nie zadzierają z interesami poważnych branż ot tak sobie, nieprzymuszeni przez siłę wyższą, i to bardzo wyższą. A przemysłowy chów wszelkich stworzeń to w Danii arcypoważna sprawa. Weźmy np. wieprzowinę. Dania ma największą jej produkcję na głowę mieszkańca na świecie, w liczbach bezwzględnych produkuje mniej więcej tyle, co 6 razy większa ludnościowo Polska. I to wszystko zracjonalizowane i zoptymalizowane: każda duńska locha ma średnio dwa razy więcej prosiąt w miocie, niż przewidziała matka-natura. Łatwo policzyć, jaką część duńskiego PKB wytwarza wieprzowy kombinat (5 proc.), trochę trudniej oszacować, ile zatruwa wody i powietrza, nawet jeśli należy do nowoczesnych. Przy czym Dania przoduje w wyznaczaniu sobie standardów klimatycznych – obowiązuje tam wyższy niż w całej Unii cel spadku emisji gazów cieplarnianych. Są gminy, gdzie do końca dekady ma nie powstawać żaden odpad nienadający się do wykorzystania. Najnowocześniejsze spalarnie śmieci w Europie już muszą sprowadzać „surowiec" z zagranicy.

Dlatego niedawno tamtejszy rząd próbował zastosować lekką inżynierię społeczną: polecił, by w stołówkach instytucji państwowych co najmniej dwa dni w tygodniu były bezmięsne. Związki zawodowe narobiły jednak takiego rabanu, że się po tygodniu z pomysłu wycofano. Jeden z argumentów był zresztą sensowny – skoro większość duńskiego mięsa i tak idzie na eksport, to nawet gdyby każdy Duńczyk od jutra przeszedł na weganizm, lokalnej produkcji by to tak znowu nie ograniczyło.

Odłożę sobie tę sprawę na bliską półkę w pamięci, bo spodziewam się, że za kilka lat sprawa wróci i już nie będzie taka szokująca. Sądzę, że idziemy ku temu, by coraz łatwiej ulegać odgórnym, choćby i przesadnym restrykcjom, bo ochrona przed obecną zarazą stanowi przyspieszony kurs życia w gąszczu zakazów i limitów.

Zdarzyło mi się ostatnio skrobać i pestkować kilo pigwowca – a jest to praca drętwa i bolesna, więc akurat konferencja prasowa Angeli Merkel na temat nowego lockdownu wydała mi się dobrą ścieżką dźwiękową. Kanclerz kraju sąsiadującego z Danią i równie jak on zbudowanego na protestanckim etosie pracy i życia we wspólnocie powiedziała w pewnym momencie: „Nasze pojęcie wolności oznacza wolność do bycia odpowiedzialnym". Aż się mało nie zaciąłem w palec. Takie ujęcie to dziecko heglowskiego rozumienia, które osoby w moim wieku i starsze pamiętają w zwulgaryzowanej marksistowskiej wersji „wolność to uświadomiona konieczność". To był chwyt retoryczny, którym partia uzasadniała, jak wspaniale jest klęczeć przed Moskwą. Ale przecież to wcale nie oznacza, że Hegel nie miał racji. Przeciwnie: wolność już od czasów Greków, którzy ją dla nas wymyślili, nie wiązała się ze „swobodą", lecz z nakazami rozumu i rozumnego poznania zależności rządzących ludźmi oraz cnotami obywatelskimi.

Wolnościowy nawias w dziejach Europy powoli się po 70 latach domyka. Trwał tak długo, że osłabł w nas kompas odpowiedzialności za bliźniego, który pozwala żyć razem w harmonii bez wszechobecnego nadzoru ze strony władzy. Kanclerz Merkel, tłumacząca, że jesteśmy w kleszczach funkcji wykładniczych opisujących postęp zarazy, albo premier Frederiksen, jednym ruchem długopisu skreślająca całą branżę gospodarki, są niczym nauczycielki, które stukają linijką w blat i wołają nas z powrotem na koniec przerwy. ©℗

Co prawda idzie święty Marcin i wszyscy mięsożercy rozglądają się nerwowo za tłustą gąską, ale z racji tematu dzisiejszej rubryczki zatrzymajmy się na wieprzowinie – w postaci białej surowej kiełbasy – oraz pięknej jesienno-zimowej sałacie, która będzie ożywiać nasze stoły aż do wiosny, czyli radicchio, u nas obecnej prawie wyłącznie w kulistej wersji (odmiana z Chioggi – najłagodniejsza; te podłużne, jeśli znajdziecie, są bardziej gorzkie). Zrobimy sos do makaronu radicchio e salsiccia – z pełną świadomością, że włoska kiełbasa jest całkiem inna od naszej, nie pod względem struktury, ale przypraw. Tak czy siak, lubię tę kombinację. Wyciągamy dwie białe kiełbaski z flaka, rozdrabniamy w palcach i dajemy na sporą patelnię z 4 łyżkami oliwy, krótko podsmażamy na średnim ogniu, starając się drewnianą łyżką dalej rozdrobnić. Dodajemy jedną główkę radicchio pociętą cienkie paski (zostawiamy obok dwa liście do dekoracji). Mieszamy, aż sałata zwiędnie, zalewamy ok. 100 ml czerwonego wina, chwilę odparowujemy, zmniejszamy ogień i dalej dusimy 5-10 minut. Po ugotowaniu makaronu łączymy go z tym sosem na ciepło, ozdabiamy dla oczu paskami świeżej sałaty (bo ta na patelni stała się sinobura). Jeśli macie problem z goryczką tego sosu, można dać na samym początku posiekanej szalotki albo osłabić całość na talerzu łyżką ricotty.

ROBERTO MENDOLICCHI / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

SZORSTKI DIAMENT

Connery czerpał autentyczną radość z występowania przed kamerą, a jego szelmowski uśmiech stanowił obietnicę przedniej zabawy. Grał jakby od niechcenia, ze szczyptą nonszalancji.

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Odeszła jedna z najbarwniejszych postaci światowego kina – sir Sean Connery zmarł w wieku 90 lat w Nassau na Bahamach. W świetle kariery i przekonań politycznych aktora jest to symboliczne miejsce. Nie tylko znajduje się daleko od jego ukochanej Szkocji, ale też toczy się w nim akcja jednej z przygód Jamesa Bonda – serii, która wyniosła go na szczyt, by szybko stać się dlań irytującym ciężarem.

Kot z dżungli

Rajskie Bahamy z Bondem oglądamy w „Operacji piorun" (1965) Terence'a Younga. Connery jako 007 przez pół filmu porusza się w samych kąpielówkach lub spodenkach, jego masywna klata błyszczy w słońcu, a luksusowe lokacje, kluby nocne i naszpikowana palmami przyroda tworzą odurzającą mieszankę.

To czwarty, najbardziej elegancki odcinek cyklu – gustownie skrojony przez Younga, który sam słynął ze słabości do wystawnego życia i w dużej mierze odpowiada za styl, z jakim od sześciu dekad kojarzymy Jamesa Bonda. Jednocześnie Connery nie ma w sobie nic z dandysa lub wyniosłego dżentelmena. Wybitny scenograf Ken Adams, pracujący przy siedmiu filmach o brytyjskim agencie, nazwał go kiedyś „dosyć szorstkim diamentem". Można było próbować „oszlifować" Connery'ego, ale – biorąc pod uwagę jego temperament – było to przedsięwzięcie skazane na porażkę.

Były też inne trafne określenia. Przez swój magnetyzm i drapieżny sposób poruszania się Connery przypominał jednemu z producentów serii, Harry'emu Saltzmanowi, „dużego kota z dżungli" – i właśnie zwierzęce metafory przylgnęły do niego na wiele lat, nawet kiedy pożegnał się już z tą rolą.

GUSTAVO CABALLERO / GETTY IMAGES

Sean Connery na Festiwalu Filmowym w Nassau, Bahamy, 13 grudnia 2009 r.

Począwszy od „Doktora No" (1962) Younga, pierwszej adaptacji prozy Iana Fleminga, Connery zaczął uosabiać w Bondach niezwykle pociągający model męskości. W jego kreacji inteligencja i poczucie humoru szły w parze z siłą fizyczną oraz bezwzględnością dyktowaną racją stanu – i trudno z perspektywy czasu stwierdzić, czy bardziej podziwialiśmy Bonda za cięte riposty, czy za łatwość i klasę, z jaką mordował kolejnych przeciwników. W roli bezbłędnej maszyny do zabijania Connery odnalazł się znakomicie, niemal od niechcenia tworząc z Bonda ikonę – uwodzicielski wzorzec, który zainspiruje armię naśladowców, ale który trzeba też będzie, zwłaszcza współcześnie, rozbroić i opatrzyć krytycznym komentarzem.

Lata 60. to dekada The Beatles i wyspiarskiej inwazji w obszarze muzyki, ale też pierwszego globalnego sukcesu brytyjskiego kina, od dekad trawionego kompleksem niższości wobec Hollywood. Poza prężnym lokalnym przemysłem filmowym i eksportem geniuszy w rodzaju Charliego Chaplina i Alfreda Hitchcocka do Ameryki, Brytyjczycy nie mogli poszczyć się fenomenem, który zawładnąłby masową wyobraźnią kinomanów. Bond i produkowane niestrudzenie kontynuacje stanowiły pierwszą eksplozję – i zostały z nami najdłużej. Bez podkreślenia związanej z agentem 007 imperialnej dumy, jaką czuli Brytyjczycy, nie zrozumiemy w pełni wyjątkowego statusu Connery'ego w anglojęzycznym świecie.

Jak Connery gubił akcent

W 1930 r. w ubogiej dzielnicy Edynburga przychodzi na świat Thomas Sean Connery. Jego ojciec Joseph pracował w fabryce gumy, matka Euphemia dorabiała jako sprzątaczka. Naznaczone biedą dzieciństwo (funkcję kołyski pełniła w mieszkaniu dolna szuflada szafy z ubraniami) wymusza na chłopcu konieczność zarobkowania: szybko rzuca szkołę, zatrudnia się jako rozwoziciel mleka, a w wieku 16 lat trafia do Królewskiej Marynarki Wojennej, skąd zostaje zwolniony przez chorobę wrzodową. Rosły, ciemnowłosy młodzieniec nie do końca wie, co ze sobą zrobić. Pozuje jako model w Edinburgh College of Art, szkoli się w polerowaniu trumien, łapie poboczne prace, rozważa karierę piłkarską (ten sport, obok golfa, pozostanie jego pasją).

W lata 50. wchodzi niezbyt spektakularnie: w 1953 r. bierze udział w konkursie Mr. Universe (tytuł najseksowniejszego mężczyzny świata otrzyma od magazynu „People" dużo później, w 1989 r.). Właśnie tam usłyszał jednak o przesłuchaniach do musicalu „South Pacific" Rodgersa i Hammersteina. Dostaje się jako statysta – wygląda jak marynarz i umie stać na rękach. Connery zalicza w show-biznesie wszystkie stopnie wtajemniczenia: małe role teatralne i telewizyjne, kreacje w kinie klasy B, wreszcie wyrazisty występ w „Najdłuższym dniu", batalistycznym supergigancie, który ma premierę w tym samym roku, co pierwszy film o Jamesie Bondzie.

W którym momencie z tego życiorysu wyłania się Connery, jakiego znamy? Podobnie jak Cary Grant, inny ekranowy mężczyzna idealny, Sean Connery (imię Thomas porzucił właśnie w latach 50.) to rezultat samokształcenia ↦

↦ i niewidocznych na pierwszy rzut oka zabiegów upiększających. Jak wspominał sam Connery, tournée z „South Pacific" wykorzystał na wizyty w angielskich, szkockich, irlandzkich i walijskich bibliotekach, zatapiając się w lekturze i chłonąc klasykę światowej literatury – co, jak twierdził, zmieniło jego życie (już jako wpływowy gwiazdor często będzie ingerował w treść scenariuszy, nalegał na poprawki lub pomagał w tworzeniu kolejnych wersji tekstu).

Dosyć powszechne przekonanie o tym, że przyszły odtwórca roli Bonda był „prostakiem", wydaje się więc sporym nadużyciem (przeciwny obsadzeniu Connery'ego Ian Fleming, wychowanek prestiżowego i snobistycznego Eton College, nazwał go „cholernym kierowcą ciężarówki"). A jednak szkockie pochodzenie i dzieciństwo spędzone w biedzie musiały być utrudnieniem w rozwijaniu aktorskiej kariery w hierarchicznej, opartej na klasowych dystynkcjach brytyjskiej kulturze. Do tego dochodził akcent, główny składnik niepodrabialnego głosu sir Seana: szorstki jak papier ścierny, odległy od potoczystej angielszczyzny, wbijający się w słowa z ostrością żyletki. Głos, który znamy, to i tak zresztą co najwyżej cień dawnego brzmienia Connery'ego. Pracując przy „South Pacific" niejako zatracił on najtwardszą i najbardziej uderzającą część swojego akcentu, przez którą inni aktorzy brali go początkowo za... Polaka.

Przemoc rodzi przemoc

W latach 60. Connery był ideałem męskości, ale ideałem co najmniej kontrowersyjnym. Filmy z Jamesem Bondem stanowiły na pewno próbę kompensacji przez Zachód zimnowojennych lęków. Na niestabilne czasy – stabilny męski heros, stojący po właściwej stronie i zawsze sprytniejszy od karykaturalnie portretowanych Rosjan; z pistoletem, który zwyczajowo interpretuje się jako przedłużenie penisa.

Jeśli Bonda zagrałby dystyngowany David Niven, jak życzył sobie tego Fleming, nie mielibyśmy jednak do czynienia z macho, a z certyfikowanym angielskim dżentelmenem o szlacheckich manierach (Niven wystąpił w końcu w nienależącym do oficjalnej serii, zapomnianym „Casino Royale" z 1967 r. – chaotycznej, choć wdzięcznej parodii kina szpiegowskiego). Samczość i gwałtowność Connery'ego są tymczasem absolutnie realne, wypływają zarówno z konstrukcji postaci, jak i z osobowości wykonawcy.

To w Bondach z Connerym wielokrotnie widzimy agenta policzkującego kobiety – dyscyplinującego je lub wymierzającego karę. Trudno sobie przy tym wyobrazić uderzającego aktorki Rogera Moore'a lub Pierce'a Brosnana. Podejście do wpisanej w relacje damsko-męskie przemocy jest na pewno główną skazą na publicznym wizerunku Connery'ego, ciągnącą się za nim od 1965 r., kiedy w niesławnym wywiadzie dla „Playboya" stwierdził, że w odpowiednich okolicznościach uderzenie kobiety jest uzasadnione. Ponad 20 lat później podtrzymał tę opinię; dopiero w ostatnich latach uznał, że jego wypowiedzi zostały wyjęte z kontekstu, a przemoc wobec kobiet jest niedopuszczalna. Przy okazji śmierci aktora media przypominają też, że jego pierwsza żona, Diane Cilento, opowiadała po latach, że Connery uderzył ją pewnej nocy, kiedy przebywali razem w Hiszpanii podczas zdjęć do „Wzgórza" Sidneya Lumeta – filmie o nadużyciach w brytyjskim więzieniu wojskowym i morderczej dyscyplinie.

Connery wcielał się w bohaterów nadużywających fizycznej siły, szczególnie w innym filmie Lumeta, „Agresji" (1972), którą biograf aktora Christopher Bray uważa za jego najlepszą rolę w karierze. Doprowadzony na skraj wytrzymałości glina zaczyna wyżywać się na podejrzanym, a Connery daje nam przeszywający wgląd w poturbowaną, chorą psychikę wykorzystującego swoją przewagę stróża prawa.

Torsy i tupeciki

Connery jako symbol seksu i mężczyzna, którego głównym kapitałem jest sylwetka – to też fascynująca, najeżona sprzecznościami kwestia. Spoiste, prężne, doskonałe ciało Szkota przynajmniej w dwóch aspektach odstawało od gwiazdorskiej normy. Jako 007 Connery musiał grać w tupeciku – dosyć wcześnie wyłysiał, a przecież nieskazitelny agent musiał mieć gęstą, lśniącą czuprynę. Do dzisiaj utrata włosów pozostaje dla niektórych aktorów tematem tabu, a wizja łysego Bonda wydaje się trudna do wyobrażenia.

Brak szczeciny na głowie Connery nadrabiał jednak w innym miejscu – jego owłosiona klata też wydaje się znakiem czasów i odsyła ponownie do epoki twardej, lekko dzikiej, jaskiniowej męskości. W „Żyje się tylko dwa razy" (1967) – w którym Connery bierze udawany ślub z Japonką i zostaje ucharakteryzowany na Azjatę – jego owłosiony tors przykuwa uwagę pracujących w łaźni kobiet. Jak tłumaczy szef japońskich tajnych służb, ich fascynacja bierze się stąd, że „Japończycy mają piękną, bezwłosą skórę". Bond odbija piłeczkę: „Jak głosi japońskie przysłowie, na nagim drzewie ptak nie wybuduje gniazda".

Connery nie był jednak obsesyjnie przywiązany do swojej urody i wizerunku, akceptował pokornie upływ czasu i uczynił z niego swoją siłę. Mimo że nawet jako etatowy Bond szukał aktorskich wyzwań (w 1964 r. zagrał u boku Tippi Hedren w „Marnie", delirycznym thrillerze Hitchcocka), to dopiero po „Diamenty są wieczne", swoim ostatnim występie jako 007 w oficjalnej serii, zaczął wcielać się w zaskakujące, ekscentryczne role.

Serię o Bondzie musiał darzyć mieszanką miłości i nienawiści. Przynosiła mu gigantyczne honoraria, ale uczyniła z niego rozszarpywanego przez fanów i dziennikarzy celebrytę, czego szczerze nie znosił. Jego kłótnie z producentami przeszły do legendy: Connery uważał, że mimo dużych gaż jest wykorzystywany, a prawdziwe zyski z filmów czerpią Saltzman i Albert „Cubby" Broccoli. Co więc zrobił po oddaniu licencji na zabijanie? Wystąpił m.in. w ambitnym, choć przestrzelonym „Zardozie" (1974) Johna Boormana, widowisku *science fantasy*, w którym paraduje w czerwonych majtkach, szelkach i z długim czarnym warkoczem – eksponując raz jeszcze zarośnięty tors i umięśnione nogi. Wizerunek Connery'ego z „Zardoza" to dziś klasyk kampowej estetyki, jeden z najbardziej rozkosznych obrazków lat 70.

Chyba nie dało się bardziej widowiskowo porzucić garnituru agenta Jej Królewskiej Mości. Dwa lata później Connery doskonale odnalazł się w „Powrocie Robin Hooda" Richarda Lestera, w którym zagrał starzejącego się księcia złodziei – zaledwie pięć lat po porzuceniu roli Bonda. To było nowe otwarcie: Connery jakby w mgnieniu oka posunął się w latach, ale zrobił to z taką gracją, że dla wielu stał się jeszcze bardziej pociągający. To dzięki rolom atrakcyjnych dziadków

– m.in. w „Imieniu róży", „Nietykalnych" (jedynym filmie, który przyniósł mu Oscara) i „Polowaniu na Czerwony Październik" – zaczęliśmy mówić sentencjonalnie, że Connery jest jak wino: im starszy, tym lepszy, coraz swobodniejszy i bardziej pewny siebie, wciąż z elektryzującą prezencją i nieugiętą siłą w głosie; bez peruki, lecz z łysiną, która wcale nie odebrała mu seksapilu.

Nieśmiertelny

Najsłynniejsza amerykańska krytyczka filmowa i miłośniczka talentu Connery'ego, Pauline Kael, pisała w swojej recenzji „Indiany Jonesa i ostatniej krucjaty" (1989) Stevena Spielberga, że Szkot może oddawać się na ekranie „chłopięcym psotom, a jego męskość nigdy nie stoi pod znakiem zapytania". To być może klucz do zrozumienia fenomenu Connery'ego, który w trakcie trwającej pół wieku kariery stworzył imponującą liczbę pamiętnych kreacji – i wystąpił w wielu zapomnianych dziś filmach, które czekają na ponowne odkrycie. Przeglądając jego dorobek, natrafiamy na bogactwo tytułów, których nie da się sprowadzić do wspólnego mianownika: od sensacyjnego „Okupu" (1974), gdzie wcielił się w skandynawskiego pułkownika Tahlvika, po „Ostatniego smoka" (1996), w którym użyczył głosu cyfrowo wygenerowanej bestii.

Brak w tej mieszance filmów, które obnosiłyby się ze swoim artyzmem, brak rozwlekłych, wypełnionych wyrafinowanym dialogiem pomników ku czci wybitnego aktora. Talent Connery'ego realizował się w inny sposób i w innym typie kina: stawiającym na charyzmę wykonawcy, niepozbawionym żyłki przygody i nuty szaleństwa (niezrównany „Człowiek, który chciał być królem" Johna Hustona z 1975 r., „Nieśmiertelny" Russella Mulcahy'ego z 1986 r.). Jako widzowie zawsze mieliśmy wrażenie, że Connery czerpie autentyczną radość z występowania przed kamerą – z łatwością nawiązywał z publicznością nić porozumienia, a jego szelmowski uśmiech stanowił obietnicę przedniej zabawy. Nie należał do aktorów, którzy tworzą w bólach. Grał jakby od niechcenia, ze szczyptą nonszalancji.

Connery sprawdzał się nawet w sytuacjach, w których inni aktorzy i ich widownia mogliby czuć się niekomfortowo. W ostatnim dziele Freda Zinnemanna, „Na skraju przepaści" (1982), jest lekarzem, który wyjeżdża na wakacje do Szwajcarii z młodszą o połowę siostrzenicą. Łączy ich namiętny, kazirodczy romans. Choć bohaterka zrozumie, że marnuje swoją młodość u boku żonatego seniora, dla nas nie jest to takie oczywiste: nawet w wieku przedemerytalnym Connery to wyborna partia, wygrywająca w przedbiegach z niepewnymi siebie młodzikami. Jako ojciec Indiany Jonesa dał się uwieść podstępnej, blondwłosej nazistce Elsie. Podobnie jak jego syn, który z zaskoczeniem odkrywa, że dzieli z ojcem nie tylko nazwisko. W rzeczywistości Harrison Ford był od Connery'ego młodszy tylko o 12 lat.

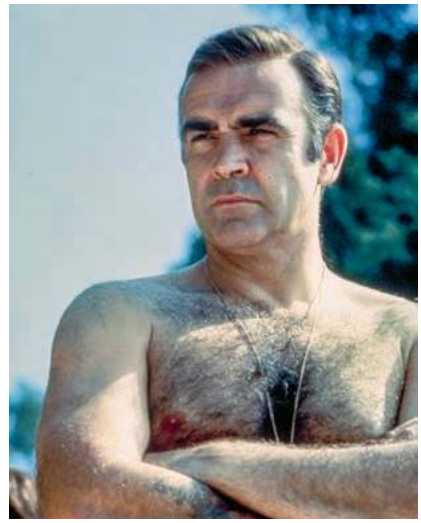

LEGACY COLLECTION / EAST NEWS

Sean Connery w filmie „Diamenty są wieczne", 1971 r.

Serię o Bondzie musiał darzyć mieszanką miłości i nienawiści. Przynosiła mu gigantyczne honoraria, ale uczyniła z niego celebrytę, czego szczerze nie znosił.

Nawet jeśli ów mit potencji był schedą po pełnym wigoru Bondzie, to przynajmniej jeden wymiar aktorstwa Connery'ego należał tylko do niego. Chodzi o talent komediowy, o którym z uznaniem wypowiadał się Sidney Lumet (panowie zrobili razem pięć filmów), podkreślając, że ekranowy urok nigdy nie jest czymś naturalnym – ci, którzy tak uważają, pomijają warsztat aktora. Bond, twierdził Lumet, też był w dużej mierze rolą komediową, wymagającą wyczucia czasu i dialogu, odpowiednich reakcji i tonacji głosu, perfekcyjnie podrzuconej puenty.

Predylekcję do zgrywy i komicznego nawiasu Connery zachował do końca – widzimy ją w pełnej krasie także w opartej na efektach specjalnych, quasi-wiktoriańskiej „Lidze niezwykłych dżentelmenów" (2003) Stephena Norringtona, jego ostatniej kinowej roli. Na początku filmu mówi do swojego rozmówcy z przekąsem: „Jesteś pewnie za młody, by to wiedzieć, ale imperium zawsze jest zagrożone".

Niepodległy Szkot

Sława Connery'ego wykraczała poza kino, wiązała się z niezależnością i swobodą wypowiedzi, którą imponował swoim miłośnikom. A także z politycznym aktywizmem. Był gorącym – według niektórych wręcz zbyt gorliwym – patriotą, który w młodości zrobił sobie dwa tatuaże: „Mama i Tata" oraz „Szkocja na zawsze" (nigdy go nie usunął). Wspierał Szkocką Partię Narodową i szkockie instytucje, m.in. przeznaczył milion dolarów gaży za „Diamenty są wieczne" na Scottish International Education Trust. Nie mógł jednak wziąć udziału w referendum niepodległościowym w 2014 r., ponieważ jego główne miejsce zamieszkania znajdowało się poza krajem.

Tytuł szlachecki otrzymał w 2000 r. w Pałacu Holyrood w Edynburgu. Przez dwa lata kandydatura Connery'ego była wetowana przez urzędników niechętnych jego nacjonalistycznym wypowiedziom. Ostatnie 17 lat życia spędził na emeryturze, nie licząc skromnej pracy w dubbingu i jako narrator filmów dokumentalnych. Czasem pojawiał się publicznie w szkockim kilcie i z przystrzyżoną siwą brodą. Zmarł we śnie 31 października. Cierpiał na demencję.

W finale „Ostatniej krucjaty" Henry Jones Sr., postrzelony przez przeciwnika, pije ze zdobytego przez Indianę Świętego Graala. Odzyskuje siły witalne, jego rana się zabliźnia. Biorąc pod uwagę reakcje po śmierci aktora – i liczne głosy widzów, także polskich, którzy widzieli w nim symbol pewnej epoki – możemy śmiało powiedzieć, że sir Sean Connery ma podobną licencję na nieśmiertelność. © SEBASTIAN SMOLIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Słowo o polaryzacji

Dużo ostatnio czytamy o tzw. polaryzacji. Można o niej sobie dziś pogwarzyć w dowolnym towarzystwie i w jakichkolwiek okolicznościach, choćby na urodzinach u cioci pisówki, albo na koniaczku u niebinarnego wujcia. Polaryzacja społeczeństwa jest – popatrzmy – po prostu tematem znakomicie neutralnym i absolutnie pozbawionym potencjału waśni. Gdy próbujemy się zastanowić i wskazać kogoś, z kim miła i zgodna rozmowa o polaryzacji społeczeństwa nie może być możliwa, opadają nam ręce. Naprawdę nie ma człowieka, z którym w sprawie polaryzacji można by się dziś nie zgodzić. Naturalnie zaraz znajdzie się tu ktoś wątpiący i polaryzujący. Że absolutnie – powie nam ten ktoś cierpko – są w Polsce ludzie, z którymi nie da się o polaryzacji rozmawiać, bądź robić tego nie wolno, ze względów bezpieczeństwa. Będziemy tu i teraz polemizować z taką opinią.

No więc, gdyby – co już nikomu nie przychodzi do głowy prócz Bronisława Wildsteina – poważnie traktować tutejsze władze, można by pomyśleć, że – dajmy na to – żołnierz oddelegowany z koszar do najsurowszego pilnowania, by oto lekarze przypadkiem nie kłamali podczas liczenia łóżek w szpitalach, nie będzie skłonny do rozmowy o polaryzacji. Nie będzie, bowiem jest on po pierwsze w służbie narodu, po drugie jest umundurowany w mundur polski, a po trzecie – jak to zwykle przy pilnowaniu liczenia – żołnierz polski musi być skrajnie skupiony podczas zapisywania i porównywania liczb. Próba wybicia żołnierza polskiego ze skupienia może pomylić mu liczby arabskie, i mogą one nie dotrzeć do władz w prawidłowym i zamierzonym słupku. Liczby mogą się na papierze rozsypać. Każdy uczeń wie, że liczby rozsypane to kłopoty. To wezwanie do szkoły tzw. opieki domowej, to brak promocji i brak sukcesu edukacyjnego. Żołnierze są w podobnej sytuacji: oto groźba przykrej rozmowy z ukochanym, ale surowym dowódcą, perspektywa braku awansu, a wreszcie odesłanie z najważniejszego dziś frontu, czyli liczenia łóżek, na tyły, do kuchni, do obierania kartofli bądź pastowania butów, wszystko to – wydawałoby się – powinno gruntownie zniechęcać żołnierza polskiego do rozmowy o polaryzacji. Ba! Może go przecież skłonić do służbowego użycia broni krótkiej! A jednak nie. Tylko ludzie niesłychanie lękliwi, których nasz kraj jest niestety pełen, mogą tak myśleć. Żołnierz polski, co powinno tu zabrzmieć ostro i bardzo stanowczo, jest gotów rozmawiać o polaryzacji zawsze, nawet podczas liczenia łóżek.

Oto, może onże – oddelegowany żołnierz – bez kłopotu ani wstydu zapisywać prawidłowo liczby arabskie, bez pomocy kogokolwiek. Może nierozproszony rozmawiać w tym czasie na dowolny temat, nawet gdy dodatkowo gra w makao w pielęgniarskiej dyżurce, a nawet gdy przez szpitalny radiowęzeł transmitowane są audycje TVN-u albo innego ośrodka finansowanego przez zagraniczne, rewizjonistyczne koła niemiecko-żydowsko-arabskie. Może więc on rozmawiać o polaryzacji dowolnie, też podczas korygowania fałszywych rachunków łóżek, sporządzonych i podsuwanych mu przez lekarki zbrodniarki i lekarzy zbrodniarzy. Może. Skąd ta pewność? Ano stąd, że nasze wojsko jest wszechstronnie przygotowane do spokojnego bytowania na dowolnym polu walki, przede wszystkim zaś na takich, których nie było, nie ma i nigdy nie będzie, a które wymyślili p. Kaczyński z p. Gowinem podczas wieczornego, wspólnego mieszania nieosłodzonej herbatki.

A więc, co było tu do udowodnienia w kwestii polaryzacji, tośmy, zdaje się, udowodnili – panie dziejku – z naddatkiem. Jednakże nie chcielibyśmy kończyć tych rozważań w tak łatwym poczuciu totalnego zgnębienia przeciwnika i zarazem własnego triumfu. Niestety. Jeśli idzie o polaryzację, sprawa się ostatnio bardzo komplikuje. A komplikują ją ozdrowieńcy. Otóż ich liczba będzie rosła i nie będą oni chcieli nosić maseczek, podzielą więc społeczeństwo na sposób zupełnie nowy, o czym trzeba będzie porozmawiać. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

BISKUP PODCZAS TRADYCYJNEJ GRY W TRZY PARAFIE I PEDOFILA.

REKLAMA

„MIRON, ILIA, KORNEL. OPOWIEŚĆ BIOGRAFICZNA O KORNELU FILIPOWICZU"
– Justyna Sobolewska

„PAMIĘTNIK ANTYBOHATERA I INNE UTWORY"
– Kornel Filipowicz

„SAGA RODU CZARTORYSKICH"
– Zofia Wojtkowska

„DZIENNIK HIPOPOTAMA"
– Krzysztof Varga

„ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA" I „NASTĘPNY DO RAJU"
– Marek Hłasko

ISKRY

Czytajcie książki ISKIER

WIĘCEJ INFORMACJI: www.iskry.com.pl Wydawnictwolskry wydawnictwoiskry

weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz, **jak wygodnie** jest mieć nieograniczony dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl

- w każdą środę – **do bieżącego wydania**
- do ponad **60 tys. tekstów** archiwalnych, dodatków i podkastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu – na 1, 3 lub 12 miesięcy na powszech.net/cyfra

i czytaj „Tygodnik" **bez ograniczeń!**

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

NADZWYCZAJNE | ONLINE DNI TISCHNEROWSKIE | 18–20.11 2020

NADZIEJA RAZ JESZCZE

ORGANIZATORZY:

Instytut Myśli Józefa Tischnera · Uniwersytet Jagielloński w Krakowie · znak · Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie · Akademia Sztuk Teatralnych im. St. Wyspiańskiego w Krakowie

18.11 | ŚRODA

godz. 17.00 **UROCZYSTE OTWARCIE**
Nadzwyczajnych Dni Tischnerowskich

NADZIEJA MIMO WSZYSTKO
spotkanie z udziałem **Anny Dymnej**
prowadzenie **red. Wojciech Bonowicz**

godz. 18.00 **CZYTAMY TISCHNERA**
Ingarden – fragment książki „Alfabet Tischnera"
czyta **Jerzy Trela**

godz. 18.30 **MISTRZOWIE TISCHNERA | ROMAN INGARDEN**
rozmowa z udziałem **dra Pawła Rojka**
– filozofa i socjologa UJ
prowadzenie **red. Wojciech Bonowicz**

godz. 20.00 **MYŚLENIE W POGODZIE DUCHA**
spotkanie z udziałem **prof. Krzysztofa Ingardena**
– architekta, wnuka Romana Ingardena
prowadzenie **red. Wojciech Bonowicz**

19.11 | CZWARTEK

godz. 11.00 **WĘDRÓWKI W KRAINĘ FILOZOFÓW**
Co znaczy myśleć? – webinar
z udziałem **dra hab. Łukasza Tischnera**
prowadzenie **Agnieszka Foryś**

godz. 18.00 **CZYTAMY TISCHNERA**
Wojtyła – fragment „Alfabetu Tischnera"
czyta **Jacek Romanowski**

godz. 18.30 **MISTRZOWIE TISCHNERA | KAROL WOJTYŁA**
rozmowa z udziałem filozofów:
dr Marii Karolczak i **prof. Karola Tarnowskiego**

godz. 20.00 **WIECZÓR Z TISCHNEREM**
Tischner na ekranie – pokaz archiwaliów
wprowadzenie **red. Wojciech Bonowicz**
– kierownik archiwum Tischnera w IMJT

20.11 | PIĄTEK

godz. 11.00 **WĘDRÓWKI W KRAINĘ FILOZOFÓW**
W poszukiwaniu nadziei – webinar
z udziałem **dr Marii Karolczak**
prowadzenie **Agnieszka Foryś**

godz. 18.00 **CZYTAMY TISCHNERA**
Kępiński – fragment książki „Alfabet Tischnera"
czyta **Radosław Krzyżowski**

godz. 18.30 **MISTRZOWIE TISCHNERA | ANTONI KĘPIŃSKI**
rozmowa z udziałem **red. Anny Matei**
– autorki biografii Antoniego Kępińskiego
prowadzenie **red. Wojciech Bonowicz**

godz. 20.00 **WIECZÓR Z TISCHNEREM**
Świat Tischnerów – w poszukiwaniu korzeni
spotkanie z udziałem **Marka i Łukasza Tischnerów**
– bratanków księdza profesora

21.11 | SOBOTA

godz. 17.00 **GALA WRĘCZENIA NAGRODY ZNAKU I HESTII IM. KS. J. TISCHNERA**
retransmisja spotkania z udziałem laureatów:
Roberta Piłata, **Aleksandry Domańskiej,**
Mariny Hulii oraz ks. Adama Bonieckiego,
Henryka Woźniakowskiego
i Miłosza Puczydłowskiego
prowadzenie **Jolanta Kogut**

ERGO HESTIA mecenas kultury
FUNDATOR NAGRODY

Zapraszamy do udziału w spotkaniach online:
JozefTischner
dni.tischnerowskie
InstytutTischnera
więcej info na:
www.tischner.pl
Ks Tischner

WSPÓŁORGANIZATORZY:
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Kraków · AGH

PARTNERZY:
Tygodnik Powszechny · ZNAK · Radio Kraków · De Revolutionibus Bookstore&Cafe